

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



WŁADYSŁAW WĘŻYK
PODRÓŻE
PO STAROŻYTNYM
ŚWIECIE

OPRACOWAŁ LESZEK KUKULSKI

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Władysław Wężyk urodził się w Toporowie²⁹, dwadzieścia parę kilometrów od Konstantynowa Podlaskiego, w 1816 roku^{24, 27-29}. Ojciec jego, Ignacy, jako żołnierz armii napoleońskiej brał udział w wyprawie 1812 roku; później, w latach Królestwa Kongresowego, posłował na sejm do Warszawy. Uchodził za nieprzejednanego wolterianina; na sejmie 1825 roku „obstawał za liberalną reformą prawa małżeńskiego, sam od zacnej i pełnej życia małżonki się odseparowawszy”²⁹.

Stryj Władysława, Franciszek Wężyk (1785–1862), u schyłku życia prezes Krakowskiego Towarzystwa Naukowego, był cenionym swego czasu poetą i dramaturgiem.

Do szkół uczęszczał Władysław początkowo w Krakowie, a później w Warszawie, gdzie wstąpił do liceum, znajdującego się ówczesnie w budynku koszar kazimierzowskich²⁹. Z lat warszawskich na trwałe pozostała mu wdzięczna pamięć dla „tkliwego nauczyciela” – Kazimierza Brodzińskiego^{14, 18, 28, 29}.

Wydarzenia lat 1830–1831 uczyniły Wężyka uczestnikiem walki zbrojnej z zaborcą. Jakkolwiek liczył dopiero piętnasty rok życia, zaciągnął się do szeregów powstańczej gwardii narodowej²⁸.

Po upadku powstania młodemu gwardziście niełatwo przyszło pogodzić się z rzeczywistością. „Wzorem wykolejonej katastrofą młodzieży, a mimo opieki roztaczanej nad nim przez światłego Kazimierza Brodzińskiego, szukał zapomnienia nieszczęść ojczyzny w wirze płytkich uciech, co oczywiście szlachetnej jego natury zadowolić nie mogło”²⁹. W lutym 1832 roku^{22, 25, 28, 29} powiadomiwszy listem ojca, nie czekając na zezwolenie rodzicielskie, potajemnie przekroczył granicę pruską uchodząc na emigrację. „Pierwsza moja kilkoletnia wycieczka, w piętnastym roku uskuteczniiona, była nieświadomym popędem budzącego się we mnie uczucia”²² – pisał o sobie w wiele lat później.

Droga wiodła Wężyka przez Poznań:

Krótki mój pobyt w tym mieście wśród dość nagłych okoliczności zostawił mi tylko wspomnienie przyjemne i obowiązek wdzięczności za współczucie, znalezione u niektórych prawych obywateli. Uniosłem pamięć o nich w dalekie kraje, a z obrazów miasta zapamiętałem tylko szlachetną, średniowieczną (*sic*) postać starożytnego ratusza, zamku, tumu i niektórych rzadkich nowych domów, wznoszących się poza starym miastem ku teatrowi¹⁸.

Pięcioletni okres pobytu na emigracji spędził Wężyk przeważnie w Paryżu; jedynie na początku jakiś czas przebywał w Londynie, w środowisku polskiej emigracji politycznej. Podobno stykał się „nawet ze światem politycznym angielskim, którego przedstawiciele opowiadania swoimi o stanie kraju dobrze starał się usposobić dla Polski”²⁸. Jak widać z *Podróży po starożytnym świecie*, o mieszkańcach Wysp Brytyjskich wyrobił sobie wówczas nieszczerne wyobrażenie. Z Londynu do Paryża sprowadził Wężyka Adam Czarterycki²⁸; tu młody emigrant kontynuował przerwane studia szkolne. Żył, jak się zdaje, w warunkach dość skromnych; w jednym ze swych późniejszych utworów kreśląc obrazek życia studenckiego w Paryżu sięgnął z pewnością do własnych wspomnień:

...na ulicy' St. Jacques – pisał – rozpościera się zupełnie inny widok od tego, na które napatyka oko w innych częściach Paryża. Tu i ówdzie porozwieszane karty zwiastują kawalerskie mieszkania do najęcia. W każdym z takowych domów, na górnych szczególnie piętrach, znajdziesz dwóch, trzech lub czterech podobnych lokatorów, a u każdego z nich jednakowy

prawie porządek. Porozrzucane po społu z klasykami i z romantykami górne i dolne części odzieży; okopcone dymem ściany; parę stolików i stołków o trzech nogach; kilkanaście groszowych glinianych fajek z cybuszkami podobnymiż, zawieszonych w porządku na gwoździach; w kącie skromne łóżko pokryte białym prześcieradłem; na kominie kilka talerzy z resztkami wczorajszej wieszery, a obok kilka próżnych butelek i floret złamany; przy oknie mały stoliczek, a za nim wygodniejsze od innych krzesło, na którym zwykła siadywać gospodyni tego miejsca w chwilach, w których wraca ze swojej szwalni, haftarni lub mód magazynu do kwatery studenta. Na stoliku zaczęta robota na kanwie, drucziana maska od fechtowania i waza lepka po wczorajszym ponczu, w na pół otwartej szafie kilka kobiecych sukien i różowy kapelusik uzupełniają zwykle umeblowanie podobnych mieszkań¹⁰.

Życie studenckie przy ulicy św. Jakuba miało dla Wężyka wiele uroku; czas swój dzielił między poważne zatrudnienia pilnego ucznia i rozrywki, jakich młodzieńcowi mogło dostarczyć wielkie miasto. Oto kilka migawek, utrwalonych później w literackiej formie.

Biblioteka:

Wyniosłość sklepień tych sal wszystkich, różnobarwność opraw książek, cichość grobowa, panująca w tym miejscu pomimo liczby istot żyjących tam obecnych – wszystko to przejmowało przechodnia niezwykłym wrażeniem. Gdzieniedzie u szczytu zgrabnej drabinki jeden z bibliotekarzy oczyszczający lub układający książki zdawał się być człowiekiem wynoszącym się swym umysłem nad ziemię lub Pigmejczykiem chcącym się dostać do nieba. W rogu każdej sali leżały na stoliku ogromne katalogi dla publicznego użytku, pilnowane przez podrzędnych bibliotekarzy. W niektórych salach były obszerne zielone stoły, a naokoło ich wielu ludzi w cichości rozkładało księgi, wypisywało potrzebne rzeczy lub odłączywszy się zupełnie myślą od tej ziemi pogrążyło w głębokim dumaniu.

...Obok wychudłej i wyblichowanej twarzy trzydziestoletniego księdza, na której oziębłość ku wszystkiemu była widoczną – oblicze okraszone za żywym nieco rumieńcem dwudziestoletniego młodzieńca ze szczupłą i wciągniętą w siebie piersią, z niebieskim okiem, z wypukłym czołem. Gdzie indziej twarz gipsowa czterdziestoletniego mężczyzny, mierzącego cyrklem różne przestrzenie na mapie, kreślącego różne rubryki, zapisującego różne cyfry i daty – a obok niej spod czarnej brwi, wschodnim zakreślonej łukiem, przenikliwe i ironiczne spojrzenie jak połysk ognistych węzów, chcących przyćmić słońce prawdy. Gdzie indziej twarz młoda i piękna, napiętnowana cierpieniem, oczy zamyślane, w miejscu stojące, skroń z włosów ogołocona – a obok tej twarzy siwa, poważna głowa osiemdziesięcioletniego starca z wyrazem chrześcijańskiej dobroci, przebaczenia światu i szczerego zamiłowania cnót i ludzkości. Jeden strzelał płowoczyma, jakby szukał w przestrzeniach ulatującej przed jego słabym wzrokiem myśli; drugiego twarz rozpromieniała się szczęściem i zadowoleniem, a dusza pieściła się promieniem światła, któren w nią zawitał; trzeci rzucał czasami dumne i śmiałe wejrzenia z książek na te mury Paryża, o które rad by jak najprędzej słyszeć po stokroć odbite swe imię; inny, z na wpół roztwartą gębą, z na wpół przymrużonymi oczyma, zdawał się odpoczywać nad myślą, tak jak ptak odpoczywa w locie, zawiesiwszy się nieruchomo na rozpostartych skrzydłach w powietrzu. Inny przerzucał stronicę i ziewał ukradkiem drzemającą duszą w ociężałym ciele. Inny słabym i niespokojnym wzrokiem usiłował zagnać do szczupłych komórek ciasnej duszy wszelką myśl i wszelkie światło, aby je zamknąć przed światem i snuć potem z siebie po jednej promienistej nici, a myśl i światło wydierały się ze słabych objęć jego i w godniejsze wstępowały świątynie. Inny jeszcze smutnym i pobożnym wzrokiem zdawał się wzywać niebiańskiej rosy na zeszlą życia upałem i spragnioną wznioślejszych pokarmów duszę¹⁰.

Teatr:

...w Rozmaitości Odry rozśmieszał nawet ławki i suflera, a Fryderyk Lemaitre dramatyzował komedię, rzucając się na wszystkie strony jak tygrys w klatce.

Teatr świeżo ozdobiony, eleganckie łoże napelnione eleganckimi widzami; balkon przedłużony, z którego na wpeł przegieęte młode l w y, co nie znalazłszy już dla siebie miejsca w klatkach włoskiej i francuskiej opery, na tym rynku są przymuszone rozwieszać całą baterię zalotności postawy i wykwinności ubioru; radosne śmiechy parteru, poklaskującego tłustym dowcipom Odrego – wszystko to bawiło zawsze przywykłe nawet do tego widoku oko.

...Podczas mniej zajmujących ustępów sztuki w cieniu kratkowanej łoży kaźden obierał soczyste pomarańcze lub rozpuszczał w swych ustach lody chłodzące, wyciągnawszy się wygodnie jakby we własnym pokoju i rozmawiając o najbardziej go zajmujących rzeczach. Czasami spuściwszy nieco kratę mógł polornetować sąsiadów i sąsiadki. Pomiędzy sąsiadami w jednej szczególnie łoży na pierwszym piętrze wielki był ciągle ruch i zgiełk. Była to łoża redaktorska, a w niej grubojowialny J. J. jak trójbuńczuczny basza prezydował tuzinom literackich kundysów nowoposforowanych, zaprawiających się pod okiem doświadczzonego buldoga do łowów i połowów. W tej łoży najmniej uważano, a z niej to jednak nazajutrz miał wylecieć – jak piorun z ręki Jowisza – sąd ostateczny o nowej sztuce i o grze autorów...¹⁰

Kasyno:

Wygodne krzesła, kanapy, lustra, posadzki, marmurowe kominki, bogate obicia i malowidła nadawały temu miejscu cechę wielce przyzwoitą i nikt by na pierwsze wejrzenie nie uwierzył, że jest *in spelunca latronum*, że jego sąsiad wczorajszej nocy jeszcze okradł może lub zabił jakiego bliźniego. Wytrefione i wymuskane kobiety, niektóre rzadkiej piękności, spacerowały w różnych kierunkach, same i w towarzystwie panów. Młode l w y paryskie i l a m p a r t y londyńskie w upuklowanych włosach i muślinowych żabotach, z różnobarwnym bukiem haftowanym na atłasie fraka lub kamizelki, śledziły niecierpliwie jednostajne ruchy obojętnego bankiera. Panie, z wyciągniętymi szyjami, z błyszczącym okiem, dech w sobie zatrzymując, czekały wyroku – losu pozbawiającego lub nadającego sposobność kupienia nowych ozdób i klejnotów, lub zapłacenia starych długów. Służba za skinieniem oka bezpłatnie roznosiła chłodzące napoje.

Kilku starych ichmościów, z spleśniałymi twarzami, siedząc w nieruchomości egipskich mumii za stołem, znaczyło szpilką na papierze przez dobę całą (to jest od południa do trzeciej w nocy) porządek wygrywających i przegrywających kolorów, pilnując się jakiejś kabałki nieochybnej, której winni byli dotychczas utratę całej fortuny; inni za każdym chybionym instynktem bili o stół pięścią, krwawili sobie wargi, rwali włosy. Kobiety za kaźdą ulatującą nadzieją miłszym spoglądały wzrokiem na kogoś z towarzystwa; za kaźdą wygraną z wyrazem dumy i wyższości na sąsiadki. Cichość przerywana była tylko czasami monotonnym jak bicie zegaru głosem bankiera, głuchym jękiem utracającego ostatniego luidora lub szatańskim śmiechem szczęku złota – tej meczarni dla hołyszów, o której Dante w swoim piekle przepomniał¹⁰.

Karnawał na St. Honoré:

Po lewej stronie sali, tuż opodal orkiestry, kręcone schodki prowadziły do dość obszernej galerii, za którą był bufet i dwa małe salony przeznaczone dla amatorów kolacji. Z tych galerii (gdzie można znaleźć dość miejsca, aby wieczerzać w kilkoro) w karnawał podczas wielkiego maskowego balu, gdy orkiestra ze stu muzykantów złożona w chwili szalonej galopady przymuszoną jest wybijać takt dwunastu stołkami i wystrzałem z pistoletu, gdy czterysta lub

pięćset par przesuwają się przed oczyma jak fantastyczne cienie wielkiego szabasu u Lucyfera na Łysej Górze – spijając szumującego szampana i wieszcząc w miłym towarzystwie, trzeba patrzeć z góry na ten różnobarwny potok unoszący tysiące szaleńców.

Ten wściekły taniec trwa więcej niż trzy kwadransy, a biada temu, kto raz wstąpił w to grono, a zawiódł się na swych siłach – biada opóźniającym się...! Pięści, nogi i zęby bez miłosierdzia zatratują lub rozszarpią nieszczęśliwą ofiarę. Jedyne to widok w tym rodzaju na całym świecie¹⁰.

Powaby miasta działały na Wężyka nadzwyczaj mocno: był pod nieustannym wrażeniem jego piękna. Paryż darzył odtąd niezmiennie serdecznym sentymentem.

Najprzyjemniejszą jest bez wątpienia ta chwila w Paryżu, w której sztuczne słońca gazu zastępują prawdziwe słońce z niebios, gdyż wtedy zrzuciwszy z siebie ciężar dziennych trudów i kłopotów lub dziennych nudów, lub dziennych wystrzeżeń się dla przyzwoitości, cały Paryż oddycha; zrzuciwszy z siebie niewygodną maskę, przyjemniej – tak jak dworzanka znudzona ciągłym udawaniem – oddycha. O tej godzinie wszystko w większym ruchu, wszystko szuka zabawy lub odurzenia – oprócz jednak jakiegoś biedaka konającego z nędzy pod strzechą, jakiego Kartezjusza lub Thiersa pracującego usilnie przy lichej świeczce na wysokim pięttrze któregoś z domów ulicy św. Jakuba, jakiego młodego poety, błądzącego po cmentarzu Père-Lachaise lub po Polach Elizejskich, lub cudzoziemca, żyjącego wspomnieniami rodowitej ziemi¹⁰.

Owe wspomnienia stały się przyczyną, że Wężyk, dla którego droga powrotu nie była zamknięta, nie pozostał na emigracji na stałe. „Tęsknota do rodziców i kraju – pisał w kilka lat później – pociągnęła mnie przed latami pełnoletności do ojczystych progów”²².

Z emigracji powrócił z końcem 1836 lub w początkach 1837 roku^{22, 28}. O dwóch latach swego życia, które nastąpiły bezpośrednio po powrocie, mamy jedynie bardzo lakoniczną wzmiankę, podaną przezeń w jednym z listów:

Czas upłyniony od wydalenia się mego z emigracji następnie przepędziłem: pół roku w więzieniu, pół roku na estradach wielkiego, eleganckiego świata, rok na prowincji i wśród rozpoczętych poważniejszych nauk²².

Na dokładniejszy trop biograficzny trafiamy dopiero wraz z początkiem roku 1839. „Poważniejsze nauki”, rozpoczęte na prowincji, a więc przypuszczalnie w rodzinnym Podlasiu, miały się przeobrazić w systematyczne studia nad filozofią Hegla; w tym celu wyjechał Wężyk do Berlina, gdzie przez parę miesięcy obracał się wśród „młodych filozofów lewej szkoły hegliańskiej”²⁸ i słuchał wykładów berlińskiego prawnika, profesora uniwersytetu, Edwarda Gansa, specjalisty w zakresie filozofii prawa. Rychło wszakże zrezygnował z podejmowania studiów gruntowniejszych i około Wielkanocy, z początkiem kwietnia 1839 roku wyruszył w podróż na Wschód, zaplanowaną szeroko, zamierzał bowiem zwiedzić Egipt, Palestynę, Syrię, Liban, Turcję i Grecję. W Marsylii wsiadł dwudziestego szóstego kwietnia²⁸ na statek i jadąc wzdłuż wybrzeży północnej Afryki, pierwszego maja 1839 r. dotarł do Aleksandrii.

Pięćmiesięczny pobyt w Egipcie odtwarza częściowo *Podróż po starożytnym świecie*. Z Aleksandrii, ówczesnej stolicy kraju, wypuszczał się Wężyk na dłuższe wycieczki. Zjeździł wzdłuż i wszerz Deltę zahaczając o wszystkie ważniejsze miejscowości, a następnie udał się do Kairu, gdzie zabawił nieco dłużej. Stąd Nilem wyruszył w dwumiesięczną podróż do Górnego Egiptu, docierając aż do pierwszej katarakty, do Assuanu, po drodze zaś zatrzymując się wielokrotnie dla obejrzenia co ciekawszych zabytków, rozsianych wzdłuż biegu rzeki.

Jaką drogą powrócił z Assuanu do Aleksandrii, powiedzieć dokładnie nie można, tylko do Assuanu bowiem sięga relacja *Podróży po starożytnym świecie*. Prawdopodobnie szlakiem mahometańskich pielgrzymek udał się nad Morze Czerwone, do Koseir, gdzie oczekując na okazję powrotu do Aleksandrii spisywał wrażenia z podróży. (Data, umieszczona przezeń pod tekstem *Podróży*, byłaby w takim razie omyłkowa i zamiast 1840, czytać by należało: 1839). W stolicy, powróciwszy z Górnego Egiptu, pracował nad historią tego kraju; wydane później w postaci książki szkice historyczne¹ podpisał notatką: „Pisano w Aleksandrii, 15 września 1839 roku”.

W niewiele dni później opuścił Aleksandrię udając się do Damietty, skąd statkiem popłynął do Palestyny. Opis podróży z Damietty do Jaffy, tam bowiem wylądował, znajdujemy w zachowanym fragmencie pt. „Pierwotne słów pojęcie”³. Pierwszego dnia po przyjeździe do Jerozolimy zetknął się z podróżującym właśnie po Palestynie księdzem Ignacym Hołowińskim, późniejszym autorem cenionego opisu pielgrzymki do Ziemi Świętej. Był wówczas, jak się zdaje, dziewiąty październik³⁰ (data nie jest zupełnie pewna, Hołowiński bowiem wspomina o poniedziałku, a dziewiąty październik wypadł w roku 1839 w środę).

Ostatnie chwile, pędzone w Jeruzalem – wspomina pobożny pielgrzym – schodziły nam smutnie. Myśl bliskiego i wiecznego rozdziału rzuciła na wszystko jeszcze większą posępność. Jeden tylko wypadek na czas mię rozerwał bardzo przyjemnie, bo w samą wigilię mego wyjazdu przybył z Egiptu do Jeruzalem znany dziś w naszym piśmiennictwie p. Władysław Wężyk w świetnym i dobrze mu przypadającym ubiorze wschodnim. Rozmowa pełna życia i zachwytu nad Egiptem mile uniosła kilka chwil wieczornych. Nigdy ci nie przedstawię tego błogiego radości uczucia, z jakim w dalekiej stronie spotykasz ziomka, z jakim przysłuchujesz się dźwiękom rodzinnej mowy, która jakby nadziemską melodią rozkosznie porusza serce³⁰.

Z Jerozolimy wyprawiał się Wężyk w rozmaite okolice, bliższe i dalsze; wycieczkę do Betlejem opisał w urywku „Pierwotne słów pojęcie”³. Szczególne wrażenie zrobił na nim podczas pobytu w Syrii Bejrut.

To niewielkie miasto przedstawia jeden z najbardziej zajmujących wschodnich widoków, odkrywając malarzowi tysiączne skarby żywych kolorów, dobrane pożenionych.

Na górze czernią się cedrami obrosłe obszary, sterczą w oddaleniu skały miedzianej barwy, bieleją śniegiem Libanu szczyty, rozpromienione blaskiem słonecznym, a czasem też gęsta chmura nagle spuści zasłonę na całe malownicze panorama. Na dole szare od czasu a fantastyczne kształtem mury, o stopy których rozbija się, szemrząc bezustannie, perliska piana błękitnego morza; różnobarwne flagi okrętów leżących na kotwicach, snujące się roje kupców i majtków, majowa zieloność aloesów odznaczających ścieżki w gaju za miastem, złote owoce bananów (fig Adama) i pomarańcz, różowe grenady z wonnym kwiatem; gdzieniegdzie palma wybujała okrywa swym parasolowym szczytem inne drobniejsze krzewy – a wkoło, na milę odległości, gęste gaje drzew oliwnych i cytrynowych, pomiędzy którymi snują się wąskie, białe ścieżki, a gdzieniegdzie bogato urzeźbione fontanny lub malownicze wiejskie mieszkania. Dalej, ku drugiej stronie podnóża Libanu, bieleją w oddaleniu, pośród zielonych winnic, maronickie klasztory, zamki i grody. W istocie, jedyne to miejsce, którego nie przechwalił nawet Lamartine w swoim przesadzonym, a zawsze powierzchownym opisie *Podróży na Wschodzie*.¹³

Na rok 1840 przypada podróż po Turcji, Grecji i Włoszech, której itinerariusz jest nam nieznany. Zwiedził wówczas Wężyk Ateny i Spartę¹³, wyspy greckie (pobyt na jednej z nich, Syrze, opisał dość dokładnie⁴); najdłużej zatrzymał się w Konstantynopolu. Oto kilka jego wrażeń ze stolicy Porty Otomańskiej.

Morze Marmara:

...piękne wysepki na morzu Marmara, naprzeciw Seraju i Skutari, tak wdzięczny widok przedstawiają, gdyż ich majowa zieloność i bujna wegetacja dziwnie pięknie odbijają na tle widokresu od melancholicznych cyprysów, co na dwóch przeciwnych brzegach – Seraju i Skutari – grobowy cień rozpościerają. Te wysepki zowią się Książęcymi, a mieszkając przez kilka miesięcy w Konstantynopolu miałem sposobność przekonania się, że wraz ze Słodkimi Wodami są Laskiem Bulońskim, Praterem... lub raczej Saską Kępą mieszkańców¹³.

Derwisze „wyjący”:

...powinien by był także nas zaprowadzić obok wielkiego cmentarza w Skutari, do klasztoru derwiszów „wyjących”. Nierównie ciekawszy przedstawiają oni widok. Wśród okrągłej i sklepionej budowy, przy rozwartym wniścium której kupią się przechodnie, dzieci i niewiasty, na rozłożonych matach egipskich kilkunastu derwiszów w spiczastych kołpakach, w szarych i długich sukniach siedzi dokoła z krzyżowanymi pod siebie nogami. Jeden – najstarszy – z siwą brodą, siedzi we środku koła i czyta rozwartą księgę Koranu, a jego jednostajnemu głosowi wtórują westchnienia kiwających się bezustannie derwiszów. Westchnienia, jednostajne jak balans zegaru, głos cichy, najprzód z głębokości płuc wydobywany, zamieniający się wkrótce w jęk bolesny, nareszcie w wycie przeraźliwe, na koniec w śmiertelne łkanie; modlący się, z oczyma krwią zabiegłymi, z pianą na ustach, z obliczem trupiej bladeści, padają jedni na drugich w omdleniu (w boskim zachwyceniu, jak to nazywają) i wynoszą ich z przysionka, w którym dwa razy na tydzień odprawiają tę ohydłą i niemiłą Bogu modlitwę.

Na własne oczy widziałem dziesięcioletnich chłopców niweczających taką modlitwą nie rozwinięte jeszcze fizyczne siły. Mało się pomiędzy nimi znajduje starych derwiszów, gdyż wszyscy prawie na suchoty umierają³¹.

Bosfor wieczorem:

Miło przesuwając się złoconym kaikiem po Bosforze, wolelibyśmy jednak odbyć ten spacer w innej porze. Na przykład wieczorem, pośród miesiąca ramazanu, gdyż wtedy cały Stambuł w ogniach czarodziejskich: szczyty minaretów uwieńczone przez ciąg nocy jasnymi gwiazdami z lamp tysiąca; wielkie nadbrzeżne kawiarnie lub pałace ubrane w kagańce z różnobarwnych świateł, a nawet i burzliwe koryto Bosforu spod rudła i wiosł liczących kaików jak gdyby bengalskim ogniem się powleka, gdyż każdy kaik ciągnie za sobą wstęgę ognistą gdyby ogon komety, a fosforyczność nadzwyczajna morskich topieli ubiera jak gdyby w gwiazdziste promienie nawet delfinów wywracających koziołki. W dzień zaś wszystko błękitne, a z wieży Galata widać tylko liczne kaiki snujące się w różne strony jak jaskółki przed burzą¹³.

Ostatnim etapem podróży, rozpoczętej w kwietniu 1839 roku, były Włochy; zwiedzał tu Wężyk starożytności i szperał po bibliotekach w poszukiwaniu materiałów do historycznego podkładu swych podróżnych relacji (m. in. w Wenecji¹).

Do kraju powrócił po dwuletniej nieobecności, z początkiem roku 1841. „Za powrotem do kraju – pisał o sobie – zająłem miejsce w gronie obywateli, wszedłem w stosunki z Litwą i Koroną²², inaczej mówiąc, próbował osiąść na wsi i gospodarować. Zainteresowała go hodowla koni, której zaczął poświęcać sporo uwagi. Jako właściciel wzorowej stajni podczas pierwszych wyścigów konnych, jakie odbyły się dwudziestego i dwudziestego pierwszego czerwca 1841 roku w Warszawie, wystawił kilka koni do biegów oraz – co nas interesuje bardziej – będąc sam podczas gonitw obecny, w ciekawym reportażu utrwalił przebieg całej imprezy.

Zamilczając nawet o stronie pożytecznej wyścigów konnych i wystawy poprawczej rasy zwierząt, zaprzeczyć nie możemy, że takowe sprawują jeszcze niezwykłą przyjemność dla widzów i interesowanych. Jest to zawsze bowiem rodzaj gry, którą los rozstrzyga, szlachetniejszej od innych, gdyż jej instrumentem nie są malowane papierki, lecz żywe i pełne szlachetnego ognia zwierzęta, a miejscem walki nie dwułokciowa przestrzeń zielonym suknom pokryta, lecz plac obszerny, naokoło którego tłoczą się tysiące widzów.

...Gdy już nadszedł dzień gonitw, od ranka gorączkowa niespokojność panuje w umyśle interesowanych o chwałę swoich koni... W tym dniu na próżno byś z nimi chciał rozprawiać o najważniejszych wypadkach; zawsze w ich myśli przede wszystkim: Luceta, Vera lub jaka inna podobna bohaterka...! Niektórzy z nich idą nawet pobożnie na mszę, strzegą się starannie spotkania żałobnego karawanu i pilnują, aby się przypadkiem koń nie wyrwał z ręki masztalera... gdyż to złowieszcze wróżby! O czwartej po południu już się część miasta, przyległa alei łązienkowskiej i mokotowskim rogatkom, napełniać zaczyna niezliczonymi powozami. Bocznyymi alejami jeźdźcy jadą konno. Czworokonne omnibusy dowożą periodycznie do rogatek licznych amatorów, a środkiem ulicy postępuje wielki, odkryty szaraban, zaprzężony sześcioma pocztowymi końmi, prowadzonymi przez dwóch wygalonowanych pocztylionów, którzy na przemian lub razem grają w trąbki. Na omnibusie siedzi kilkunastu wesołej młodzie z cygarem w ustach, z szampanem w czubku, z szpicrutą w rękę i z czerwonymi kartami akcjonariuszów rzeczywistych na kapeluszu...! Przed nimi dżokej maleńki w paśowej aksamitnej kurtce postępuje stępem na białym koniu. O wpół do szóstej z wieczora trzy trybuny przeznaczone dla widzów wypełniły się aż do samego szczytu, a wkoło okrążonej przestrzeni stanęły w szeregu powozy, z których ciekawsi, nie mający już miejsca gdzie indziej, mogli dość dobrze spoglądać na widowisko.

...Już wszystkie miejsca wypełnionymi zostały, a jeszcze kwadransa brakowało do rozpoczęcia gonitw. Przez ten czas trzy muzyki wojskowe grały marsze i galopady, a dżokeje pojedynczo próbowali konie.

...Każden z widzów upatrywał sobie jakiego czworonożnego ulubieńca i na nim opierał swoje nadzieje. Młodzież składała w budce sędziów rozmaite kwoty pieniężne, przeznaczone na zakłady za tym lub owym koniem. O szóstej trąby dały znak umówiony i trzech jeźdźców wyjechało w szranki.

...Trzej współubiegający się stanęli przed sędziami i wyciągnawszy na los numer, którego mieli zająć w szrankach, wrócili się na miejsce odjazdu i za wymówionym hasłem przez członka Dyrekcji, tamże przytomnego, puścili się z miejsca, prysnąwszy za sobą tumanem kurzawy¹¹.

Na oczach dwudziestu tysięcy widzów zwycięska klacz

...wśród głośnych pochwalnych okrzyków przebiegła przed budką sędziów, obiegłszy metę dwuwiorstową w minucie i trzydziestu pięciu sekundach.

Pierwsza nagroda jej niezaprzeczenie przyznana została... Głośnie okrzyki pozdrowiały ze wszech stron konia, dżokeja i ich pana. Przyjaciele ściskali rękę szczęśliwego posiadacza tak dzielnego rumaka¹¹.

Posiadaczem owym był – sam autor reportażu, którego klacz nosiła, obyczajem do dziś nie wygasłym, imię cudzoziemskie: Lady Stenhop.

Niejedno wrażliwe serduszko żeńskie biło przyspieszonym ruchem w chwilach przesilenia wygranej z jednej lub z drugiej strony... Wygrywający pierwszą nagrodę, którego stał przez cały czas gonitw bledszy niż pod pierwszym kartaczowym ogniem, zajaśniał żywym rumień-

cem i wśród odgłosu trąb został przywołanym przed J. O. Ks. Namiestnika Królestwa, który mu nagrodę osobiście wręczył, przemówiwszy kilka słów uprzejmych¹¹.

Było to w niedzielę, dwudziestego czerwca; w poniedziałek po kilku gonitwach

...wyścigi zakończyły się przez pospolite ruszenie wszystkich dżokei. Ten, co dobiegł pierwszy, dostał pieniężną nagrodę z prywatnej szkatuły J. O. Ks. Namiestnika.

Przez kilka dni naprzód i przez parę dni później Warszawa była w niezwykłym ruchu i zajęciu. Jak na raz pierwszy, wyścigi bardzo się dobrze odbyły¹¹.

Reportaż, wydrukowany przez „Bibliotekę Warszawską”, nie był debiutem Wężyka-literata, już bowiem parę miesięcy wcześniej to samo pismo ogłosiło *Wyjątki z podróży po Egipcie*². Równocześnie z *Pierwszymi wyścigami* opublikował Wężyk w „Bibliotece Warszawskiej” opowiadanie *Dwaj przyjaciele*¹⁰, ukończone (jak informuje dopisek) pierwszego czerwca 1841 roku.

Opowiadanie to, opatrzone podtytułem „Szkic z obyczajów Paryża”, przenosi nas do stolicy Francji schyłku lat dwudziestych i początku trzydziestych; nieporadne fabularnie, jest historią o dwóch przyjaciółach, z których jeden, ponieważ pracowity i uczciwy, z ubogiego studenta staje się poważanym parlamentarzystą, drugi zaś, ponieważ lekkoduch i hochsztapler, kończy nędźnie, zabity w pojedynku. Naiwnie moralizującą przypowieść rzucił Wężyk na ruchliwe tło życia paryskiego, naszkicowanego niestety nie zawsze z artystycznym powodzeniem: obok paru wybornych obrazków są tu przeważnie drobiazgowy, antykwariuszowski, suche opisy budowli i ulic miasta.

Jako podróżnik święcił Wężyk tryumfy w warszawskich salonach, gdzie otaczała go opinia ekscentryka. „Po powrocie ze Wschodu – pisze Aleksander Weryha Darowski – używał biletów wizytowych z tytułem beja i opowiadał przygody nie ze wszystkim do prawdy podobne³⁵; złośliwcy ukuli nawet niezbyt pochlebne przysłowie: „Wężyku-beju, więcej oleju!”

Przyjemne z owego czasu wspomnienie – notuje Paulina Wilkońska – pozostawił mi także Władysław Wężyk. Był sympatyczny, życzliwy, dowcipny i każde towarzystwo ożywiał. We wszystkich lubiono go salonach. Podróżował wiele i starał się wszędzie poznać wszystkich i wszystko. Opowiadano, że umyślnie pojechał do Grazu, by poznać Karola X i dwór jego. Nazwisko swoje podawał na biletach: de Vengick. Miano go za Bretończyka albo Wandejczyka i natychmiast przyjętym został. Nic wszelako stamtąd tak wiele ciekawego nie wywiózł. We Włoszech kazał sobie podobno przez żart wydrukować bilety: *Il comte Serpentino della Ruda Granda* (majątek Wężyków w Lubelskiem nazywał się Wielka Ruda).

...Zostawał w stosunkach ściślejszej przyjaźni z Cyprianem Norwidem i byli prawie nierozłączni³².

Przyjaźń Wężyka z Norwidem, zadokumentowana wierszem Norwida *Do wieśniaczki*, przypisanym na pamiątkę Wężykowi z datą: „Warszawa, 11 maja 1841”, utrwaliła się podczas wspólnej wędrowki po kraju, w którą obaj literaci wyruszyli latem 1841 roku³⁰. „Wstąpiłem w ślady Chodakowskiego²² – pisał o owej wyprawie Wężyk; jej rezultatem miał być historyczno

-etnograficzny obraz kraju, ujęty w formę literackiej gawędy. Do *Podróży w Koronie*, tak bowiem miał brzmieć tytuł owej gawędy²⁰, zebrał Wężyk sporo materiału historycznego (zachowały się obszerny wyciągi z kronik Galla, Bielskiego, z *Historii Naruszewicza* i in.^{20, 21}); by zaś zgromadzić materiał etnograficzny, odbył z Norwidem dwie paromiesięczne wędrowki, pierwszą w roku 1841, drugą zaś w roku 1842 – „do Czarnolesia, Sandomierza, Ojcowa, Częstochowy, Krakowa, słowem, całej Małopolski i Mazowsza, ziem wieluńskiej, sieradzkiej itd.”¹⁵. Niestety, *Podróż w Koronie* nie została nigdy napisana, jakkolwiek Wężyka i Norwida,

wyruszających na wyprawę po kraju, otaczało ogólne zainteresowanie: jeden z młodych poetów, Antoni Czajkowski, żegnał ich nawet entuzjastycznymi wierszami³¹.

Z wycieczki po kraju wrócił Wężyk w październiku³⁶ roku 1841 do Warszawy; z listopada pochodzi datowana w Warszawie recenzja *Pism* Franciszka Morawskiego (Wrocław 1841, t. I), którą Wężyk napisał z myślą o publikacji w którymś z czasopism. Zachowała się jej kopia rękopiśmienna¹⁹. Wywody krytyczne zamyka recenzent wnioskiem, iż „autor jest niezaprzeczenie biegłym pisarzem, zręcznym sztukmistrzem, ale nie jest poetą”¹⁹.

Początek roku 1842 spędził Wężyk w rodzinnym Toporowie, zajmując się pracą pisarską. Ukończył ostatecznie *Podróż po starożytnym świecie*, datując wstęp do części historycznej w Toporowie 10 marca 1842 roku¹. Książkę dedykował: „Dobremu i światłemu ojcu w dowód wdzięczności”¹.

Równocześnie pracował nad zakrojonym na szerszą skalę obrazem literatury światowej, któremu przeznaczał tytuł *Powszechny przegląd arcytworów poezji świata*⁵. Miał to być zarys historyczno-literacki, obejmujący twórczość poetów od Dawida, autora *Psalmów*, aż po Chateaubrianda, przy czym zestawienie obu tych nazwisk wskazuje na tendencje ideowe całości. Szczególną uwagę poświęcać miał *Przegląd* poetom polskim. *Przegląd* ten znany tylko z czterech niewielkich urywków, publikowanych w latach 1842–1843 na łamach czasopism. Jeden z nich, Fragment z wstępu do powszechnego przeglądu arcytworów poezji świata⁵, datowany w kwietniu 1842, a drukowany w „Przyjacielu Ludu” w sierpniu – październiku tego roku, zawiera ogólne uwagi o poezji oraz wyliczenie znakomitych poetów świata na kanwie rozważań historyczno-filozoficznych. Trzy dalsze urywki dotyczą trzech poetów – zwróćmy na to uwagę – wszystkich z epoki baroku. Szkic *O Piotrze Kochanowskim i geniuszu Tassa*⁷, umieszczony w „Przyjacielu Ludu” z lipca 1842, przynosi interesujące rozważania nad *Jerozolimą Wyzwoloną* Tassa i wysokie pochwały talentu Piotra Kochanowskiego jako tłumacza. Datowany w Krakowie 25 maja 1842 artykuł o Kasprze Miaskowskim⁶, drugorzędnym poecie polskiego baroku, skażony jest tendencją panegiryczną: Wężyk upatruje w Miaskowskim znakomitego poetę i człowieka nadzwyczaj pobożnego; niestety, tylko drugie z tych określeń jest w pełni usprawiedliwione. Zdaje sobie z tego sprawę i sam autor artykułu, ale słuszność swego poprzedniego sądu stara się podtrzymać mocno karkołomnym rozumowaniem: „uchybianie zasadom sztuki dowodzi, że religia i obywatelstwo nie były chwilowym pomyśleniem geniuszu Miaskowskiego, lecz ciągłym celem i zajęciem jego życia”⁶. Ostatni opublikowany fragment *Przeglądu*, studium o Stanisławie Grochowskim⁸, umieszczone w „Pielgrzymie” z roku 1843, zawiera garść znamienych spostrzeżeń nad upadkiem oświaty i literatury pod wpływem jezuickiej kontreformacji.

Nauka jezuicka wtedy nie przyspieszała rozwijania samodzielności w uczniach, nie było to bowiem zgodnym z widokami tych, którzy używali naukę jako środek, uważając uczniów za sprzężyny, którymi i w wieku dojrzałym sterować mieli⁸.

Główne wartości utworów Grochowskiego widzi Wężyk w tym, iż poeta „nie skaził czystości rodzinnej mowy, owszem, dodał jej nowego blasku”⁸.

Z początków roku 1842 pochodzą jeszcze dwie inne prace literackie Wężyka. Jedna z nich – to recenzja świeżo wydanych pierwszych dwóch tomów *Pielgrzymki do Ziemi Świętej* Ignacego Hołowińskiego, które autor *Podróży po starożytnym świecie* ocenił z należytą kompetencją. Wartość *Pielgrzymki* upatrywał w różnorodności zgromadzonych w niej spostrzeżeń:

Autor to nam opowiada zajmujące szczegóły różnych przygód każdemu wydarzających się w tej dalekiej podróży, to opisuje dokładnie arcydzieła sztuki, to wywodzi trafne wnioski z

historycznych wypadków lub wprowadza na scenę dramatyczne wydarzenia, obudzające ciekawość, przejmujące zgrozą lub podziwieniem¹³.

Druga praca literacka – to drukowane w kwietniowych zeszytach „Tygodnika Literackiego” z roku 1842 *Wspomnienia z moich podróży*, opatrzone podtytułem „Sceny obyczajowe”, a zawierające opis *Przejażdżki po Praterze*¹² wiedeńskim. Przejażdżkę tę odbywa Wężyk w dniu wyścigów konnych (zapewne w 1840 lub 1841 roku²⁸), co stanowi okazję do zaprezentowania zebranego na torze towarzystwa, śmietanki arystokracji austriackiej:

Gdy się wszyscy z swymi wspomnieniami i pomiędzy sobą porachowali, znalazło się, że temu lat sto trzydzieści wszystkich przytomnych pradziady i prababki znajdowały się w takimże samym towarzystwie i o tymże prawie samym rozmawiali. I to, co się przypadkiem wydarzyło w tym gronie, mogłoby być sprawdzonym na całym wiedeńskim towarzystwie, gdzie oprócz odmian, które wprowadzili w kroju sukien Gunkel i Rabatyn, a w kształcie pozwozów Brantmajer i Planke – od samego potopu nic się wcale nie zmieniło¹².

Nielepsze zdanie miał Wężyk o łoży królewskiej, gdzie pod nieobecność monarchy królowa małżonka wszechwładnego ministra, księżna Metternich.

W łoży nieco odmienną prowadzono konwersację. Księżna M., elegancko rozparta w najwygodniejszym miejscu, przerywała czasami dość żywym głosem poważne milczenie otaczających ją panów. – Wiesz, książę – mówiła do stojącego obok młodzieńca – że ten głupiec Balzak, którego parę razy przyjąłem w moim salonie, ośmielił się przysłać mi z Paryża swój najnowszy romans, i to jeszcze na żółtym papierze drukowany. Czy kto słyszał coś podobnego...?¹²

Całkiem inna atmosfera panowała natomiast za barierami, gdzie stało

...grono rzemieślników, świątecznie ubranych, opowiadających wypadki wczorajszego balu u Szperla, palących cygaro i dających sobie rendez-vous w Zielonym Ogrodzie, gdzie dziś Strauss grać będzie¹².

Wiedeń wywarł na Wężyku wrażenie miasta pogrążonego w stagnacji, wrażenie ...starożytnej fortecy, gdzie się przechował, jakby w słoju marynata, zmarły już od dawna na świecie feudalizm¹².

Kończy więc swój reportaż wizją miasta posępną, nie pozbawioną przy tym sugestywnego wyrazu. Oto

...piękne, zielone ogrody, bulwary, spacer, nowe i białe przedmieścia, ozdobione włoskiej architektury pałacami. Po tych ogrodach, na tych przedmieściach, pod fantastycznym smyczkiem Straussa i Lannera brzmi wiecznie szalona muzyka, co upaja jak opium zdrobniałych optymistów, słabodusznych, gnuśnych, nałogowych, ograniczonych, nieczułych, szczęśliwych! Miesiąc, rok możesz brnąć przyjemnie w tym życiu, lecz jeśli twa dusza z hartowniejszego kruszcu – nie wytrzyma dłużej, jeśli zaś z t e k t u r y lub z g l i n y – stanie się na wieki wieków nakręconym a u t o m a t e m, poruszającym usta, ręce i nogi za pociągnięciem nitki, wszystkim innym ruch nadającej, lub za skinieniem zaczarowanego smyczka¹².

Z literatury i wiedeńskich wyścigów wypada przenieść się teraz do rzeczywistości i – na wyścigi warszawskie. Podobnie jak w roku ubiegłym, wystawiał i teraz Wężyk konie do bie-
gów, ale tym razem normalny tok imprezy zakłócony został przez okoliczność, która głośnym

echem przetoczyła się po mieście. Oto jak ją relacjonuje Paulina Wilkońska (wspomniany w tekście mąż Pauliny, August, jest znanym autorem *Ramotek*):

W pierwszej połowie czerwca odbywały się, jak zwykle, wyścigi konne. Więc pojechaliśmy także.

Dużo napłynęło obywatelstwa, nawet i ze stron dalszych. Pan Władysław Wężyk miał także konie do wyścigów.

Tuż przed rozpoczęciem, gdy wszystko już było w oczekiwaniu, przybiega August zapezrony i mówi nam:

– Paskiewicz, zobaczywszy Wężyka z wielką brodą, wydał rozkaz, ażeby brodę zgolił natychmiast, bo inaczej nie pozwoli, by do wyścigów należał.

Zrobił się harmider wielki... Władysław Wężyk nie ogolił brody i konie jego nie ścigały się wcale. A nazajutrz zaraz podał się o paszport emigracyjny.

Trzeciego dnia potem był u nas na pożegnanie, z brodą piękną zawsze, w czarnej czamarcie. Widziałam go wtedy po raz ostatni.

Chłopcy na ulicach z tej okolicy wyśpiewywali świeżo zrymowany krakowiak:

*Kto chce na koniu swawolić,
Musi wprzód brodę ogolić.³²*

Znacznie szczegółowiej perypetie swoje z namiestnikiem Królestwa, Paskiewiczem, opisuje sam Wężyk w memoriale sporządzonym nazajutrz po wypadku, tj. w czwartek dnia 16 czerwca 1842 roku.

Tak przez wzgląd na to, com winien samemu sobie, jako też przez poszanowanie dla Prawdy i godności obywatelskiej funkcji, którą mnie współobywatele zaszczytli, mam sobie za obowiązek spisać dosłownie szczegóły wypadku, którego mi się dnia 15 czerwca rb. wydarzył.

Znajdując się od godziny drugiej po południu na placu wyścigowym, gdzie przybył wraz z Xawerym Branickim, Łączyńskim i innymi, konie wyścigowe mającymi – a to w celach 1-mo: przedstawienia do popisów klaczy Lady Stenhop, która w przeszłym roku otrzymała zwycięstwo) 2-do: aby używać prawa, jakie mi nadaje moja stołotowa akcja; 3-tio: aby dopełnić obowiązków członka komitetu, delegowanego od akcjonariuszów do kontrolowania czynności dyrekcji – stojąc przy barierze zewnętrznej, tuż przy miejscu, którego wjeżdżają powozy, ujrzałem około godziny czwartej generała na koniu do mnie się zbliżającego, którego zawołał na mnie po familijnym imieniu, jak na dobrze znajomego, nie używając nawet przyimka „pan”, powszechnie przyjętego.

Za trzecim zawołaniem, gdy mnie się ten generał zapytał już w odmienny sposób: „Czy pan – pan Wężyk?”, odpowiedziałem potakując, pokłoniłem się i przybliżyłem się do konia.

Natenczas generał powiedział mi, że dwa razy po mnie przysyłał, i wyrzucał surowo, że się nie stawiał na jego rozkazy.

Odrzekłem na to, że nie wiem, kto do mnie przemawia. Na co mi odpowiedział, że jest generał-policmajstrem Sobolew.

Oświadczyłem wtedy, że nic nie wiedziałem o tym, że się generał chciał ze mną widzieć, gdyż znając go z Kalisza, nie omieszkałbym go odwiedzić.

Generał odpowiedział mi, że tu nie o tym mowa; wyrzucał mi raz jeszcze, że się przelamałem jego rozkazy nie stawiając się na zawołanie i przybywając na plac gonitw z nie ogoloną brodą.

Raz jeszcze zaręczyłem słowem honoru obywatelskim, że żaden obcy ani własny służący nie zawiadomił mnie o tym, jako generał chce się ze mną widzieć.

Opodał stojący JW. Edward Lubowidzki, obywatel z Podola, i W-ny ... (nieczytelne), dy-misjonowany pułkownik Wojsk Polskich, patrzyli na to, co mnie spotykało.

Jenerał kazał mi natychmiast wrócić do domu i ogolić brodę lub się wcale na placu nie znajdować.

Oświadczyłem z powagą, że tego spóźnionego rozkazu wykonać nie mogę, będąc członkiem komitetu wyścigów i wystawy i znajdując się obecnie w miejscu i w chwili, w której takowe wyścigi odbywać się mają, a które mój koń rozpocząć będzie.

Jenerał wezwał żandarmów i kozaków i chciał mnie siłą wyprowadzić z miejsca, co widząc oświadczyłem, że wprzódym się w obecnym miejscu i w obecnej okolicy poddam policyjnym rozporządzeniom, wypada mi złożyć insygnia akcjonariusza rzeczywistego w ręce prezesa dyrekcji, a mój urząd w ręce prezesa komitetu. Jenerał przystał na to, a ja udałem się przed główną estradę, na miejsca dla członków wyznaczone, koło budynku, w którym sędziowie dopełniają swych obowiązków, i zawiadomiłem prezesa dyrekcji, członków Wł. Brujewicza, JW. gubernatora Łaszczyńskiego i innych o tym, co mi się wydarzyło, dodając, że podług mego przekonania musi to być skutkiem pomyłki, i deklarując, że nie przestanę dopełniać obowiązków mojej funkcji, dopóki mi rozkaz od najwyższej krajowej władzy zakomunikowanym przez prezesa dyrekcji jeneralnej nie zostanie.

Po upływie pół godziny, kiedym podczas ulewy schronił się pod zakrycie koło schodów i bariery, pozostając jednak w obrębie dla członków przeznaczonym, zbliżył się do mnie powtórnie jenerał-policmajster i biorąc z tyłu za ramię chciał mnie wyprowadzić z obrębu, oświadczając, że chce ze mną pomówić.

Odsunąłem się kroków kilka i schroniłem się na środek obrębu, oświadczając na głos przy obecnych członkach, że znając intencje jenerała nie wypada mi mieć z nim prywatnej rozmowy i udawać się na inne miejsce od tego, w którym urzęduję.

Oświadczyłem także, że będąc w funkcji, usłucham tylko tych rozkazów, które mi właściwą drogą udzielonymi zostaną, i takim się poddam lub przemocy ulegnę.

Te słowa słyszeli obecni członkowie, którzy je poświadczą sami, jak tego będzie potrzeba.

Jenerał wziął mnie raz drugi pod rękę, pociągnął ku barierze, nie znajdując z mojej strony żadnego fizycznego oporu; wyrzucał mi jeszcze, że jestem nieposłuszny i że się nie stawiał na jego podwójne wezwanie. Jeszcze raz oświadczyłem przyzwoitym tonem, że mi nikt nie wręczył rozkazu, co zaś do zarzucanego mi nieposłuszeństwa, że przeciwne postępowanie nie zgadzałoby się obecnie z przyjętym przeze mnie obowiązkiem.

Doszedłszy do bariery jenerał oddał mnie w ręce żandarmów i Bogatki, a ci mnie uprowadzili trzymając pod ramiona.

Protestując przeciwko temu czynowi poddałem się władzy i konwojowany zostałem aż do rogatek Warszawy.

Rzetelność i dosłowność tych szczegółów przysięgam w każdej chwili stwierdzić gotów jestem.

Władysław Wężyk.¹⁹

W czerwcu 1842 r. opuścił Wężyk Warszawę udając się do Galicji. Jako krajoznawca zetknął się wówczas z Wincentym Polem, gospodarującym pod Gorlicami. Wizytę u Pola utrwalił w obrazku *Szczęść Boże w świat. (Opis domku znanego poety)*¹⁴. W domu Polów gościł znany wiolonczelista, Samuel Kossowski, wyruszający właśnie na zagraniczne tournée – stąd tytuł obrazka. W pamięci Wężyka pozostał

...głos naszego poety, po kilka godzin płynnie, z natchnieniem mówiącego o historii architektury w naszym kraju, o estetyce i pracach wszystkich szkół niemieckich w tym przedmiocie aż do naszych czasów poczynionych, o roślinności ziemi naszej, o jeografii tejże i o powierzchniowym i płytkim zapatrywaniu się na nią aż dotąd, bez zastanowienia się nad naturą i obyczajem ludów, będących jedynym prawdziwym jeograficznym podziałem¹⁴.

„Doświadczwszy kilkakrotnie grubiaństwa rządu mi niechętnego – pisał Wężyk o sobie – a przed rokiem gwałtu, wyrządzonego mi na publicznym miejscu, w obliczu trzydziestu tysięcy ludu, postanowiłem przestawać na mniejszym, zrzec się ziemskich majątków, osiąść w przyległym mieście Kongresowej Polsce i oddawać się umysłowym pracom i praktycznym celom, do których mógłbym być użytym dla ogólnego dobra”²². Nowym terenem rocznej działalności Wężyka stał się Poznań, dokąd autor *Podróży po starożytnym świecie* przybył z początkiem lutego 1843 roku¹⁵. Poznaniacy zapamiętali sylwetkę pisarza, człowieka „ekscentrycznego, oryginalnego, ale cokolwiek bądź czynnego, obdarzonego zasobem dobrej woli i patriotyzmu”³³. Wężyk, „rzutny i wymowny”³⁴, „błyszczący w świetnym naówczas towarzystwie poznańskim, równocześnie zaś pisze artykuły do miejscowych pism poznańskich treści społecznej, krytycznej”³³.

Poznańskie prace literackie Wężyka zapoczątkowały *Pierwsze wrażenia podróżnego*¹⁵, ujęte w formę listu do Cypriana Norwida, zapisane w miesiąc po przyjeździe do Poznania, a wnet potem wydrukowane w „Roku 1843”. Trwający właśnie karnawał był w stolicy Wielkopolski okresem ożywionego ruchu towarzyskiego, sezonem teatru i imprez artystycznych. Ale *Pierwsze wrażenia podróżnego* z kulturalnego życia miasta są raczej mało entuzjastyczne.

W piątek dnia 18 lutego na sali pałacu Działyńskich otworzono na nowo w tym roku prelekcje historyczne. Nie wdając się jeszcze w rozbiór krytyczny tych prelekcji, powiem ci tylko, że są one nader zajmujące; ważność ich zaś kaźden uczuć by powinien, gdyż ocenić z prawdziwego stanowiska zaledwo głębszy badacz rodzinnych dziejów potrafi.

...Na pierwszej prelekcji było do pięćdziesięciu osób, na drugiej dwadzieścia, a na trzeciej mniej jeszcze. Kilku niedorostków, kilku schorzałych i dość podeszłych obywateli miejskich (może profesorów lub nauczycieli) i kilku Małopolanów chciwych nauki – oto całe audytorium uczęszczające na wykład wyższy dziejów narodowych...¹⁵

Podobnie przedstawia się w relacji Wężyka życie muzyczne Poznania.

W ostatnich dniach karnawału zawitał do tego miasta znakomity artysta, mający europejską sławę. Na koncertach Liszta mnóstwo bywało widzów. Liszt wyjechał z Poznania z zadowoleniem i z napelnionym workiem.

...Cena biletów na koncerta Liszta była dość umiarkowana w Poznaniu, ale cóż z tego, kiedy potem na tańsze koncerty, dawane przez amatorów na dochód pomocy naukowej i ubogich, na pierwszy przyszło jeszcze dość osób, ale na drugim prawie nikogo nie było...¹⁶

Nielepiej jest i z teatrem.

Znalazłem teatr dość pusty, chociaż mi powiedziano, że był pełniejszy niż kiedykolwiek, a to z przyczyny, że sztuki obiedwie po raz pierwszy były tutaj dawane. W łóżach więcej znajdowało się osób ze wsi niż z miasta, a parter i krzesła prawie pustkami stały. Zdaje się, że tak jak gra w karty większą część młodzieży wiejskiej od nauk, tak knejpa obywatelstwo miejskie od okazywania współczucia sztukom odwodzi.

W czasie sztuki młodzież elegancka, na l w a chorująca, przelatywała z łoży do łoży jak kanarek po grzędzie, a szelest skrzydełek mieszał się z głosem aktorów... Jeszcze druga sztuczka nie była odegrana w połowie, gdy większa część dam zaczęła opuszczać łoże... zapewne nie z obawy tłoku, jak to w innych miastach się zdarza czasem, ale przez naśladownictwo modnego tonu.... „Cóż to gra pana Sk. w porównaniu z grą Dewriena!” – „Ta aktorka wcale nie umie śpiewać!” – „Grizi! Grizi! O boska Grizi... kiedyż cię znowu usłyszę!?” – Tak mówiły i mówili do siebie, chcąc zawsze w j e d n y m d n i u Krakowa – i wracali do do-

mów ziewając okropnie, pomimo wewnętrznego zadowolenia, że raz na miesiąc za całego talara sztuki piękne poprotegowali.

Gdy damy wyszły, niektórzy młodzi panowie w jednej awanscenie siedzący nakryli głowy... jeden z nich zapalił sobie sans layon u lampy na korytarzu cygaro i wróciwszy do łoży wygiął się z niej na scenę, akompaniując śpiewającej aktorce i improwizując nowe słowa do piosnki – głośniej prawie od śpiewaczki... Aktorowie, widząc publiczność znikającą jak kamforę, kończyli krotofilną sztukę prawie z płaczem, a gdy im przyszło śpiewać zwrotkę do publiczności i prosić ją o oklask, primadonna roztworzyła usta i jak żona Lota stanęła w osłupieniu... bo już nie było publiczności!!! Ja tylko jeszcze dotrzymałem placu z kołowaciami oczyma, a drugim widzem byt teatralny sługa, któren wchodził właśnie na parter, aby zagasać światło przed zapadnięciem kurtyny, i wyciągając ramiona, jak posługacz Bartola w Cyruliku Sewilskim, ziewał niemiłosiernie. Była to w istocie komedia w komedii... Widowisko, któremu trudno dać nazwisko...!¹⁵

W zakończeniu poznańskiego reportażu zwraca się Weżyk do Norwida z tymi słowy:

Przesyłam ci te pierwsze obrazy, które zdjąłem dagerotypem myśli z Poznania... Nie sądz, abym miał zamiar naśladować listy perskie Montesquieu. Niż krytykować, sam działać wolę¹⁵.

Nie bez przyczyny w *Pierwszych wrażeniach* poświęcił tyle uwagi teatrowi, sceną bowiem poznańską zainteresował się szczególnie, podejmując ambitny zamiar przekształcenia jej z przybytku lekceważonej rozrywki dla arystokratycznych snobów – w „narodową szkołę obyczajów”.

Kiedy mówię: teatr, nie myślę przez to o zmysłowych, choć zgrabnych skoczkach, o tłustych possach, o cynicznych wodewilach itp. Przez teatr rozumiem szkołę wyższą dla rodzin za mało zamożnych, aby na uniwersyteta swe dzieci posyłać. Uniwersyteta dla rzemieślników, potrzebujących nauki z rozrywką, a nie oschłych sentencji; świątynię Westy dla publicznego zapалу; pręgierz na domowe dziwactwa jakiego wiejskiego lub miejskiego safandudy lub jakiej kapryśnicy... Takim wprawdzie teatr poznański nie jest jeszcze, ale stać by się mógł z czasem, gdyby mu dano ten kierunek i dopomóc chciano do wzbicia się w górę... rozwiąawszy skrzydła...¹⁵

Poglądy swoje na rolę i znaczenie teatru, na jego zadania, na perspektywy i możliwości rozwoju sceny polskiej w Poznaniu wyłożył Weżyk w broszurze *Historia siedmiomiesięcznego teatru w Poznaniu*⁹ (imprimatur cenzora nosi w niej datę 9 sierpnia 1843). Główną przyczynę słabości teatru poznańskiego upatruje Weżyk w dorywczym charakterze opieki różnych towarzystw dramatycznych. Ich działalność, prowadzona od przypadku do przypadku, nie zapobiegła sytuacji, w której teatr polski stał się niesamodzielną filią teatru niemieckiego.

Nie trudno dostrzec – pisze w broszurze – w czym leżała główna przeszkoda do rozwinięcia się sceny narodowej. Leżała ona najprzód w braku stosownego steru, któren by nakierował przynajmniej nie wyrobione jeszcze materiały; w braku racjonalnej krytyki, która by je wyrobiła choć ostrym pilnikiem na swoim warsztacie”.

Obok właściwego kierownictwa i opieki krytyki równie ważny dla pomyślnego rozwoju sceny jest, zdaniem Weżyka, jej profil wychowawczy: „Teatr jest barometrem oświaty każdego kraju, gdyż wpływa równie na nią, jak ona na niego”⁹ – cytuje Jean Paula. A więc sprawa repertuaru; tu Weżyk obstaje gorąco za sztukarni autorów polskich, protestując przeciwko nadmiernemu forsowaniu dramatycznej literatury obcej. Ostatnia wreszcie przeszkoda utrudniająca właściwe funkcjonowanie teatru – to jego ubogie wyposażenie techniczne. Dramat Korzeniowskiego *Żywi i umarli*, na przykład,

...nie mógł być drugi raz być przedstawionym i o mało nie upadł zupełnie tylko z przyczyny machinisty, który marudził w zmienianiu odsłon, a ta zwłoka nieprzyzwyczajonemu – jak w Paryżu lub Londynie – parterowi do długiego pozostawania w późną noc w teatrze tak się zdawała nudną, że za każdym aktem ruszał się do drzwi i zaledwie w tej powszechnej rejteradzie mógł być przez kilku wstrzymanym⁹.

Po tych uwagach następuje w broszurze „Sprawozdanie z siedmiomiesięcznego istnienia normalnego teatru polskiego w Poznaniu” za okres początkowych miesięcy 1843 roku, poświęcone aktorom miejscowej sceny.

Artystów polskich rozgatkować można na dwa oddziały: starej i nowej daty.

Artystą starej daty jest stary czy młody aktor, któren się ról nie uczy, a oprócz roli nie weźmie żadnej książki w rękę, pokłada całą nadzieję efektu na fryzurze lub rękawiczkach, służy sztukom pięknym jak najęty lub za pańszczyznę, tłucze się po winiarniach, kłóci się z kolegami, czapkuje dyrektorom.

...Artystą nowej daty (...) jest aktor skromny, pracowity, przejmujący się rolą, zgłębiający literaturę (...) i korzystający z rad bezstronnej krytyki, nie goniąc koniecznie za pochwałą i oklaskiem. Tak wśród artystów starej, jak nowej daty byli u nas ludzie z dowcipem i talentem, jednakże wedle naszego zdania nie wolno już być obecnie nikomu artystą starej daty, jakkolwiek miałby wrodzony dowcip⁹.

Zaleca Wężyk naśladować aktorom raczej Komorowskiego i Jasińskiego, „artystów nowej daty”, niż Żółkowskiego, „artystę starej daty”, choć ten ostatni, jak przyznaje, miał niewątpliwie znakomitszy talent. Zaleca:

...naśladować szczególnie w pracowitości, w tej szlachetnej żądzy nabywania wiadomości, a nie w akcencie głosu, nie w łkaniu itp., bo to wszystko winno być w artyście samodzielnym i z uczucia pochodzącym, a nie naśladowanym⁹.

Według więc oceny Wężyka, nikt spośród siedmiu aktorek i dziewięciu aktorów, stanowiących obsadę teatru polskiego, nie jest artystą szczególnie utalentowanym; zespół jest wyrównany na poziomie bardzo przeciętnym. Bardzo mocno apeluje Wężyk o lepsze zaopatrzenie potrzeb materialnych aktorów, o umożliwienie im podróży dla przyjrzenia się grze słynnych artystów.

Broszurę Wężyka zamyka zestawienie dokumentów. „Zdanie sprawy z działań Opieki, wyznaczonej przez zebranie walne z dnia 15 marca 1843 do zatrudniania się narodową sceną” relacjonuje pertraktacje z rządowym dyrektorem teatru i wylicza się z „wpływu i wypływu” funduszy teatralnych, pochodzących ze społecznych składek. „Zdanie sprawy” obejmuje okres od 15 marca do 5 sierpnia 1843 roku, w dniu bowiem oznaczonym tą ostatnią datą wybrano „nową Opiekę Teatralną, mającą się już zajmować przyprawieniem do skutku osobnej sceny polskiej w Poznaniu”⁹, sceny niezależnej od teatru niemieckiego. W skład owej Opieki, jak wynika z protokołu obrad, Wężyk wszedł jako „stałe prezydujący obradom”, a zarazem „członek wydziału estetycznego”⁹, w którym kolegował z Rymarkiewiczem. Wydziałem administracyjnym Opieki Teatralnej kierowali Maciej Mielżyński i Karol Marcinkowski.

Rozpoczynając swoje działania zupełnie na bezpośredniej drodze – stwierdza protokół – nowowyzbrani postanowili otworzyć teatr na Nowy Rok 1844⁹.

Związawszy się z poważną, długotrwałą akcją kulturalną zamierzał Wężyk osiąść w Wielkopolsce na stałe:

„na św. Jan – pisze w liście, o którym za chwilę będzie mowa – będę mieć zatrudnienia około domu, którego kupuję w Poznaniu chcąc zostać mieszczaninem tego miasta”²². Tym niemniej zamyślał o (niedoszłym do skutku) paromiesięcznym wyjeździe do Paryża, planowanym na jesień 1843 roku. W związku z tym wystosował 1 maja list do Ludwika Nabelaka, którego pamiętał jeszcze z czasów swego pobytu w Paryżu w roku 1836. Chodziło Wężykowi głównie o wyjaśnienia w sprawie Towiańskiego, ale przy okazji wypowiedział wiele znamienych dla swej orientacji politycznej myśli:

...od Niemna aż do Warty i Odry wszyscy rozmawiają [o towiańszczyźnie], ale jak o żelaznym wilku, a mało kto poważnie. Roztropniejsi przypuszczają, że musi leżeć treść jakaś ważna w tym dość dziwnym pojawie, gdyż ludzie, którzy wzięli go pod swoje skrzydła, dowiedli, że są ludźmi treści i czynu. Lecz przy powszechnym racjonalizmie, tak silnie się objawiającym we wszystkich myślących głowach, forma mistyczna musi sprawiać na ogół oświeconym niemile i niekorzystne wrażenie.²²

Szczególnie niepopularne, stwierdza Wężyk, są prądy mistyczne wśród młodzieży patriotycznej, wśród generacji, która „w kolebce słyszała już rozchodzące się hasło nocy 29, a wzrosła wśród kajdan szczęku”²². Młodzież ta

...oddycha czystym republikanizmem, rozgrzewa w swoim łonie cnotę, poświęcenie, obywatelność, religię – ale oburza się na widok ducha kast, kongregacji itp., szydzi z nadprzyrodzoności w toku spraw zwyczajnych (...) i w jeden cud tylko w naszym wieku wierzy: w propagandę myśli wolności, w samsonowską siłę narodu, gdy wybije godzina wstrząśnienia kolumn północnego gmachu²².

Źródła scharakteryzowanej w ten sposób postawy widzi Wężyk w codziennym doświadczeniu życiowym.

Jeżeli zechcecie zważyć, że przy tym hydra jezuityzmu podnosi śmiało swoje rozliczne głowy w Galicji, że w niedoleżnym Krakowie kwitną różne pietystyczne kongregacje, mające swoje filie i w Poznańskim, że w Warszawie senatorowie, prezesy heroldii i różne podobne figury moskiewskie, podłącz się i żyjąc w grubym sensualizmie, modlą się jak bigoty i pietyści, że w Kijowie Beyły dowodzą pietyzmem, że nas cesarska familia tylko zbawić może, a krytycy literatury w bierności tylko upatrują środki do odbudowania dzieła przerwanego – pojmiecie łatwo, że z trudnością młodzi ludzie kraju naszego chwycą się niepojętej jakiejś myśli, objawionej przez niepojętą osobę, której wy upletlicie z waszych imion wieniec promienisty²².

Prawdziwą, istotną więzią, łączącą kraj z emigracją, jest ideowe dziedzictwo wielkiej poezji romantycznej:

Młodzież dzisiejsza (uboższa, ze stanu miejskiego czy wiejskiego) jest moralna, cnotliwa i pracowita, bo czuje ważność swego powołania, a przeto czuje szacunek dla siebie samej. Podobnej młodzieży w Polsce bardzo dużo i coraz jej więcej będzie, ale ta młodzież rozumie słowa *Pielgrzyma*, *Tadeusza*, *Mochackiego*, rozumie i czuje dźwięk *Trzech strun* rewolucyjnego wieszczą, powtarza z drugim ewangeliczne słowa o Polsce z duszą anielską, co była „pawiem narodów i papugą” i którą zawsze „błyskotkami ludzą”, i która otrząść musi koniecznie z siebie „czerep rubaszny” i niedoperza jezuityzmu – ale jakże ma zrozumieć ślepe zaufanie w osobę, której nie zna zamiarów?²²

Krytycznej ocenie towiańszczyzny towarzyszy w liście Wężyka negatywny stosunek do monarchistów emigracyjnych, zgrupowanych wokół Czartoryskiego i czasopisma „Trzeci Maj”.

Doniosę ci także słów kilka o tym, co trzymają w kraju o zacnym księciu Adamie (...). Jego osobiste zasługi są przez wszystkich cenione. Jego zdolność rządząca w nim nie wzbudza najmniejszego zaufania. Ażeby mógł być człowiekiem rewolucyjnym, w to nawet małe dzieci nie wierzą (...) „Trzeci Maj” przykre na nas wywiera wrażenie, bo nie w czas się pokazał.²²

W chwili obecnej, konkluduje Wężyk, już nie emigracja inspiruje dążenia wolnościowe:

Opinii zaś szukam wśród rewolucyjnych ludzi, pozostałych Waszych towarzystw i rówieśników waszych z nocy 29 listopada, i wśród ich naturalnych spadkobierców, co dorastają w tym przedziale od jednej rewolucji do drugiej. Nasi ojcowie są ludźmi już nie tego wieku i nie pojmą, jak nie pojmowali nigdy, tej myśli. Czego można od nich wymagać – to tylko wtórowania nam w chórach, gdzie my prym trzymać będziem. Co nam też wolno – tym jest neutralizowanie ich przeciwnych dążeń.²²

W niewiele miesięcy od daty listu do Nabelaka pod wpływem przyczyn, których nie potrafimy dziś odtworzyć, Wężyk zerwał z aktywną działalnością kulturalną, porzucił z początkiem 1844 roku²⁸ Poznań i przeniósłszy się do Krakowa, gdzie na Zwierzyńcu zakupił willę „Pod Lipkami”,

...zaczął pędzić żywot kontemplacyjny. Rozczytywał się w Piśmie św., a nawet myślał o wstąpieniu do klasztoru.

Rozmyślając nad dawnym burzliwym życiem pisał jako „obraz epoki” – *Rzetelną kronikę własnej rodziny i niektórych rodzin współcześnie żyjących* (od r. 1800–1833), wpłatając w nią opis swej młodości²⁸,

a zapewne również i wyjaśniając w niej powody nagłego zerwania ze światem. Niestety, *Rzetelna kronika* nie dochowała się do naszych czasów i do przytoczonego wyżej urywka z biografii, napisanej przez badacza, który *Rzetelną kronikę* miał w swoim ręku, dodać niczego nie umiemy. Chyba tylko informację, że zgon matki Wężyka nastąpił 17 maja 1844 roku¹⁸.

Zachowany list Wężyka do Michała Wiszniewskiego z 6 marca 1845 roku dowodzi, że autor *Podróży po starożytnym świecie* nie na długo odciął się od bieżącego życia.

Bardzo nieśmiało, pokornie *et pro bono publico solum* – pisał Wężyk do krakowskiego uczonego – śmiem przypomnieć Panu Profesorowi Dobrodziejowi łaskawą Jego obietnicę, że Pan napiszesz wstęp do drugiego wydania powieści pani Jaraczewskiej. Otóż ja teraz zajmę się tym drugim wydaniem i albo z Żupańskim, albo z Kornem, Günterem lub Bobrowiczem wejdę w układ. Zabieram z sobą dzieła pani Jaraczewskiej, ale życzyłbym bardzo zabrać też z sobą i przedmowę, którą Pan Dobrodziej uczcis talent autorki i pamięć przyjaciółki.³²

Wiszniewski obietnicy nie dotrzymał; wydanie *Powieści narodowych* Elżbiety Jaraczewskiej, wytlócone jeszcze w tym samym roku u Bobrowicza w Lipsku, jego wstępu nie zawiera.

Podejmował więc Wężyk, jak można przypuszczać, jakąś inicjatywę wydawniczą; być może nie ograniczała się ona do dzieł wyłącznie Jaraczewskiej. Prawdopodobnie nie bez związku z tymi planami wyjechał około 15 marca 1845 roku²³ z Krakowa do Berlina. Zapiski podrózne z Berlina, obejmujące dni dwanaście, od 25 marca do 5 kwietnia, w dwa lata później ogłosił drukiem J. I. Kraszewski w swoim „Athenaeum”¹⁷. Zapiski te jednak niewiele

mówią o autorze, poświęcone są bowiem głównie opisowi miasta i charakterystyce bieżącej sytuacji w jego życiu naukowym i artystycznym.

Oto ogólne wrażenie (pod datą 25. III, tj. we wtorek po Wielkanocy):

Przybywszy do Berlina w interesie na dni kilkanaście (...) dopiero teraz poczułem całą jego monotonią, gdyż przebywając tu dawniej w naukowym celu nie zauważyłem był dotąd tej charakterystycznej cechy pruskiej stolicy,

...Dlaczegoż, pytam, wszystkie ulice wyciągnęły się w prostych, równo odległych liniach, jak kwatery warzywnego ogrodu? Dlaczego te domy, w których trzysta tysięcy ludzi się mieści, wyglądają jednostajnie, jak paki kupieckie większego lub mniejszego rozmiaru? Dlaczego tu wszystko pod cyrklem i sznurem, jak dzieło prozaicznego, kupieckiego rozsądku, a nigdzie śmiałych linii, fantastycznych kształtów, „płodów żywej, młodzieńczej wyobraźni?”

Jedynym elementem ożywiającym surowe oblicze miasta jest muzykalność jego mieszkańców (27. III):

Po ulicach Berlina kompanie biednych studentów, w czarne, kuse płaszcze i w stosowane kapelusiki przybranych, pod dowództwem podobnie ubranego nauczyciela stają w kółko przed każdym większym domem, odśpiewują jaką pieśń chórem, a potem rozbiegają się ze skarbonkami po kamienicach, aby sobie uzbierać silbergrosze na stół i książki¹⁷.

Przeżyciem artystycznym był dla Wężyka koncert w operze berlińskiej, gdzie w Wielką Sobotę wysłuchał *Requiem* Mozarta i *Dies irae* Glücka.

28 marca gościł Wężyk u Wilhelma Radziwiłła (syna b. namiestnika W. Ks. Poznańskiego, Antoniego), gdzie oglądał zasobny zbiór „medalów i numizmatów” polskich. Zresztą niechętnie uczestniczył w życiu towarzystwa berlińskiego, które, jego zdaniem (29. III):

...najpospoliej jest sobie z umysłowo biednych automatów złożone, ściśle przyzwoite, gadatliwe, lubiące się bawić, a przy tym nudne, czcze i koteryjne. Nie umywa się (jak to mówią) do francuskiego wyższego towarzystwa¹⁷.

Jak gdyby dla kontrastu datę tego samego dnia nosi wiersz Wężyka, zatytułowany *Do F.*¹⁸. Pod inicjałem kryła się Felicja Dembowska (dalsza krewna Edwarda-rewolucjonisty)²⁹, narzeczona Wężyka. Niestety, wiersz jest zbyt słaby, by go przytaczać, podobnie jak i inne z owych lat, np. *Do mojej narzeczonej* itp.¹⁸.

2 kwietnia zwiedzał Wężyk berlińskie kolekcje: muzeum starożytności egipskich, zbiór rycin i litografii, galerię obrazów. Szczególną uwagę zwraca na twórczość najznakomitszego, jak sądzi, ze współczesnych rzeźbiarzy, Christiana Raucha. O charlottenburskim posągu królowej Ludwiki, dłuta Raucha, wyrokuje, że

...jest niezawodnie najpiękniejszym płodem dłuta naszego czasu, jakkolwiek o nim długo jeszcze estetycy rozprawiać różnie będą¹⁷.

Pod datą czwarty kwietnia znajdujemy charakterystykę berlińskiego świata uczonych i filozofów: zdawkowe notatki o Kancie i Fichtem, Schellingu i Heglu jako twórcach współczesnej filozofii oraz o młodszym pokoleniu lewych heglistów – Feuerbachu, Bruno Bauerze i Strausie, którym Wężyk odmawia miana filozofów, uważając ich za polityków tworzących „polityczną opozycję”, a nie szkołę naukową.

Ostatni dzień, objęty zapiskami, poświęca podróżnik opisowi Poczdamu. Jest to dzień piąty kwietnia; odtąd na pięć miesięcy tracimy Wężyka z oczu.

Spotykamy go dopiero we wrześniu – we Wrocławiu, na zjeździe rolniczym. Reportaż z owego zjazdu drukował Wężyk w „Bibliotece Warszawskiej”.

Byłem przed kilkoma dniami uczestnikiem bardzo zajmującej i niezwyklej uroczystości, a chcąc się podzielić wrażeniami, jakich doznałem, wedle naocznego mego świadectwa tu ją opisuję.

Było to we Wrocławiu: od pierwszych dni miesiąca września br. zjechało się do tego miasta tysiąc kilkudziesiąt obywateli tak ze Śląska, jako i z innych niemieckich prowincji, a nawet z ościennych, jako to z Polski i z Węgier. Byli to wszyscy ziemianie czynniej i umiejętniej krajowym gospodarstwem się zajmujący: posiadacze rękodzielń, fabryk, hut, leśnych gospodarstw, rafinerii cukru itd. Już rok dziewiąty, jak się tak zjeżdżają o tej porze. Na ten rok przypadała kolej na Wrocław. W przyszłym do Grazu zjechać się mają¹⁶.

Właściwą uroczystość poprzedziły parodniowe zebrania „w pięknej bardzo uniwersyteckiej sali paradnej, Marii Teresy nazwiskiem oznaczonej”¹⁶, podczas których „zdawano sprawę o stanie różnych gałęzi krajowego gospodarstwa i o nowszych europejskich odkryciach i ulepszeniach”¹⁶.

Centralną imprezą zjazdu był festyn na otwartym powietrzu (wedle Wężyka 15 września, ale prawdopodobniej w niedzielę 14 września 1845). Cała ludność Wrocławia „wyległa na obszerną łąkę od strony Psie Pole zwanej”¹⁶.

Korzystajmy z tej chwili, aby się rozpatrzeć w całym tym zgromadzeniu, a bez wątpienia z fizjonomii jego wiele się domniemamy i o tych rzeczach, które są w nim wewnątrz.

Zacznijmy od tych kilkudziesięciu tysięcy, co się przechadzają, tłoczą, siedzą lub nawet leżą na powierzchni obszernej łąki, na której się odbywa to widowisko. Można pomiędzy nimi rozpoznać mieszczan uboższych, kramarzy, wyrobników, rzeźników i wieśniaków z okolicy. Oblicze mieszkańców miasta jest bledsze i mniej kształtnych rysów, ale strój ich zupełnie z ogólnym strojem klas wszystkich (co do kroju) zrównany.

...Wieśniak jest wygodnie i ochędożnie bardzo przybrany, a świąteczne suknie jego są dosyć estetyczne, chociaż z kurty i okrągłego kapelusza się składają. Strój wieśniaka nie nosi na sobie ani staroteutońskiego, ani szwabskiego charakteru, a choć tutaj o tyle już po niemiecku, co po polsku mówi, tak się nosi, jak lud Górnego Śląska, po polsku tylko mówiący. Trójgraniastych kapeluszków i harbejtłów zaledwo kilka znaleźć można. (...) Tego, co nazywają „chłopski rozum”, wyczytać im z oczu nie można, a natomiast mają wszyscy wyraz gospodarskiego rozsądku.

...O trzeciej godzinie z południa zaczęła się prawdziwie piękna uroczystość. Wybór wieśniaków z całego Śląska miał się przesunąć (niby żyjąca panorama) przed oczyma kilkudziesięciu tysięcy ludzi, przed zgromadzonymi mieszkańcami stolicy i sąsiednich niemieckich prowincji¹⁶.

Następuje bardzo szczegółowy opis pochodu.

Ja zaś – kończy Wężyk reportaż – patrząc z podziwieniem prawie na taką zamożność ludu, na takie piękne kmiecie cugi, na tak olbrzymie woły, przy których ukraińskie karleją, na wesołe i piękne twarze wieśniaków, (...) już chciałem się unieść na skrzydłach entuzjazmu i głosić ten kraj za jeden z najdoskonalszych, ale na szczęście przypomniałem sobie, że to jest wystawa tego, co najpiękniejsze, i że po zakątach i górach śląskich często ciężka nędza biednym tkaczom dokucza. Chociaż ta uwaga naruszyła mi nieco całość poetycznego obrazu, przecież, jako prawdziwa, musiała tu znaleźć miejsce. Jednak tryumfalny pochód, parę godzin trwający i nie na sztuki, jak w innych, mniej zamożnych krajach, ale na setki wzorowe gospodarstwa przedstawiający, wiele mi różnych myśli przywodził. Porównywałem stan tutejszych kmieci

ze stanem naszych chłopów. Upatrywałem w dobroczynnych instytucjach (w oczynszowaniu, w uposażeniu własnością za amortyzacją) powód zbawienny wzrostu ogólnej zamożności, której teraz oglądałem skutki tak świetne. Właśnie gdy nadjeżdżały ku mnie czterokonne sprężki z bronami, przez młodych parobków z konia powożone, muzyka zaczęła grać krakowiaka, a ja wspomniałem sobie, jakim to dziarskim ogniem strzelają źrenice Szkalmierzaka lub Mazura...!¹⁶

W roku 1845 zakupił Wężyk folwark z kilkuset morgami ziemi²⁸ w Brzozowie²⁴ pod Pszczyną, na terenie ówczesnego Śląska pruskiego.

Wówczas to do tyłu szlachetnych i wzniosłych uczuć jego serca jedno się przyczyniło gwałtownie: miłość do wybranej młodej krakowianki. Wzajemność jej pozyskawszy, szczęśliwy, zaraz po ślubie osiadł w swej wsi na Śląsku. Czuła towarzyska życia osładzała samotność, w której żył blisko kraju, a jednak nie w kraju. Zaszłe wypadki nie wywołały go na długo z domowego zacisza. Szukał w nim pociech dla wcześniej strudzonego serca; tkliwa i ukochana żona dzieliła wszelkie troski, wreszcie i dziecię szczęście ich pomnożyło. Kto znał Władysława, wie, jak kochać umiał przyjaciół, rodaków; jakimże musiał być czułym małżonkiem i ojcem?²⁵

Ślub Wężyka z Felicją Dembowską odbył się w 1846 roku²⁸; w rok później²⁸ przyszedł na świat synek²⁴ (? – lub może córeczka²⁸). W Brzozowie pisarz oddawał się „pracom ziemian-
skim”²⁷ i pracy oświatowej wśród ludności okolicznej²⁴. Zbliżył się w tym czasie z działaczem śląskim, ks. Fickiem z Piekar³⁸. Interesował się folklorem miejscowym: zachowały się dwie pieśni ludowe, zapisane przezeń z ust wieśniaków spod Mikułowa^{18, 45}.

Zmarł Wężyk w Brzozowie, dnia 15 lutego 1848 roku^{24, 27}.

Powód jego śmierci był następujący: w okolicy, gdzie mieszkał, wybuchł epidemiczny tyfus, a przy tym nędza i niedostatek u ludu²⁴. – Wężyk śpieszy za popędem serca, urządza w oficynie obok swego dworku szpital na sześciu chorych i sprowadza tam biednych opuszczonych, a zarazem tyfusem dotkniętych. Nie znajdowali oni nigdzie pomocy, lecz niosło ją wielkie serce naszego ziomka. Służący jego pielęgnując chorych zaraził się i umarł; wówczas Wężyk podjął się jego obowiązku względem chorych. Lecz nie dosyć na tym. Wyjechawszy raz pewnego spostrzegł na drodze zmarłego człowieka; zabiera go na swe sanki, odwozi do swego domu, ogrzewa, rozciera, lecz nie przywraca do życia; był to zmarły z tyfusu. Lecz natomiast nasz Władysław sam się od trupa zaraził i po krótkiej chorobie z życiem się rozstał, zostawiając dziewiętnastoletnią wdowę i rocznego synka!⁵⁵

Komitet wspierania ubogich, istniejący w Pleszewie (Pszczynie), następnie umieścił o nim słowa w gazecie wrocławskiej:

„Dwa wieńce laurowe zdobią go: jeden na głowie (jako pisarza), a drugi serce... Umarł jako prawdziwy bohater, z miłości dla ludzi: niósł pociechę i pomoc tym, którzy, przyciśnieni potrzebą i nędzą, oka ku ziemi spuszczonego, ręki błagającej nie śmieli podnieść, aby prosić o ratunek. Niósł im ratunek i ratując wstąpił do grobu, dokąd towarzyszyła mu czysta miłość biednej jego braci, którzy w smutku ślą swemu prawdziwemu przyjacielowi i wybawcy ostatnie podziękowanie”²⁴.

„Przegląd Poznański” w nekrologu Wężyka w takim oto zdaniu zamknął jego charakterystykę:

Węzyk odznaczał się czynnością, choć często niepomiarkowaną, zapalem do rzeczy krajowych i prawdziwą zacnością moralną. Zeszedł ze świata przedwcześnie, właśnie wtedy, kiedy wszystkie jego przymioty dojrzewać i plon rzeczywisty wydawać zaczynały²⁶.

Pochowany został Węzyk na cmentarzu w Krakowie.

W parę dni po zgonie przewiózł ojciec jego zwłoki do Krakowa i umieścił w rodzinnym grobowcu, skąd w kilkadziesiąt lat później przeniesie je rodzina do innego i pochowa obok śmiertelnych szczątków ukochanej żony i córki, dając na pomniku napis:

„W pełni młodości i szczęścia poświęcił swe życie ratując klęską nawiedzonych Ślązków”²⁸.

EGIPT – OBRAZY

PRZELOT

Rozżarzone słońce odbijało promienie w obszernej przestrzeni Morza Śródziemnego, przestrzeni tak gładkiej jak weneckie zwierciadło lub jak powierzchnia spokojnego jeziora. Kiedy niekiedy hamsin¹ burzliwy syn pustyni i piekieł, donosił o pięćdziesiąt mil morskich od brzegów Afryki tumany kurzu i pary duszniejszej od wyziewów krateru. Jednak był to dopiero dzień pierwszy maja, a w północnych stronach zaledwo zaczynały topnieć bryły lodu.

Statek parowy, z banderą francuską, przedzierał jednostajnym zamachem nurty morza i zbliżał się coraz do bielejącego się z dala lądu.

Wkrótce wędrowiec mógł spostrzec wyraźnie nieścigniony okiem śnieżysty łąn piasku, z łona którego wytryskało jak fontanna śnieżyste miasto! Statek wkroczył do portu ozdobionego tysiącem wojennych i kupieckich żagli rozmaitych narodów, pomiędzy którymi powiewało najwięcej flag z czerwonego jedwabiu z żółtą gwiazdą i z półksiężycem.

Zaledwo zdążył rzucić kotwice, aliści przybyła doń spieszenie łódka z żółtą chorągwią, na której znajdował się kapitan portu, wysłany przez niecierpliwego nowin wicekróla, a z nim posłaniec złowieszczy od kwarantanny, zwiastujący podróżnym, że zaraza morowa panowała, jak zwykle na wiosnę, w murach tego miasta.

Tego roku jednak powietrze było mniej szkodliwe jak lat innych i liczono zaledwie kilka śmierci na dzień; lecz ten sam wyraz: p o w i e t r z e m o r o w e! – wywierał nieopisane wrażenie na mieszkańcu zachodnich krajów!

Aleksandria – do niej to bowiem zanosło nas przeznaczenie – jako zwodnicza zalotnica wystawiała na widok najpiękniejsze i najnowsze swe gmachy: Seraj, Arsenał, Dywan, Komorę; port przeznaczony do budowania okrętów i inne nowe dzieła niez mordowanego Mehmeda-Ali.

Nim się zapięć w głąb jego dziedzictwa, wypada nam wprzód odwiedzić gospodarza, którego jesteśmy gośćmi. Wstępujemy więc prosto do obszernej sali w Arsenale, gdzie go zastaniem siedzącego z skrzyżowanymi nogami na dywanie w lewym kącie i patrzącego ciągle na port przez okno lub dającego otaczającym go dworzanom rozkazy.

Pomimo że seraj (czyli pałac), wznoszący się obok, ma daleko okazalsze pokoje, Mehmed-Ali woli te ściany Arsenалу, w których jest jak kupiec za kantorem lub jak wojownik na polu bitwy.

Postać wicekróla, choć niewielka, jest jednak okazałą; biała i piękna broda spada mu poważnie na piersi, oczy jaskrawe wszystko jednym rzutem obejmują i usiłują czytać w głębi duszy... Wyraz twarzy myślący, ale niezbyt przyjemny!

Akcent jego jest zwięzły i cechujący energicznego człowieka!

Uprzejmy z Europejczykami (gdyż ich potrzebuje), wie on dobrze, o co ma się zapytać przez dragmana podróżującego Anglika, o co Francuza, o co Rosjanina. Choć zna dobrze znikomość rzeczy ludzkich, lubi on dosyć kadzidło i chętnie przy cudzoziemcach przypomina, „że równie jak Aleksander Wielki i Pompejusz, jest on także rodem z Macedonii”.

Jeśli mu któren z dworskich szepnie do ucha, że ten, z kim ma do czynienia, jest z liczego rodzaju ludzi, co dzisiaj za pieniądze na wszystkie strony piórem wodzą, grzeczność i gościnn-

¹ Wiatr pięćdziesięciodniowy, gorący jak płomień (p. a.).

ność wicekróla nagle jest podniesiona do potęgi nowego gościa. Gościnność owa nie miewa czasem granic. Pałace, niewolnicy, firman – wszystko jest na usługi nowego podróżnika.

Jednak od pewnego czasu, jak go sparzył w tym względzie pewien niemiecki książę, dość znany stąd po świecie, Mehmed-Ali woli mieć nadal trochę mniej sławy, a trochę więcej pieniędzy. Niemniej przeto jest uprzejmym dla tych, co nic od niego nie potrzebując przybywają w te strony w celu wypróżnienia swych worków, a napełnienia memoriałów i gabinetów starożytności.

Ten, co stoi obok wicekróla, Bogos-bej, dyplomata jak kot układny, grzeczny, mówiący dobrze po francusku i po włosku, którego słowa płyną miodem i mlekiem, już od pierwszego rzutu oka osądził przychodnia i wie, czy ma przed sobą potrzebniejszego, czy obojętniejszego.

Chociaż Bogos jest prawym ramieniem swego pana i w takich dziś łaskach pozostaje, o mały włos że się nie przejechał razu pewnego do wieczności na ostrym palu.

Stało się to lat temu kilkanaście.

Mehmed spostrzegł, że Ormianin w pierze obrasta i że jest zręczniejszym od niego samego.

Sprawdziwszy dowodem swoje podejrzenia, wydał rozkaz stracenia swego ulubieńca. Lecz na szczęście tego ostatniego wdał się w tę sprawę, jako pośrednik, doradca Mehmeda, konsul sardyński Rozetti, z znacznej europejskiej rodziny od dawna w Egipcie osiadłej.

Ten konsul przewidując, że gniew baszy wkrótce minie, a że pan stary nie będzie się mógł obejść bez starego sługi, przechował Bogosa. Jak przewidział, tak się stało. Mehmed-Ali uczuł wkrótce stratę pojętego i zręcznego wykonawcy swych pomysłów.

– Oj! brak mi Bogosa – mawiał z żalem.

– Gdyby Bogos zmartwychwstał, co byś Wasza Książęca Mość uczynił? – zapytał go pewnego razu konsul.

– Rzuciłbym się w jego objęcia i przebaczył mu wszystko!

– A przebaczyłaby Wasza Książęca Mość temu, który by go jej wrócił?

– Z całego serca!

– Błagam więc o przebaczenie dla Ahmeta, który mając rozkaz ściąć Bogosa rozkazu nie dopełnił.

Zmarszczył brwi Mehmed-Ali, gdyż od dawna przyzwyczał się widzieć wszystkie swoje rozkazy wykonanymi bez ogródki! Ale po chwili namysłu powtórzył raz już wymówione słowo, a Bogos-bej został mu wróconym i do dziś dnia żyje z nim w jak najlepszych stosunkach, będąc jednak ostrożniejszym i przesyłając każdego roku to, co uzbierał, swemu bratu w Trieście mieszkającemu, którego siedzi na tych skarbach nie naruszając ich, jak pies wierny na szubie swego pana.

Oprócz tych dwóch c y m e s ó w, tak w pobocznych pokojach, jak i w sali w której wicekról przebywa, wielu się jeszcze kręci, to w stroju europejskim, to w nizamskim, tureckim lub ormiańskim.

Mehmed-Ali sam tylko siedzi i fajkę pali, oprócz tych razów, gdy mu konsulowie oddają wizyty lub inni podróżni wyższej klasy przez konsulów przedstawieni.

W końcu salonu czwarty syn jego, Sej-bej, grubopłaski młodzieniec, rozmawia po francusku z cudzoziemcami o koniach i ekwipażach, które ma sprowadzić tak z Arabii, jak i z Paryża!

Ibraima i Solimana nie ma... Wojują w Syrii... Szkoda! bo ci dwaj ciekawszy od innych.

Otóż więc i zupełny obraz wnętrza seraju wicekróla...!

Możemy więc już zostawić tę zajmującą rodzinę i przejść do Aleksandrii.

Już od samego nadbrzeża mogliśmy spostrzec, że jesteśmy w innej części świata.

Ledwośmy stąpili nogą na tę spiekłą ziemię, aliści otoczyła nas zgraja pacholków obdarzonych, na wpół nagich, z miedzianą skórą, źle pokrytą niebieskimi łachmanami!

Ten młody motłoch w chrapliwym i gardlanym języku ofiarował nam k o n i e c z n i e okulbaczonych i opodal stojących osłów (to są bowiem tutejsze d o r o ż k i). Zgraja ta odpezdzoną od nas została przez drugą, jeszcze obrzydliwszą, a której nielepiej z oczów patrzyła, ze starszych złożoną. Ci ofiarowali nam, także k o n i e c z n i e, leżących filozoficznie opodal, jak Diogenes na słońcu, wielbłądów (to są bowiem tutejsi t r a g a r z e).

Ledwośmy przeszli przez piękną i białą bramę miasta obok nowobudującej się Komory, aliści miasto z białego, jakim nam się z okrętu wydawało, zrobiło się szarym i prawie czarnym. Uliczki wąskie i kręte, domy wysokie i brudne, gdzieniegdzie meczet dość nikczemnej architektury lub bazyliki łachmanami pokryte, gdzie tłumy brudnego i nagiego prawie ludu zaledwo przepchać się mogą i skąd wznoszące się niezdrowe wyziewy usprawiedliwiają niejako zarazę morową, że sobie ten kraj obrała za mieszkanie.

To jest miasto Turków, miasto kupców, miasto wschodnie... Miasto średniego stanu tego państwa! Gdzieniegdzie oryginalnej budowy i przezroczyście na wszystkie boki kawiarnie i golarnie razem, przystrojone w rozmaite narzędzia i naczynia, malowniczego kształtu, a wcale nam obce, w których poważni Turcy i Arabowie spokojnie palą nargile, grają w szachy lub w kostki i trzydzieści filiżanek kawy czarnej, bez cukru i jak żur gęstej, na dzień wypijają.

W ulicach różnorodność odzieży, krzyk, wrzawa! Czasami pośród tej nędzy okaże się bogata i złocista szata jakiego zamożnego Araba lub Turka, co nie będąc w służbie nie zmienił dawnego narodowego stroju i na pięknym arabskim koniu w złotym rzędzie, okrytym szerokim karmazynowym czaprakiem z frędzlami ku ziemi spadającymi, otoczony zgrają służalców pieszo lecących, dąży poważnym krokiem do Arsenału na posiedzenie do wicekróla; czasem także okaże się rumak po angielsku ubrany, biała glansowana rękawiczka i złota lorynetka jakiego paryskiego, londyńskiego lub petersburskiego dandy, którego jest tymczasowo sekretarzem, dragomanem lub konsulem jakiego europejskiego mocarstwa.

Uciekajmy więc stąd prędko, gdyż nie zobaczymy tu nic charakterystycznego, a możemy się zarazić morowym powietrzem!

Cóż to za plac biały i zupełnie nowy, co się nam stawi przed oczy przy wyjściu z tego czarnego mrowiska? To jest miasto Franków. Tak tu bowiem Europejczyków, a nawet Amerykanów nazywają! Rynek ten, który teraz niby zdobią te świeże, a bez gustu budowane domy, wznosi się w tym miejscu od lat dwunastu dopiero. Jest on spekulacyjnym tworem Ibrahima baszy i kupców z rozmaitych narodów, co porobili miliony w czasach, gdy ich tu nie było tyłu.

Są tu pałace europejskich konsulów i dwa hotele dla europejskich podróżnych. Ten rój szczebioczących na środku placu na wprost wschodnich Europejczyków jest to zbieranina z Włochów i Maltańczyków, których tu mnóstwo!

Uciekajmy stąd spieszenie, gdyż choć moglibyśmy tu spotkać czasami kilku ludzi przyzwyczajonych i kilka pięknych twarzyczek, w ogólności jednakże nudy i głupota, tak jak zazwyczaj w nowopowstałych osadach, gdzie niedawno spanoszone hołysze chcą grać w arystokrację.

Zresztą zanadto tu Włochów i Maltańczyków, aby nasze kieszenie były w bezpieczeństwie.

Otóż coś odmiennego...! Tuż opodal ostatniego domu tego prostokątnego białego placu oko spostrzega ciekawsze przedmioty. Góry to złocistego piasku, pomiędzy którymi widać gdzieniegdzie doły i wąwozy, a na górach lepianki z żółtawej uschłej gliny, jak jaskółcze gniazda, a pomiędzy tymi lepiankami gdzieniegdzie stosy marmurów i granitów, których piękność, delikatność rzeźb i wielkość nadzwyczajna w podziwienie wprawia.

Jeden taki kamień nieraz jest większym od dwóch lepianek glinianych obok się znajdujących. Cała zaś przestrzeń jest otoczona obszernym murem, co po lewej stronie kąpie się w

falach morskich, a ciągnąc się dalej po prawej, wiedzie do Bramy Mahmudie, do kanału tegoż nazwiska prowadzącej.

Opodal tego muru, od lewej strony, ponad brzegiem morza, wznosi się obelisk z jednego kamienia granitowego... Obelisk wspaniały, z nie zatartymi jeszcze dotychczas hieroglifami, zdumiewający swoją wielkością, a którego brat leży opodal, na wpół zasypany piaskiem.

Jakież to zbiór dziwny różnorodnych rzeczy...! Ta przestrzeń piaszczysta zawiera w sobie trzy miasta... Te gruzy są szczątkami miasta Rzymian, miasta Cezarów. Te szczątki muru, którego nie zniszczył Amru, i te dwa obeliski są zabytkiem miasta Macedończyków. Te obeliski zowią Iglami królowej Kleopatry, a opodal istnieją jeszcze szczątki jej pałacu i jej kąpieli.

Te jaskółcze lepianki są to pałace terazniejszych mieszkańców Egiptu, biednych fellów, parszywych owieczek, które dziesięć razy do roku strzyże Mehmed-Ali. W tych lepiankach, mniejszych od jednego kamienia dawnych pałaców, żyją pokotem całe rodziny wraz z bydłami i jak bydłami!

W tych lepiankach żywią się ludzie tylko surową trawą, zgniłymi muszlami morskimi lub arbuzami i jak muchy, z zgniłej gorączki, z dyzenterii lub z zarazy morowej, umierają.

Każdego mieszkańca tych lepianek najmiesz za osiem groszy dziennie do najtrudniejszej pracy. Jednak są to rzeczywiści panowie tego kraju; są to potomkowie tych Arabów, co z Amru ten kraj zawojowali. Takich mieszkańców jest w Egipcie na 1.203.015 – ośmkroć sto tysięcy!

Uciekajmy stąd jeszcze prędzej! bo tu serce boli...!

Idźmy ku drugiemu brzegowi przylądka, na którym Aleksandria zbudowana, przez bramę zwaną Mahmudie. Tam, gdzie kanał tego nazwiska niesie skradzione wody Nilowi koło Latfe i rzuca je w Morze Śródziemne.

Tuż opodal nowego kanału, na którym mnóstwo małych statków z zagłami łacińskimi² (k a n a m i zwanych) czeka na liczne towary i niezbyt licznych podróżnych, których ma przewieźć do Latfe, okazuje się nam na górze nowe arcydzieło sztuki. Ta kolumna na sto stóp wysoka, z tak pięknym u wierzchołka korynckim kapitelem, ma być pomnikiem wystawionym Pompejuszowi przez Rzymian i zowie się powszechnie Kolumną Pompejusza.

Nie wiedzą ludzie, czy kiedy na niej jego statua się wznosiła. Niektórzy nawet utrzymują, że to jest zabytek wspaniałych arcydzieł, którymi Aleksander Wielki chciał udarować miasto swego imienia.

Na ten sam wzór odlał swoją kolumnę Napoleon i postawić ją kazał wśród Paryża!

Co do tutejszego pomnika, trudno nam wiedzieć z pewnością, czyim jest dziełem, gdyż parę tysięcy lat upłynęło od jego wystawienia. Ktokolwiek jednak jest tym mistrzem, jeśli tylko nie stawiał go na kościach i na łzach swoich bliźnich, niech będzie cześć jego imieniowi, gdyż obdarował świat pięknym dziełem!

Po prawej stronie, o kilka wystrzałów pistoletowych, widać malowniczy smentarz muzułmański, i „pralnię trupów” z marmuru. Dalej, pomiędzy portem a miastem, dwie sztuczne góry, a na tych górach cytadele. Mówią, że te dwie góry w jednej nocy usypał Bonaparte zajmujący Aleksandrię w 1798 roku.

Niech i tak będzie...! Ludzie zazwyczaj wielkiego jeszcze podwyższą, a małego nogą do ziemi przygnietą.

Teraz, nim opuścimy Aleksandrię i wsiądziem na jedną z tych kanzy, które na wodzie zręczniej niż kurki wodne wywracają koziołki, rzućmy też okiem na pałace i ogrody Europejczyków, za bramą Rozette i nad kanałem Mahmudie się znajdujące. Tu miło zakładać ogrody, kiedy w lat ośm można już spoczywać w ich cieniu! Wstąpmy także w to ustronie i zmówmy Zdrowaś w kaplicy ojców Ziemi Świętej, jedynej w tym mieście. Pogrzebmy trochę motyką

² Tak nazwane (p. a.).

w piasku, co się rozciąga za bramą Rozette, gdzie często arcydzieło sztuki greckiej znaleźć możemy. Westchnijmy nad biedną Aleksandrią, która z ludności ośmiuset tysięcy ma tylko teraz trzydzieści tysięcy mieszkańców. Pożałujmy tej wspaniałej tuniki, co jeszcze snuje się gdzieśgdzie w olbrzymich łachmanach, a którą Aleksandria dzisiaj zamienia na tandetną europejską suknię... i dalej! dalej...!

Gdzież teraz poniesiem nasze kroki? Czy przeryzując się przez łań ruchomego piasku zwiedzimy Abukir (tę dumę Anglików) i Rozette, i Damietę, i Mansurę, i żyzne pola najurodzajniejszej na świecie Deltę? Czy pójdziem z Arabami na jarmark do Tantah? Czy też wsiadłszy na kanwę popłyniem prosto kanałem, a później Nilem do Kairu?– Nic z tego...!

Oblecimy wkrótce i Deltę, zwiedzimy Kair i coś więcej jeszcze; ale wprzódki każmy się przewieźć przez kanał Mahmudie, i na koń! w pustynię... Ku Damanhur, ku stepom libijskim – do Beduinów!

Poznajmy też na samym wstępie prawdziwą rasę Arabów, a wiedząc już, gdzie jej szukać trzeba, z większą cierpliwością spoglądać będziemy na przygnębionych fellów i gnuśniejących Turków i Koftów.

Na pustyni, o kilka mil od Damanhur, w miejscu gdzie przypadkiem skwarne słońce nie dostrzegło trochy trawy i trochy błotnistej wody, wśród stepów złocistego piasku rżą konie, szarzeją się z daleka namioty, bieleją śnieżyste tuniki Beduinów i błyszczą bagnety ich długich rusznic.

Wnijdźmy pod namiot emira Matrudy, hetmana dwudziestu czterech pokoleń koczujących, dowódcy pięćdziesięciu tysięcy ludzi.

Matrud siedzi w pośrodku dwudziestu czterech wodzów, w namiocie obradom przeznaczonym. Wszyscy w jednakim stroju. Czerwone tarbusze (czapki), białe b e r n u s y (płaszcz) kształtnie udrapowane około nagiego i miedzianego ciała; żółte b a b u s z e (pantofle) na obnażonych nogach.

Ich jedyną ozdobą i odznaczeniem – broń bogatsza i znaczniejsze na twarzy blizny. Wszystkich twarze piękne, wejrzenia szczerze, czoła wyniosłe. Oko bystre, myśl, odwaga i godność ludzka w spojrzeniu. Matrud siedzi w środku. Jego twarz i postać najmniej beduińska. Dwudziestoczteroletni młodzieniec, błądy, wysmukły, dość europejskiej fizjonomii.

– Witaj, Matrudzie...! Przybywamy pod twój namiot, aby zasiąść z tobą po społu do wieszczy, odpocząć po trudach podróży i pobłogosławić twej broni, rodzinie i trzodzie.

– Bóg z wami, Franki! witajcie w naszym gronie!

Otóż nas Matrud prowadzi do innego namiotu, w którym zwykły przyjmować gości; tam na dywanach rozpostartych na ziemi zasiadamy wygodnie. Rozmawiamy z jego żonami i siostrami, które z odkrytą twarzą, z śmiałym i pojętym wejrzeniem nie stronią przed nami, tak jak głupie Turczynki, i nie zasłaniają sobie prześcieradłami nosów i pyszczków.

Tuż opodal zasiadają i inni Beduini, ale na mniej kosztownych i niżej rozesłanych dywanach. Wyższe dla gości i hetmana.

W namiocie Beduina gościnność sprawia tylko to odróżnienie, gdyż tu, pomimo szacunku dla wodza, równość zupełna panuje. Starzy rozmawiają pomiędzy sobą o trzodach i wojnie. Młodzi przypatrują się naszej broni i swoją nam pokazują. Matrud każe przyprowadzać przed namiot swoje najpiękniejsze konie.

– Słuchaj, Mansurah! czemu waszego hetmana twarz bledsza od innych?

– Bo nasz hetman pochodzi z waszych krajów, wędrowcy! Jego dziad czy pradziad był to pewien rycerz francuski. Uszedł z kraju, gdzie nie chciał gnuśnieć w puchu, i złączył się z naszymi, którzy byli wtedy koło Tunis, a że był to młodzian dziarski, nasz wódz Ordan dał mu swą córkę i zszedłszy z tego świata bez potomstwa, nam go na następcę wyznaczył.

Otóż przynoszą kawę i fajki, a przy wnijsciu do namiotu coś tam kobiety zaprawiają. Tłuką cukier, noszą wodę, a Abdallah, najmłodszy brat Matruda, trzyma w ręku miedzianą czarę niepospolitej wielkości i niesie jakiś napój.

Kobiety idą za nim, trzymając rozpostarte na rękę, haftowane złotem i jedwabiem serwety. Cóż to za przysmak? Woda z pobliskiego bagna, do której dla uczczenia Franków wrzucono pół głowy cukru. Podobne to dosyć z koloru do czekolady, ale przy upale i głodzie z chlebem bardzo dobre...! Matrud podał czarę gościom, napił się po nich, a ta okrzyła potem po całym zgromadzeniu. Matrud klasnął w ręce, a czterech Murzynów przyniosło trzcinową matę, na której wkrótce potem stanęła miedziana misa wielkości zwyczajnego na sześć osób stołu. Na tej misie wznosiła się kupa gotowanego ryżu. Było tego ryżu około półtora korca. Obok tej misy stanęła druga, podobnejże wielkości, na której były dwa całkowite w dołach pieczone barany. Oprócz tego Murzynek trzymał dzban tłustości, którą ryż i barany oblewał. Matrud zawiął szerokie rękawy swej koszuli, kazał przynieść kilka miedzianych dzbanów wody, którą niewolnicy polali ręce biesiadujących, po czym podsunąwszy misę z ryżem przed podróżnych, rzekł im: „Bracia! pożywajcie...!” Sześciu tylko wodzów najstarszych zasiadło z nami do tego półmiska i Mansurah, adiutant Matruda, piękny jak lew młodzieniec. Matrud, rozszarpując zręcznie barana, rzucał biesiadnikom zebra i uda, a ci trzymając je w lewej garści, obgryzali dokoła, gdy prawą czerpali z misy ryż z baranym łojem i do ust nieśli z apetytem. Matrud jadł sam i przygotowywał coraz jadło dla drugich, a jadł dopóty, dopóki ostatni z biesiadników nie poprzestał ruszać ustami – bo tak gościnność nakazuje...! Wkrótce czub góry ryżowej zniżył się wielce, a natomiast urósł nierównie większy czub z baranich kości.

Gdy nasze koło najadło się do woli, Matrud odsunął obydwie misy na środek namiotu, pośród innych wodzów, odgarnął ręką kości (które zaraz porwali Murzyni) i zasiadłszy w nowym gronie, znowu zaczął rzucać kawały i biesiadować z nowymi towarzyszami; gdy i ci skończyli, a jeszcze zostało się, pod nowym stosem kości, z pół korca ryżu, a na drugim półmisku kilkanaście baranich żeber, Matrud odsunął misy jeszcze dalej ku wnijsciu namiotu i zgarnąwszy znowu kości, zaczął traktować swych służących i służących podróżnych, z którymi jadł także aż do końca. Gdy już wyniesiono puste misy, oblano znowu wodą ręce i usta biesiadników, a półokrągłe czary z kawą zaczęły krążyć wkoło. Kobiety wieczerzały w swoim namiocie

Teraz wyjdźmy trochę z hetmanem na świeże powietrze i przejdźmy się po tym płóciennym mieście. Co za lud piękny! co za wyniosłe postawy! jakie twarde ramiona! jakie pełne twarze...! Znać pierwotne obyczaje! A każdy patrzy śmiało w oczy, każdy odpowiada hetmanowi jak starszemu bratu. Podasz mu rękę – on ci także zaraz wyciągnie swoją. Położysz ją na jego szyi – i on się także swoją o ciebie oprze. Nawet w pałacu Mehmeda-Ali wódz beduiński siada w przytomności wicekróla, gdy tyłu baszów i bejów liże mu nogi i w kącie stoi. Oto jedyna równość zupełna mogąca istnieć na świecie. Równość na pustyni!

Choć i tu nawet kształt ciała czyni nieraz jednych ulubieńszymi dla ogółu od innych.

Wśród tych namiotów zasiadajmy z nimi w koło... Słuchajmy opowiadań o ich wojnach z sąsiednimi pokoleniami, w Delcie zamieszkałymi. Słuchajmy pochwały klaczy Alego, rączniejszej od strusia! Słuchajmy śpiewu!

Otóż mężczyzna i kobieta nuć pieśń jednostajną. Ich pierś się wznosi, a głos smętny odbija się o sklepienia zawsze pogodnego nieba. Ona wyje...! on ryczy...! Ale to też właśnie, co stanowi piękność ich śpiewu! Chciałbym wiedzieć, jakby się wydała arietka Rossiniego lub Mozarta na pustyni? Tam innego potrzeba śpiewu jak na publicznych estradach zniewieściałych ludów! Zanućmy i my im także jakie francuskie trele... Oni się śmieją...! Zanućmy śpiew wojenny! Nie rozumieją...! Pytają, czy to gazela (ballada) o kochankach z naszego kraju? Zanućmy im teraz dumkę ukraińskiego Kozaka! Oto wszyscy razem smętnie nam wtórują, a Matrud pyta: „A czyj to śpiew tak miły?”. To śpiew Beduinów z północy! Beduinów znad Donu!

Z wami nam miło, bracia Beduini! z wami nam miło, siostry Beduinki! Gdybyśmy nie mieli ojców ani matek, przyjaciół ani kraju, zostalibyśmy z wami i dzielilibyśmy wasze boje i uczyły wasze!

U was słońce zawsze grzeje,
Niebo zawsze błękitnieje.
Wasze dziewy –
Czarnobrewy,
A rumaki –
Lotne ptaki!

Ale jednak...! Bądźcie zdrowi! Bądź zdrow, gościnnie Matrudzie!

Już noc! Księżyc kapie się w błyszczącym pod rosą piasku, konie lecą po miękkiej jak puch przestrzeni; z dala bieleją jeszcze bernusy Beduinów, błyskają ognie z namiotów, lśnią się ich bagnety, tętnią po rosie ich dzikie śpiewy, a psy, wierne ich stróże, rozbiegły się na wszystkie strony, czuwają nad obozem.

Przerżnijmy się na lewo przez te piaski, a dalej przez te uprawne czarne pola; przebadzmy wpływ te kanały przez Franków w tych miejscach wykopane! Przewieźmy się przez Nil szeroki łódką koło Nagile i żyznym błoniem Deltę spieszymy na jarmark do Tantah, bo też właśnie zaczął się przed kilku dniami, a trwa całe dwa tygodnie. Jarmark w Tantah? To nie żarty! Mówią Arabi, „że kiedy jest jarmark w Tantah, połowy świata nie ma w domu!”

Miasto żółtawe wśród zielonych ogrodów palmowych, figowych, bananowych, a naokoło miasta drugie miasto z namiotów. Tam roje kuglarzy! Tam najpiękniejsze almeje! Tam najlepsi śpiewacy! Tam najbardziej kuszące syreny! Mieszkaniec Indiów i mieszkaniec Mekki, i Algierczyk, i Syryjczyk, i Marokanin, i kupiec z Bagdadu i z Damasu – na miesiąc wprzód kołyszą się na grzbietach wielbłądów i dążą do Tantah z towarami. A co za piękne konie! Co za różność ubiorów! Jaka broń kosztowna!

Ale biada Frankowi, co by się tam nawinał w kapeluszu (to jest w narodowej szacie)! Jarmark w Tantah nie jest bowiem pospolitym jarmarkiem... Jest świętem...! Uroczystością...!

Wróćmy się teraz do Nagile i wsiadłszy do kanzy udajmy się wraz z biegiem rzeki do Rozetty, a popłyniemy szybko. Tylko ostrożnie z żaglami! Bo trąby wiatru i piasku wnet kanzy figła wypłatają. A ostrożnie z oczyma! bo kurz dzienny, a po nim rosa wieczorna tak je zapalą, że możemy nazajutrz prawie ślepych się obudzić, jeśli nie ma lekarstw z sobą, bo o doktora ani mowy! A ostrożnie z owocami! bo dyzenteria we trzy dni sprząta. A ostrożnie z słońcem! bo europejską słabą głowę wnet przepali, a zapalenie mózgu bieży galopem. Lepiej wziąć turban i strój turecki, to słońce nie tak zaskodzi.

Jedna tylko woda Nilu zawsze dobra i zdrowa!

Otóż i miasto Foj, niegdyś zamożne, dziś ozdobione dwoma rękodzielniemi, które założył Mehmed-Ali. Ten wielki gmach jest fabryką kurcząt. Są w nim obszerne piece, w których ciepło jest zastosowanym do wyrachowanej potrzeby. W te piece wsadzają zwykle w sobotę dwadzieścia tysięcy jaj, a w drugą sobotę wychodzi drugimi drzwiami pieca korpus dwudziestu tysięcy kurcząt, z chorągwią i trębaczem na czele.

Opodal jest miasto Latfe, po drugiej stronie brzegu rzeki. Jest to magazyn baszy i miejsce, którym kanał Mahmudie z Nilem się łączy. Trochę w tył ku Kairovi szpital Isbikiet i szkoła położnicza przez Klota założona. Są jeszcze ogrody i pałace baszy, tak na kanale, jak i nad brzegami Nilu, ale o kilka mil odległości od siebie.

Przed nami wioski i miasta złocistego koloru. Ich minarety jak wyrosłe szparagi. Drzewa palmowe jak buńczuki jakich olbrzymich hetmanów! Te miasta! te wioski tak malownicze z

dala! Nie zbliżajmy się do nich! gdyż wewnątrz nędza, śmiecie, płacz i zgrzytanie zębów pod kijami oprawców Mehmeda, m a n d i r ó w (rządców), co w imieniu baszy co dzień nowy nakładają podatek!

Otóż Rozetta i Morze Śródziemne... Miasto piękne... Domy bardziej do europejskich podobne. Okolice żyzne... kwiatów i zieloności mnóstwo! Gdzieniedzie kapelusz i strój europejski. Wstąpmy na chwilę do Abukiru wracając się brzegiem morza ku Aleksandrii, aby uczynić tę grzeczność Anglikom, a potem znowu przez Rozettę i nadbrzeżem jeziora Bourlas, przez Deltę do Damietty.

Tu odmienny nas czeka widok. Miasto częścią po obu stronach nad rzeką, częścią w głąb kraju ku jezioru Mendi-Zaleh (Otron) zbudowane.

Żyzne łąki i uprawne plantacje, obfitujące w ryż i bawełnę, piękne i gęste palmowe gaje otaczają go wkoło. Bazary większe niż w Aleksandrii. Gdzieniedzie nowe białe gmachy, wystawione z rozkazu Mehmeda-Ali. Piękne koszary, szkoła oficerska itd.

Ludność złożona z Arabów i z Lewantynów. Domy staroświeckie i m a s i s t e! Strój Lewantynów oryginalny, trzyma środek między strojem Turków a Koltów. Ich żony i córki piękne i wolne. Noszą długie włosy, które przeplatają tysiącami złotych kóleczek i maleńkich sztuczek złota... Bardzo im z tym dobrze... Szkoda, że sobie nie ściskają talii że noszą na sobie co dzień brylanty i że są pospolicie w dzień powszedni trochę plugawe, co przy brylantach nieszczęśliwie odbija. Ale są one dobroduszne i lubią cudzoziemców.

Właśnie teraz w mieście w towarzystwie Lewantynów zachodzą wielkie intrygi dyplomatyczne. Chodzi tu o wakujące miejsce honorowe na podkonsulika belgijskiego. Dwie familie chcą sobie wydrzeć ten zaszczyt. Jedna familia, Surura, podkonsula francuskiego, chciałaby tę godność złać na swego starszego syna (dość głupiego, że wspomnę w nawiasie!); druga familia, Grulah, której nieboszczyk pryncypał piastował godność podkonsula austriackiego, chciałaby nową funkcją obdarować swego jedynaka. Stąd niezgoda, potajemne intrygi i ciągle poselstwa wysyłane do Aleksandrii, do konsula jeneralnego belgijskiego, któren tych wszystkich depeszy i nie czyta. Jest to bowiem młody dandy, wcale przyjemny i światły, nie mający zbyt wiele zatrudnienia ze strony interesów politycznych swego małego państwa, zalecający się do pięknych kobiet i śpiewający duety z Belliniego.

W dobrą porę trafiliśmy więc do Damietty; zabawim się z pociesznej ambicji tych parafian wschodnich, a ponieważ żyjemy w przyjaźni z jeneralnym konsulem, będziemy więc przez obydwu stronictwa tego miasta jakby książęta fetowani.

Idźmy obejrzeć środek miasta. Otóż meczet Hassana. Niezbyt daleko od niego jest meczet Tysiąca Kolumn i dom, w którym mieszkał Ludwik Święty. Meczet Fatta, czyli Przeznaczenia, opodal od miasta nad brzegiem morza się znajduje.

O tym meczecie hadzi Mahomet, siedzący opodal na dywanie przed tą kawiarnią, opowie nam historię.

– Oto tak było: pewien bej francuski za czasów sułtana Ludwika Świętego, poznawszy się na błędach wiary chrześcijańskiej i na korzyściach islamizmu (pozwalającego mieć cztery prawe żony, a choćby czterysta nieprawych), zrobił się muzułmanem i przeszedł do armii Arabów. Chrześcijanie nie mogąc mu wybaczyć, że poszedł za natchnieniem, jakie mu zesłał z siódmego nieba Mahomet, w pewnej bitwie chcieli go koniecznie wziąć do niewoli. On, jako prawy mahometanin, nie chciał się im poddać i bronił się do upadłego. Upadł nareszcie, a chrześcijanie rozsiekali go na kawałki. Aliści te kawałki lecąc w powietrze odrywały się jak wióry, a jeden z nich (język właśnie) podleciał wyżej od innych i przewróciwszy w powietrzu koziółka zawołał na przekorę chrześcijanom: „Allah, Allah, Mahomet Rezull – Allah!”, co znaczy: „Bóg jest Bogiem, a Mahomet jego Prorokiem!”; co dowodzi, że było przeznaczeniem tego chrześcijanina nawrócić się na prawą wiarę. I dlatego też wierni muzułmanie wystawili mu w tym miejscu meczet i nazwali go meczetem Przeznaczenia!

Pan Bóg z tobą, hadzi Mahomecie! a my jedźmy dalej...

Ze szczytów meczetu Hassana pozdrówmy raz jeszcze zielone okolice Damietty. Pozdrówmy morze, które widać o parę mil odległości. Pozdrówmy jezioro Otron, sławne egipskim Diogenesem, tuż za miastem leżące, a ciągnące się ku granicy Syrii. Pozdrówmy gościnnych, choć śmiesznych Lewantynów i puśćmy się Nilem ku Kairowi. Nasza kanża szybokolotna, Arabcy barczyste; gdy wiatr przeciwny zawieje, wezmą się do wiosel, wskoczą nawet i do wody i biegnąc nadzy nad brzegiem rzeki, pociągną kilka mil statek linami. Otóż Faryskur; na drugim brzegu w głąb kraju letnie pałace Mehmeda, a za godzin parę ujrzemy Mansurę, sławną w historii ostatniej wojny krzyżowej.

Nad prawym brzegiem Nilu piękne i nowe pałace architektury wschodniej. Za nimi czarne i stare miasto, którego obszerne bramy, wyniosłe minarety i ciemne, masiste domy przypominają czasy, w których niegdyś król Ludwik w nich uwięziony siedział. Czyżżeż to przezroczysty i piękny pałac, mający więcej okien niż belek, tuż nad samym brzegiem rzeki? Mieszkanie to rządcy? Abderahman-beja? tego faworyta baszy Egiptu, co tak dobrze umie zabatogować nieszczęśliwego fella i co jest sławnym z tyłu głów świętych...? My, co mamy firman z pieczęcią wicekróla, wejdźmy doń bez obawy.

Abderahman siedzi na dywanie przy oknie w sali audiencjonalnej. Kilkunastu m u d r ó w i m e m u r ó w³, rządców pobliskich miasteczek, go otacza. Zoczył on już z okna banderę europejską, powiewającą na maszcie naszej kanży, i wie o naszym przybyciu. Wejdźmy więc do niego i pozdrówmy go w imieniu jego pana! – Uważajmy...!

Arabcy patrzą na nas z pewnym rodzajem obojętności i pogardy. Nie znają bowiem oni tu innego Boga nad beja leżącego na tym dywanie...

Abderahman rzucił na nas okiem i chciałby zgadnąć, z kim ma do czynienia. Jeśli więc teraz udamy się doń z francuskimi komplementami, weźmie nas za chłystków i nie poprosi nawet siedzieć, a dwór, co go otacza, gotów nas nawet zelżyć, aby poniżyć Franków, a podwyższyć pana beja...! Idźmy więc śmiało, nie kłaniajmy się wcale, a rozwaliwszy się wygodnie na dywanie, rzućmy mu w nos firman baszy mówiąc: – Oto jest rozkaz twego pana, a naszego przyjaciela, abyście wy wszyscy, rządcy kraju, przyjmowali nas i służyli nam w każdym czasie i w każdym sposób! Myśmy europejscy bejowie!

A otóż zaraz leniwy bej zerwał się z swego miejsca jak oparzony, a wszyscy powstali! Bej niesie do czoła firman baszy i mówi:

– W domu mego miłościwego pana Mehmeda-Ali – rozkazujcie!

I wnet z dumnego staje się układnym i grzecznym. Przynoszą cybuchy w brylanty oprawne, posyłają po konfitury do haremu; sorbety, przysmaki bezustannie krążą.

– Przyprowadzić osiodłanych koni! Koni! – bej woła. – Wysłać naprzód moją paradną szalupę z wielką banderą! Niech czeka przy kanale!

Wszystkie te rozkazy lecą jedne po drugich, a połowa dworu rozbiegła się na wszystkie strony.

Bej prawi komplementa na sposób europejski i oświadcza się z przyjaźnią dla Franków.

Prosi, ażeby wraz z nim zwiedzić pasznie i okoliczne łany, aby się przekonać, że urodzaj jest dobry, że rozkazy baszy zostają we wszystkim wykonywane. Wsiądźmy na koń...! Dwudziestu s a i s ó w (masztalerzy) bieży około koni piechotą i trzyma cugle, strzemień lub siodło; inni podają fajki. A lud się rozstępuje po drodze i kłania uniżenie.

– Piękne masz konie, beju!

– Wszystko to Mehmeda-Ali, mego pana – odpowiada dworak.

W tym miejscu trzeba Nil przepłynąć. Dwudziestu strojnych majtków czeka w eleganckiej szalupie, nad którą powiewa szeroka jedwabna flaga czerwona z żółtym półksiężycem. Wio-

³ Rządców wsi i miasteczek (p. a.).

sła majtków pędzej i jednostajniej uderzają w wodę, jak balans w zegarze. A wszystkie majtki i dworscy drżą przed bejem, a bej drży przed Mehmedem-Ali.

Słońce zachodzi. Trzeba się wrócić do Mansury. Bej zaprasza na wieczerzę i nie chce wypuścić od siebie przed świtem dnia następnego. Przynoszą niski okrągły stół z pięknymi deseniami z perłowej macicy. Podróżni i bej zasiadają około niego; reszta gości siedzi opodal i czeka z uszanowaniem kolei. Dwunastu służalców stoi za bejem i za podróżnymi. Frankom dano grabki i łyżki; bej zawiązał rękawy i umył ręce.

Przynoszą małe talerzyki z różnymi potrawami. Najprzód mięsne, potem jarzynne, potem słodkie; potem znowu mięsne, potem znowu jarzynne, to ogórki gotowane, to gołębnie smażone w miodzie, to zrazy z szafranem, to ryby z cukrowym sosem, to kura pieprzem tureckim faszerowana itp. Na każdym talerzyku kilka kawałków; podróżni najprzód, a bej po nich bierze kawałek. Służba zaraz inne nadnosi talerzyki, a takich talerzyków osiemdziesiąt sześć wszystkich, a z każdego trzeba coś skosztować, a na każdym co innego!

Ta uczta nie trwa dłużej jak godzinę, talerze bowiem lecą jak błyskawice, a czterech rozstawionych od drzwi Murzynów ciągle jeden drugiemu podaje.

Po tym tyralierskim ogniu zajeżdża wałowa artyleria: półmisek okropny pilafu (ryżu z baraniną), *sine qua non* każdej tureckiej biesiady.

Na ten półmisek rzucają się już także i zgłodniały asystenci, a gdy tak bankietuje szary koniec, panowie wracają znowu do wygodnych dywanów, służba podaje im bez ustanku kawę i fajki, inni odpędzają od nich naprzykrzone komary wachlarzami z piór strusich, a inni łechcą dla strawności pod podeszwy.

– Dobrze masz przysmaki, beju!

– Wszystko to mego pana, Mehmeda-Ali!

– O! co teraz, to pozwól sobie powiedzieć, że to, co masz w brzuchu, już twoje!

Objadłszy się niepospolicie i posiedziawszy przez parę godzin w milczeniu, dwór się rozchodzi do własnych domów, bej do swego haremu, a my także szukajmy spoczynku.

Bej się kłania i stroi koperczaki, gdyż nas bierze pewno za szpiegów przysłanych od Mehmeda-Ali. Służba się kłania i stroi koperczaki, gdyż stosownie do przyjętego na Wschodzie zwyczaju jutro przed wyjazdem każdemu z nich trzeba będzie dać sztukę złota... Szczęściem, że te sztuki (najmniejsze) warte są tylko cztery złote polskie.

Nim się udamy do Kairu, przebiegnijmy jeszcze trochę po tym ogrodzie – Deltą nazwanym! Zwiedzmy nowy pałac Mehmeda-Ali, na drugim brzegu Nilu się wznoszący; odwiedźmy w Chibin Abdallę-beja, krewnego Mehmeda-Ali, a rządcę Delty, gdzie nas czeka przyjęcie podobne temu, jakieśmy odebrali w Mansurze, a potem Nilem, koło Szybryket (już innym korytem niż to, nad którym leży Mansura), dopłynemy do Bahrnel-Bahr⁴ gdzie się łączy odnoga Nilu damiecka z odnogą rozecką, i nigdzie się nie zatrzymując, spieszmy do Kairu.

Otóż z daleka widać piramidy! Witajcie, sławne piramidy! Witaj, Kairze wielki! Kairze Arabów!

Odpocznem po tych trujących wycieczkach pod miłym cieniem twych drzew figowych, palmowych i granatowych! Lub w chłodzie wiekuistym twych bogatych bazarów:

Już widać Bulak, a po drugiej stronie, nieco dalej, Gize; dwa miejsca pamiętne bitwami za czasów Bonapartego.

– Tu zatrzymajcie się, żeglarze...! Dobrzeście pracowali! Dostaniecie barana na m a r u f⁵ i b a k s i s⁶ podwójny.

– Allah-Kerim! Hawadzie! Baksis! Baksis!⁷

⁴ Znaczy: „brzuch krowy”; w tym miejscu miano most stawić (p. a.).

⁵ Znaczy: „na ucztę” (p. a.).

⁶ Podarunek pieniężny lub inny (p. a.).

⁷ „Bogu dzięki, Panie...! Podarunek! Podarunek!” (p. a.).

KAIR

Piękne to bez wątpienia miasto Kair! ale aby ocenić jego piękność, trzeba coś więcej niż otwartych oczów, tak jak aby ocenić obraz Rafaela, trzeba wprzódy być zdolnym pojąć myśl i duszę mistrza!

Kair jest Paryżem wschodnich mieszkańców!

Kair jest jedynym pomnikiem, utrzymującym się do dziś dnia, zwyczajów i charakteru wschodniego.

Kair jest starszym bratem Grenady i Sewilli!

Nie masz wędrowca, na którym by Kair nie zrobił wrażenia. Ale to wrażenie będzie odpowiednim jego pojęciu i znajomości ducha i dziejów tego ludu, pomiędzy którym przebywa.

Rzucony przypadkiem na te brzegi czyzy elegancik z Chaussée d'Antin lub z Krakowskiego Przedmieścia zobaczy tylko miasto koloru piaskowego, nad którym wznosi się tysiąc minaretów, a nad tymi minaretami zobaczy górę skalistą, a na górze starożytną cytadelę; a około miasta gaje figowe i palmowe, a pośród tych gajów alabastrowe pałace. Jeśli to będzie pora wylewu, zobaczy wkoło wiele wody, a jeśli przed lub po wylewie, zobaczy łąki zielone i łany piasku.

Co mówię...! nie zobaczy on nawet tego wszystkiego... Zaledwo spostrzeże, że ulice ciasne, wielbłądy niegrzeczne, Arabcy naprzykrzone i straszne z wejrzenia!

Ale zaraz zwróci swą uwagę na brak eleganckich sklepów europejskich, hotelów, restauracji, giełdy itp. Wzruszy ramionami i powie: „Jakie to głupie i nudne miasto...!”

A to on właśnie głupi i znudzony, gdyż w jednym kamieniu z domów lub z meczetów tujszych więcej jest myśli i wspomnień niż we wszystkich razem pustych głowach spanoszonych dudków!

Aby pojąć dostatecznie Kair, trzeba być artystą, poetą; trzeba być Arabem!

Istnieje pewien rodzaj zachwycającego czaru, któren rozciąga nad tym miastem i nad wszystkim, co je otacza, swoje panowanie.

To wrażenie już się zaczyna czuć dawać od chwili, jak oko dojrzy w oddaleniu wśród mgły słonecznej sławnych piramid szczyty, wieże minaretów Bulaku i pałaców, i ogrodów nad Nillem się wznoszących.

Po obu stronach koryta obszernego Nilu – jak najbujniejsza wegetacja. Po lewej, opodal Bulaku – piękny pałac Szubra, mieszkanie zimowe Mehmeda-Ali; kilkanaście kół wielkich, do których założonych kilkadziesiąt wołów, obracając je bezustannie, dostarcza wody ogrodowi, gdyż deszczu trzy dni na rok...! A co za ogrody za pałacem! a co za salony haremu w pałacu!

W ogrodach pomiędzy cyprysami, pomarańczami, palmami, granatami i tysiącnymi krzewy, tak z Indiów, jak i z Ameryki, wznoszą się sztuczne góry, sztuczne źródła, sztuczne mosty!

A dalej – pałac marmurowy z tysiącem marmurowych kolumn. Pałac chińskiej struktury, z malowidłami *al fresco*.

W pośrodku otwartych kolumnad pałacu – wykładane marmurem jezioro, na którym złocene łódki czekają na sułtanka na szczęśliwego ich sułtana.

Fontanny ciągle grają, słowiki śpiewają, kwiaty wonnym tchnieniem napełniają powietrze! A ulice wybrukowane najpiękniejszym rysunkiem, kamykami różnokolorowymi, wielkości kurzych jajek. A w nocy cały ogród gazem oświecony!

Opodal ogrodu cyrk, w którym Indianie pilnują dwóch ogromnych słońców, na grzbietach których w nocy, przy świetle księżyca i stu pochodni, basza pod purpurowym baldachimem sadowi swoje sułtanki i jedzie z nimi na spacer do wioski Szubra, za którą stadnina najpiękniejszych koni jego; lub też udaje się piękną ulicą, strzeżoną w dzień od słońca wiekiustymi figowymi drzewami („figami faraonów” zwanymi), co nad brzegiem Nilu wiedzie przez miłe swym liściowym sklepieniem aż do samego Kairu.

Ponieważ tu chłód tak miły, figi tak dojrzałe, a woda tuż bieżącego Nilu tak dobra i chłodna, idźmy raczej tą drogą i nie zastanawiając się nigdzie, rzuciwszy tylko okiem na zostający po naszej stronie Bulak, wjeżdżajmy prosto placem Izbikie do Kairu.

Właśnie w dobrą trafimy porę, bo to dzisiaj podwójna uroczystość. Ostatni dzień święta Nilu, a z nocą początek ramazanu (tureckiego postu). Ale spieszymy w drogę, bo z słońcem afrykańskim nie można żartować...! Tu rankiem, wieczorem lub nocą można tylko zwiedzać ciekawości i oddychać, gdyż od dziewiątej z rana do piątej po południu tak parno i skwarno, że trzeba siedzieć z skrzyżowanymi nogami u kupca w bazarze albo leżeć na dywanie w domu (mając przy sobie Abisynkę do opędzania much i nakładania fajek), lub też jeszcze rozciągać się na tapczanie obok fontanny, w chłodnej sali tureckiej łaźni.

Jak miła droga...! Co za rozmaitość przechodniów! Tu wielbłądy postępują poważnie z ciężarami na grzbietach, uderzając za każdym krokiem w powietrze oryginalnym dźwiękiem licznych dzwonek; tam mały Arab pędzi stado olbrzymich strusiów. Tu kilka kobiet okrytych białymi lub czarno-jedwabnymi płachtami, dziurkowanymi na twarzy, na czerwono uczaprawionych osłach i mułach dąży do pałacu. Tam kurier na dromaderze leci klusem z przerażającą dla przechodniów szybkością. Tu boczkami idą do Nilu po wodę młodziutkie Arabki, córki biednych fellów, w niebieskich koszulkach spadających po kolana, udrapowanych sposobem starożytnym, niosąc starożytne dzbanki na głowie tudzież na prawym ręku. Twarze ich opalone, a odkryte piersi jako dwie pomarańcze.

Częstokroć te biedne niebieskie koszulki wytarte są tam właśnie, kędy mają zakrywać owe dwie pomarańcze, a to z powodu, że nieposłuszne tych owoców pączki nie chciały im ustąpić w rozwijaniu się swoimi!

Otóż już wyszliśmy z figowego szpaleru, a miasto tuż przed nami. Po prawej stronie Bulak, bazyliki dość obfite, kilka staroświeckich meczetów dość pięknej architektury. (Pomiędzy nimi jest jeden Zaczarowanej Lampy).

Kilka nowych pałaców, Komora, a na Nilu mnóstwo kanów i dzierymów rozmaitej wielkości!

Ulice oryginalne! Często trzeba przejeżdżać pod bramami, przez korytarze i domy. W najszerzych ulicach najczęściej miejsca na trzy konie obok. Co do powozów, o tych trudno i myśleć.

Zostawmy jednak Bulak, do którego kiedy indziej wrócimy, a spieszymy tą drogą wśród piasku, kanałów, jezior i gajów, co teraz jeziorami i kanałami, a za dwa miesiące będą polem okrytym kukurydzą i ryżem. Przegalopujemy przez te dwa mosty, rzućmy okiem na prawo i na lewo, na te piękne pałace i ogrody, zewsząd z ziemi lub z wody w oddaleniu wytryskające, przejeźdźmy pod tą sklepioną bramą miasta, którą strzegą na w pół europejscy żołnierze Mehmeda-Ali – i już jesteśmy na placu Izbikie.

Plac obszerny, co jest razem rynkiem, spacerem i jeziorem Kairu, stosownie do pory roku.

Nieraz wychodząc z krętych ulic tego miasta zobyczymy ten plac jeszcze, ale z tak odmienną postacią, że go nie poznawszy weźmiemy za inny jaki i zgubimy się w tym labiryncie.

Ten pałac po lewej stronie, tak biały i tak wysokim murem otoczony, jest pałacem Murad-beja, tego sławnego Mamluka... W nim mieszkał Bonaparte... W tym pięknym ogrodzie, otoczonym wysokim murem, padł pod ciosem zdradzieckim waleczny Kléber.

Wnijdźmyż we środek miasta. Co za natłok ludu! Jakie przygotowania do wieczornej uroczystości! Wszędzie krzyk, wrzawa, hałas! Co za różnorodność ludu! Co za różnorodność strojów!

Tu stary hadzi w zielonym zawoju, na pięknym arabskim koniu, otoczony licznymi saisami, jedzie do meczetu. Tam w spiczastym szarym kołpaku derwisz mruczając pod nosem modlitwy wraca z klasztoru po dwugodzinnym wyciu⁸ i spogląda spod oka na przechodzących Koftów, w długich ciemnokawowych sukniach i w czarnych turbanach; na Żydów w czerwonych spodniach, w czarnych kołpakach, obwiązanych szarą, brudną, jedwabną chustką; na Greków z gołymi łydkami, w tureckich kurtkach, w czerwonych czapkach, w szerokich szarawarach, w wąskich pasach, ale bez brody i z długimi włosami; na Ormianów z bobrowymi, w kształcie dyni, czarnymi kołpakami, w sukniach długich i z chińskimi wąsami; i na Franków w europejskim staroświeckim stroju.

Tu znowu, przy złoconej i wyrabianej w najpiękniejsze rzeźby z kamienia, wysokiej jak triumfalna brama, publicznej fontannie, święty turecki siedzi na marmurowej ławce, a tłum dzieci i kobiet go otacza.

Jest on na wpół nagi, brudny, że aż strach patrzeć! Głowa nie ogolona, a rozczochrane włosy, długie, w puchu i w tłustości zmaczane, wiszą na jego karku i licach jak zmije. Odzież jego jest złożona z trzystu pozszywanych różnofarbnych kawałków, jak strój arlekiński lub pokrowiec studenckiej piłki. Trzyma kij potężny w jednym ręku, a miskę drewnianą w drugim. Jak przyjdzie obiadowa godzina, wnet ta miska zostanie napełniona żywnością przez przechodniów. Oczy jego obłąkane, usta rzucają niewyraźne słowa z Alkoranu. Lud mu się kłania, a kobiety nieplodne całują go w palec...

Przed laty miał on jeszcze większy przywilej, ale teraz Arabcy poznały się już trochę na swym głupstwie!

Jest to pewien rodzaj nieszkodliwego wariata, którego się włości po kraju (jeśli jest z włościących się, gdyż są i tacy, co zawsze w jednej dziurze siedzą). Gdzie taki święty umrze, prawowierni muzułmanie wystawiają mu okrągłą kapliczkę i chodzą potem przez wieki do niej w pielgrzymkę. Podobnych świętych i kapliczek mnóstwo. Jednak nie każdy może samowolnie ten sposób życia sobie obierać. Trzeba się doń kwalifikować, to jest być natchnionym, czyli mieć mniej jedną klepkę w głowie!

Już teraz, gdy jesteśmy wewnątrz miasta, możemy biegać aż do wieczora tymi wąskimi uliczkami, których górne piętra prawie się z sobą stykając tworzą naturalne sklepienie, przez którego szczelinę rzadko promienie słońca zaglądną. Otóż przepyszny meczet Fatimy! Co za pracowite wyrabiania! Jak piękne kolumny, fontanny, sklepienia! Jak bogate kagańce! Dziś w wieczór ten cały meczet będzie oświetlony, a pod strojem arabskim, którego nosimy, śmiało wsuniem się ukradkiem pomiędzy prawowiernych muzułmanów i obejrzm go do woli. Ten meczet został wybudowany przez Moiz-Lendillaha, pierwszego kalifa fatymidzkiego, którego znamy historię.

Otóż dalej bazar! A ileż tych bazarów...! Tu sklepiona, a widna ulica, w której same szaty; tu sama broń kosztowna; tu kadzidła i pachnidła. Tu ulica, w której po obu stronach wystawione same żółte b a b u s z e (trzewiki). Tu inna, w której same tylko czerwone; tu znowu same tylko amarantowe czapki; tu same przysmaki i słodczyce; tu same fajki, tytoń i bursztyny; tu same jak najrzadsze owoce, tu same szale perskie i kaszmirskie. A co ludu... co różnorodnego ludu! I mieszkanię z Tunisu, i mieszkanię z Mekki, i Ormianin, i Chińczyk, i Indianin, i Mongoł, i Marokanin, i Francuz, i Anglik, i Polak!

Siadajmy na dywanie u tego bogatego kupca, potargujmy co z jego towarów, a tymczasem każdy sobie przynieść nargile z poblizszej kawiarni i siedząc z skrzyżowanymi nogami, bu-

⁸ Rodzaj pacierza... Są dwojakie klasztory: derwiszów wyjątych – i derwiszów kręcących się (p. a.).

chając wonnym dymem, przepędzimy w chłodzie godzin kilka, a że to dziś właśnie dzień bazaru (targu), możemy kupić na licytacji od przechodzących handlarzy wiele pięknych rzeczy za tanie pieniądze.

Cóż to znowu za widowisko! Arab trzymając za rękę prowadzi przez wszystkie bazyry piękną, ośmioletnią dziewczynkę bez koszulki, koloru miedzianego i z kręconymi włosami. Musi ona być Abisynką! Chrześcijanką...! Przedają ją na licytacji.

Arab krzyczy: – Czteryście pięćdziesiąt pięć piastrow! kto da więcej?

– Pójdzie do sześciuset⁹ – mówi kupiec, u którego siedzimy – bo będzie mieć pierś piękną i może jest jeszcze...

– Ej! Gdzie tam! – przerwie mu sąsiad. – Czyż nie znasz tych łotrów, co te dzieci z Abisynii i z Sennaru przywożą!

Pożegnajmy gościnnego kupca, zapłaćmy pięć groszy za nargile, odeślijmy je do kawiarni i idźmy dalej! – A wracajmy tu często, bo tu chłodniej niż w domu, a przy tym tu tylko prawdziwy Wschód i prawdziwych Arabów zobaczyć możemy.

Wstąpmy teraz do bazaru niewolnic. Dom wielki: we środku szeroki plac odkryty, kwadratowy, naokoło małe izdebki, w których siedzą kupcy ludzkiego ciała i droższe towary. Murzyni i pośledniejsze niewolnice leżą pokotem na bruku, na wpół zakryci szarymi grubymi płachtami, tarzając w kurzu brudne kędzierzawe włosy, w których moc egipskich baranków...! Idźmy więc na palcach, aby nie wynieść stąd co niepotrzebnego, i wstąpmy wprost do sklepów, aby obejrzeć coś porządniejszego, gdyż to, co na bruku, to tańsze, dwieście lub trzysta złotych polskich najwięcej sztuka, tak jak za maciorę z gatunku merynosów lub za podstarzałego tryka.

Otóż pewien uczciwy handlarz ciała ludzkiego ofiaruje nam siedzące w kątach i zakrywające sobie twarze towary. Przybrał je dosyć niezgrabnie i pstrokato, ale jak się to pięknie ubierze lub rozbierze, to zaraz inaczej się wyda.

– Co za tę tłuścioszkę?

– Dwa tysiące piastrow, miłościwy panie!

– Dam tysiąc.

– Ale racz pan zastanowić się nad okrągłością tych piersi, nad zgrabnością nogi... Pozwól pan – ty, otwórz pysk – patrz pan, jakie piękne i zdrowe ząbki! ani jednego nie brakuje! Chcesz pan zobaczyć dalej? Hej! rozbierać się...!

– Dosyć dosyć! nie kupię tej... pokazuj inną! A to co za biała?

– A! to Czerkieska! towar drogi i rzadki nawet w Stambule, bo Rosja zabrania handlować nimi. Wielka szkoda, miłościwy panie! wielka szkoda! Patrz pan, jak piękna, jak wysmukła! Trochę smutna, ale nie chora... Zaraz ją pan sam obejrzysz!

– Zostaw ją w pokoju! A co za nią?

– Cztery tysiące piastrow! (1 600 złp.)

– Diabelnie drogo!

– Towar rzadki, miłościwy panie! Ale może pan przekłada chłopczyka...? Mam tańszych...!

– Później! Później! Zobaczymy!

– Przekłete giaury...! – mruczy Arab chciwy zysku i kopie w złości nogą biedne niewolnice.

Nim wyjdziem z tego bazaru, kupmy sobie k u r b a s z e (nahajki ze skóry hipopotama), bo Mehmed-Ali sam powiada żartem (w którym jest cała prawda), „że kto chce podróżować teraz w Egipcie, powinien mieć, jak dawniej Mojżesz, różdżkę zaczarowaną w rękę i nią machać na lewo i na prawo, a wszystko się przed nim rozstąpi”. Trzymajmyż zawsze do góry tę

⁹ 200 złotych (p. a.).

różdżkę, jako oznakę naszego dostojenstwa, a daleko łatwiej będziemy mogli krążyć po tych ciasnych ulicach, w których by natłok zgniótł nas bez wątpienia!

Jeśli się szuja nie będzie rozstępować prędko, wal na lewo i na prawo, bo samemu ci się dostanie w przeciwnym razie. Ale uważaj, abyś przypadkiem nie uderzył nahajką Turka, bo ten hardy, gdyż sam jest wykonawcą woli Mehmeda; Beduina, bo ten cię zaraz udusi bez odwłoki; lub jakiego milorda Araba udającego, gdyż ten zapominając swej wschodniej roli zaraz stanie w pozycji i możesz łatwo oberwać boksa w brzuch albo w nos.

Ale trudno, abyś się znów tak grubo pomylił, gdyż Anglik, choćby sto lat mieszkał za granicą, zachowa zawsze coś angielskiego w sobie!

Wstąpmy teraz do domu wariatów. (Może by nas czytelnik od dawna chciał już w nim widzieć?).

Obok pięknego meczetu, naprzeciw bogatej fontanny, dochodzi się obszernym korytarzem do kwadratowego placu, na środku którego piękne i obfite źródło, a naokoło zamknięte kratami klitki, w których siedzą „skrewieni święci”, to jest ci, którym przypadkiem więcej nad jedną klepkę brakowało.

Przekupki ofiarują nam placki pszenne, gdyż jest zwyczajem rzucać przez kraty jadło tym biednym istotom. Przyjmują one z upragnieniem te dary, gdyż stróże tych miejsc nieszczęśliwie ich karmią. Kobiety tureckie często przychodzą przed kraty i przez godziny całe bawią się rzucaniem chleba i drażnieniem tych nieszczęśliwych istot...! Gdzież nie masz głupców śmiejących się z wariatów?

W tych klitkach siedzą oni lub leżą jak dzikie zwierzęta. Przez kraty do samej ziemi dostające można widzieć, jak się ubierają, rozbierają przed widzami i robią wszystko, co im do głowy przyjdzie. Są pomiędzy nimi i tacy, których tam zamknięto za zbrodnie.

Zbliźmy się do tej klitki, gdzie siedzi ten Murzyn z tak straszną głową, w której białe oczy błyszczą jak u kota. Oparty o kratę, słysząc naszą cudzoziemską mowę, rzuca na nas zajadłym wzrokiem. Przed ośmiu dniami był on jeszcze wolnym, a jeśli tu zostaje, to z powodu, że powinien by już od dawna wisieć na szubienicy. Oto jego historia.

Ten fanatyk, którego dziwną głowę mógłby macać przez miesiąc jaki Gall lub Lavater, wmówił w siebie, że im więcej w ciągu swego życia zgładzi niewiernych (chrześcijan), tym pewniej się dostanie do nieba.

Nowy w swoim sposobie Ravaillac zakłuwał cichaczem biednych ludzi, a uchodziło mu to bezkarnie, gdyż nie było nigdy świadków jego zbrodni. Przed dziesięciu dniami siedział on raz przed wschodnią kawiarnią i widać opił się był opiumem, a egzaltacja naturalna doszła w jego głowie najwyższego stopnia.

Widząc przechodzących dwóch Włochów wydobyl z za pasa pistolet, wymierzył z flegmą i powalił z nich jednego, nie wypuszczając z ust cybucha. Włoch drugi, obróciwszy się, widzi złoczyńcę spokojnie siedzącego, zaczyna krzyczeć i lecieć ku niemu. Ale Abdallah nie dopuścił go do siebie i położył trupem obok współtowarzysza. Muzułmanie temu przytomni, nie lubiąc w gruncie chrześcijan, choć czuli niesprawiedliwość tego postępku, z wrodzonej opieślności nie ruszali się z miejsca. Abdallah palił fajkę, przecierał panewki i nabijał pistolety, czekając na inne słomki. Ale nadchodzący Europejczycy widząc, co się dzieje, dali znać oficerowi pobliskiego odwachu, a ten wiedząc, że Mehmed-Ali nie żartuje z tymi, co sobie pozwalają krzywdzić Europejczyków, wysłał żołnierzy po złoczyńcę, kazał go związać i zaprowadzić do więzienia. Zdał o tym raport gubernatorowi Kairu Abasbaszy, wnukowi Mehmeda-Ali (po jego córce, żonie Deftardej-beja), a Abas odesłał tę sprawę do najstarszego k a d i. Ten, kazawszy sprowadzić obwinionego przed swój trybunał, zapytał go:

– Jakim prawem i z jakich powodów ośmieliłeś się zabijać dwóch uczciwych i bezbronych ludzi?

– Takim prawem i z tego powodu – odpowiedział Abdallah – że to nie byli ludzie, ale psy niewierne, a widziałem w wigilię we śnie Alego, któren mi obiecał Królestwo Niebieskie, jeśli wielu podobnych zgładzę z tego świata! – Dobrze – rzekł kadi – odprowadzić go do więzienia.

Nazajutrz kazał go znowu przyprowadzić przed siebie i tak mówił w obliczu wszystkich przytomnych:

– Słuchaj, Abdallah...! Śnił mi się dziś w nocy sam Mahomet i radził, abym ci głowę ściąć kazał, ale że ja w sny nie wierzę, dałem tylko rozkazy, aby cię zaprowadzono do domu wariatów, gdzie przez całe życie pozostaniesz.

I tak się stało.

Idźmy stąd teraz do pobliskiej łaźni, gdzie się opluczem z piasku i kurzu, które hamsin wciąż niesie z pustyni, i odpocząwszy parę godzin doczekamy się czasu, w którym słońce mniej dopiekać będzie. Arab w zielonym turbanie, z gołymi ramionami, w niebieskim fartuchu od szyi do kolan spadającym, prowadzi nas ciemnym, brudnym i małym korytarzem, środkiem którego rynsztok płynie, i otwiera niziuchne drzwiczki. Zdaje nam się, że wchodzimy do chlewka, i już się wracać chcemy. Lecz otóż za tymi drzwiczkami obszerna i piękna sala z wysokim sklepieniem jak w jakim luterskim kościele; sto okienek z szkła wypukłego błyszczą w sklepieniu i oświetla dostatecznie salę. Naokoło marmury, posadzki wykładane pięknym marmurem w desenie, w pośrodku staw marmurem białym wycembrowany, a w środku stawu fontanna aż do sklepienia tryskająca i spadająca brylantowym deszczem. Naokoło stawu siedzą Arabcy i Turcy i palą fajki. W końcu sali znajduje się spora alkowa otwarta, gdzie na szerokich tapczanach leżą materace, a na tych materacach obwinieci w prześcieradła amatorowie kąpieli. Przewodnik każe nam się na wpół rozebrać i przeprowadza znowu innym małym korytarzykiem, już porządniejszym od pierwszego, do innej sali, kilkakrotnie mniejszej, gdzie cztery marmurowe ławki stoją przy ścianie, a w jednym kącie znajduje się maleńki *basin*, do którego za odkręceniem kurka napływa zimna woda.

Ta sala jest na wpół ciemną i już w niej para wznosi się w zgęszczonych kłębach! Tutaj zostawiamy resztę naszej odzieży i w stanie natury rzucamy się głową naprzód do trzeciej i ostatniej sali, gdzie para tak gęsta, że kąpiący się mogą z sobą rozmawiać i dotykać się, ale często nie widzą jedni drugich. W tym miejscu tylko przywykły wschodni mieszkaniec zdoła wytrzymać pół godziny lub więcej, gdyż Europejczyk w kwadrans zemdleje, jeśli wprzód nie ucieknie do przyległego ciemnego pokoiku, w którym do reszty się rozbierał.

Tam kładą go na zimnej ławce i skrapiają zimną wodą. Potem przychodzi dwóch Arabów, całych nagich, z maleńkimi fartuszkami na przodzie, z ogolonymi głowami, na których powiewa tylko długa i gęsta c z u c z a (kosmyk), bez bród, z długimi, na dół spadającymi wąsami; jednym słowem, dwóch istnych Chińczyków, zdjętych z parawanu lub z pudełka od herbaty! Ci trzymają w każdym ręku zgrzebło i zaczynają nimi szorować delinkwenta na wszystkie boki. Z najczystsze go jeszcze funta kurzu ściągają! Po tej operacji Chińczycy odchodzą, a przychodzi inny młody Turek, tłusty, biały, bez brody i wąsów, z głupowatą twarzą. Przynosi on pachnące wody i miększe zgrzebła. Polewa pachnącymi wodami, trze delikatnie zgrzebłem, wyciąga w stawach wszystkie członki, które trzeszczą pod jego palcami, i wdzieczy się pokazując długie jak u konia zęby...!

Co ukończywszy przynoszą prześcieradła i ręczniki; robią na głowie turban z serwet, a pas z prześcieradła. Drapują ciało jak w tunikę starożytną, wkładają na nogi babusze i wiodą do pierwszej najobszerniejszej sali, gdzie na tapczanie odpoczywa się przez pół godziny obok innych. Tam, przyodziawszy szaty, nad fontanną pijąc kawę lub sorbety, pali się wonne nargile. Woda tak przyjemnie szeleści! Chłód taki miły...! a przy tym Arabcy opowiadają tak zajmujące powieści!

Ale... trzeba stąd uciekać, bo już nadchodzi godzina, w której kobiety przyjdą do kąpieli. Mężczyźni precz!

Szkoda...! Nieprawdaż? – Kobiety mają z sobą swoje służebnice, a w przysionku saiwów lub niewolników, i zwykle cały czas spędzają one w ostatniej sali. Spędzają w ten sposób pięć lub

sześć godzin na dzień. Przynoszą z sobą konfitury i rozmaite przysmaki. To są bowiem ich salony, ich wizyty, ich teatru i miejsca ich schadzek.

Dziewczyna nie idzie za mąż, dopóki jej przysły przed rodzicami nie przyrzeknie uroczystość, że najmniej dwa razy na tydzień będzie ją wysyłał do kąpieli.

Gdzież teraz poniesiem nasze kroki? O! w Kairze na ciekawych miejscach nie zbywa! Rok by w nim można bawić, a coś zawsze odkryć nowego.

„Kair przez lat tysiąc budowany, a jeden Kair na świecie” mówią Arabi. A zresztą w Kairze czas tak prędko płynie! Dzień można cały spędzić w bazarze, a dzień w kąpieli, a dzień w kawiarni. Tu słodkie próżniactwo prędko ogarnia wszystkie zmysły człowieka! Nad Kairem zawsze niebo piękne, bez chmury i bez skazy, a słońce gorące i promieniste. Życie jednym dniem w Kairze, a prawy muzułmanin za ledwo czuje, jak ten dzień schodzi. Wielu, co na rok przybyło w te strony z Zachodu, do końca dni swoich pozostało. Jedna tu tylko czasem w życiu daje się czuć odmiana, a to wtedy, kiedy zaraza morowa okryje miasto swymi żalobnymi skrzydłami. Wówczas po domach płacz i wycie; po ulicach przesuwały się liczne czerwone (muzułmańskie) lub czarne (europejskie) karawany. Odważniejsi Europejczycy wychodzą na miasto z długimi, okutymi w żelazo kijami, którymi odpychają tych, co by się do nich zanadto zbliżyli. Inni siedzą w domu jak w obłężeniu. Każdego ranka straż miejska przynosi im żywność, którą wkładają przy drzwiach domu w wannę świeżą wodą napełnioną, skąd ją dopiero obłężeni wydostają. Pośepny wtedy Kairu widok, ale tylko dla mieszkańca z Zachodu, gdyż obojętny muzułmanin żyje i wtedy jak zwykle, mówiąc: „Isz Allah!”¹⁰.

Cóż to znowu za dziwny, odmienny od innych bazar? Dwa razy szerszy od zwykłych, nakryty szklannym dachem, a po obu jego stronach sklepy na kształt europejskich. Jesteśmy teraz w Muski, tak nazwanym mieście Franków. Tutaj rój kapeluszków. Najwięcej Greków, Włochów i Maltańczyków. Twarze zbójckie, oszustowskie! Przyjemniejsze już od nich fanatyczne wejrzenia dzikiego Abdalli!

Lecz i tu także można spotkać czasem uczciwą fizjognomię jakiego starego francuskiego instruktora, doktora lub nawet i aptekarza.

Kiedyśmy wspomnieli o aptekarzach, otóż właśnie elegancka apteka, w której siedzi zamysłony, trzydziestoletni, wysmukły młodzieniec, blady, z złotą niewielką brodą i w ciemnym mamluckim stroju. Kto by przechodząc spiesznie tędy rzucił nań przypadkowo okiem, wzięłby go może za Lewantyna lub Turka, słowem, za pospolitego aptekarza. A jednak bardzo by się pomylił, gdyż pan Martin ma także swoje znaczenie! Pod tym wschodnim strojem jest to jeden z cymesów reprezentujących Europejczyków w tym mieście.

Młody Francuz, bardzo zdatny i rozsądny (co ostatnie nie cechuje wszystkich młodych i zdatnych Francuzów tego wieku), wstępując bez wstydu w stan swego ojca, nauczył się farmakopei i zaczął praktykować w Algerze, a od lat kilku przybył w te strony. Jak większa część młodych Francuzów dzisiejszego wieku – sceptyk, filozof epikurejski, rzucił on się z duszą i ciałem w słodczye lubieżności wschodnich. Zna Kair, Arabów i Arabki lepiej od wielu, co o nich dzieła piszą¹¹; przy tym jego apteka jest schadzka wszystkich Europejczyków zamieszkałych w Egipcie i przyjeżdżających do tego kraju.

¹⁰ „Jak Bóg da” (p. a.).

¹¹ Nie przymawiając sobie samemu (p. a.).

Cały dzień w niej pełno osób. W niej nowinki i sprawy różne na stół się wytaczają. W niej wydają sąd o ludziach, rozprawiają o polityce i w Afryce zakładają społeczeństwo małej Europy.

Pan Martin, Turek z charakteru, zawsze milczący i z obojętnym wyrazem na twarzy, czasem tylko przemówi słowo, ale w miejscu i z sensem.

Przy tym, choć sam niedawno zaczął pracować nad umysłowym wykształceniem swoim, ma on dość wiadomości ogólnych i umie je zastosować.

Dość dziwnym trafem, ten aptekarz, filozof i *viveur*, mający olej nie tylko w flaszkach, ale i w głowie, a przy tym bardzo przyzwoity sposób zachowania się, mimo że jest w gruncie cymesem wszystkiego, jednak zdaje się nie chcieć nikomu przewodzić! Jest on uprzejmym dla znajomych, uprzejmym bez poufałości i natręctwa.

Myślałbyś może, że ten człowiek tak spokojny i cichy jest śpiącym żółwiem? a jednak gdy p. Toppel, wicekonsul francuski w Kairze, będąc zelżonym na ulicy od pewnego Włocha za wyrządzoną temuż obelgę, stchórzył i uciekł do Aleksandrii, p. Martin, aptekarz, ujął się za honorem narodu francuskiego, wyzwiał i z tą samą flegmą, z jaką pali teraz swoją nargile, zastrzelił Włocha; z czego się teraz bynajmniej nie szczyci, ale czego z duszy żałuje, bo od tego czasu smutniejszy i słabszy.

Brawo! Panie Martin! Więcej podobnych aptekarzy, a zamkną usta Scribom i wodewilistom, którzy z nich tak drwinkują!

Idźmy teraz dalej, oto tą uliczką, gdzie na rogu tyle okulbaczonych osłów i natrętnych Arabów, których trzeba kijem odpędzać. Nim wyjdziem z miasta Franków, zastanówmy się przed tym domem (opodal listowej poczty) i przed tym otwartym sklepikiem, gdzie mały człeczek, siwy jak gołąb, ale jeszcze jędrny, szyje sobie spokojnie w dziurze, w której na dwie osób najwięcej miejsca.

No...! czyż i to sławny człowiek? Już teraz w każdym sklepie znajdziemy małego Bajrona, filozofa, sceptyka lub może przyszłego Thiersa!

Bez żartów...! i tego człeka historia jest ciekawą! Wpatrzmy się raczej w rysy jego twarzy... Z wejrzenia uczciwy...! Z jakiego on też może być narodu? Nie chytre to i zmienne spojrzenie Włocha! Nie ponure i zbójckie Greka...! Nie Turek to ani Arab, bo ma twarz zbyt białą...! Któż on więc? Oto lepiej słuchajmy, bo otwiera usta i ociera zielone okulary.

– A wzdyc państwo Polacy!

– A właśnie, mój stary!

– A witajcież! witajcie! A wchodźcież do mego sklepiku! O jaki ja rad! Jaki ja rad dzisiaj!

– Witaj nam, stary pocziwcz, co płaczesz na dźwięk rodzinnej mowy!

– A ja stary żołnierz...! Podlasiak...! Michał z Kęcze Kęczkowski...! Szlachcic... krawiec w Kairze, pod piramidami.

– A cóż ty tu robisz, bracie?

– Ot, siedzę i szyję...! A o parę kroków stąd mam i stancję...! a w stacji jest moja niewolnica czarna, którą kupiłem dzieckiem przed kilkunastoma laty. A jest w niej kącik dla przyjaciela...! A mam też i dwa dzieła: *Życie Jana Zamojskiego* i *Historię Naruszewicza*... Umieję już na pamięć, ale szkoda, że nie mam ich więcej!

– A ten drugi, co się teraz do nas zbliża i co także nie wygląda na tutejszego?

– Ot, to, panie, wielki wisus !...*** ... dezterter... ladaco! Już trzy razy miał sklepik i trzy razy zbankrutował. Musi się teraz żywić przy mnie. Wszak to, panie, prawie jedna mowa i jedno gniazdo... Słowianie...!

Bądź nam długo zdrów, pocziwy Michale, a niechaj Pan Bóg będzie z tobą!

Już i wieczór... wkrótce słońce zajdzie, śpieszmy więc nad brzeg wielkiego kanału ku Izbi-
kie, gdzie nas czeka wspaniały widok.

Otóż znowu ten obszerny plac Izbikie, którego widzieliśmy dziś z rana. Jak odmienna jego z tej strony postać! Tysiące niziutkich plecionych z trzciny krzeselek, jak w Tuileriach, a na nich siedzą Turcy, Arabcy, Kofci, Europejczycy – paląc fajki, pijąc kawę i używając pięknego widoku, a wkrótce miłego chłodu. Inni spacerują naokoło...

Są nawet i kapelusze damskie... Rzadkie, ale gładkie...!

Słońce zachodzi...! Jak piękne, różnobarbne rzuca odcienia na domy, na wodę, na drzewa, na szczyty minaretów.

Nie jest to plac Vendôme ani jaki square londyński; nie jest to zachwycająca Piazzetta Wenecji, arcydzieło sztuki. Ten plac, dziesięć razy obszerniejszy od innych, obstawiony w półkole fantastycznymi domami, które zachodzące słońce tak malowniczo złoci! Ten plac, którego środkiem jest jezioro, okrążone ulicą wysadzoną rzadkimi palmowymi drzewami, a którą kanał tak srebrną wstążką otacza, jakby sznur szmaragdów i pereł zdobiący łabędzią szyję dziewicy! Ten plac całą swą pięknosc otrzymuje od natury i od cechy piękności wschodniej, którą odbija, równie jak jego jezioro złotopurpurowe odbija promienie zachodzącego słońca. – Już zaszło...! Salwy z cytadeli pozdrowiły hucznie pierwszą noc ramazanu; szmer radosny rozbiegł się po tłumie muzułmanów. Ramazan – to ich karnawał! W dzień śpią i poszczą, a całą noc spędzają na biesiadach i f a n t a z j a c h¹².

Słońce już zaszło, a niebo jeszcze przez pół godziny otoczone ognistym wieńcem, nad którym unosi się wieniec złoty, nad którym blada szmaragdowa wstążka, nad tą obszerniejszą różową girlandą, ginąca w ciemnym błękitie niebios okrywających się już białymi jak perły gwiazdami.

Oto jest chwila, w której się oddycha na Wschodzie! Oto chwila, w której Kair Kairem. W której Wschód przywdział swoje godowe szaty. Teraz trzeba wielkiego malarza, wielkiego poety, aby go przelał na płótno lub w harmonijne, jak ten widok, słowa!

Jak tylko zagasty ostatnie promienie tej wieczornej zorzy, w mgnieniu oka cały plac, aleja otaczająca jezioro i wszystkie przyległe ulice zabłysły kagańcami. Powstał szmer z łona cichego dotychczas miasta; armaty z cytadeli powtórzyły salwy, a niespodziany fajerwerk wzniósł się ze środka wód jeziora w kształcie jaskrawej fontanny, a na drugim brzegu zabłysła piramida z kagańców, na szczycie której tkwiły półksiężycy z gwiazdą ognistą – godło muzułmanów.

Lud zbiera się w coraz większej liczbie... Szerokie nadbrzeże nappełniło się tłumem spacerujących.

Bogato uczaprakowane konie niosą poważnie na swych grzbietach arabskich jeźdźców. Wtem z daleka, od ulicy Franków, zabłysnęły liczne pochodnie i zahuczały niezwyčajne w tych stronach koła powozów. Przesunął się szybko kabriolet parokonny; w nim siedział młody i tłusty Turek, w czerwonej czapce z kutasem i w nowym nizamskim stroju, sam się niezgrabnie powożąc. Lud się rozstępował ze wszech stron, a on się oglądał, czy karety z jego haremu blisko za nim... Był to Abas-basza, wnuk wicekróla, a rządca Kairu.

Przesunął się ten cały orszak i udał sklepioną bramą ku stronie miasta Izbikie zwanej, gdzie i my poniesiem nasze kroki.

Gdzież pójdziem wprzódy...? Na operę...? czy na balet? Pytam nie żartem! Idźmy na operę.

Otóż nasz wierny janczar otwiera nieznacznie małe drzwiczki starożytnego domu i oglądając się wkoło, czy nas kto nie szpieguje, wprowadza szybko w ciemny korytarz i drzwi za sobą starannie zamyka.

Stara Arabka, schludnie ubrana, wychodzi naprzeciw nam z kagańcem i rozmówiwszy się z naszym janczarem (któren się już z nią na kilka godzin wprzódy widział), przyjmuje od nas

¹² Tak nazywają wszelkie zabawy (p. a.).

garstkę złota i wiedzie do obszernej sali, oświetlonej słabym blaskiem księżyca, przezierającego przez wysokie kratkowane okna, w pośrodku której fontanna mruczy żałośnie.

Jesteśmy w mieszkaniu Safny, najpierwszej śpiewaczki Kairu. Nie ujrzym jej oblicza, usłyszymy tylko przez słabą drewnianą kratę, która nas od niej przedziela, ciche tony arabskiej gitary i jej słowicze pienia. Każmy sobie przynieść fajki, rozciągnijmy się wygodnie na tych dywanach, a słuchając marzmy o tym, co nam najmiłsze.

O! jak jej głos coraz wymowniej się staje... Co za smętność...! Jak przenikający uczuciem! W tym śpiewie cała historia niewolniczego życia haremu, chociaż słowa co innego nucią. W tym śpiewie odzywa się wymownym tonem smętna dusza z przygnębionego ciała!

Prawdziwa muzyka wymowniej się odkrywa sercom słuchaczy, niż to pojmują ci, co jej są narzędziem. Są oni bowiem posłuszni swemu natchnieniu, a natchnienie wydziera wielkie myśli pomimowolnie z ich łona! Zdziwia ich samych i często przewyższa ich pojęcie. Bo prawdziwe natchnienie nie jest ich d z i e ł e m, ale samo przez się i s t n i e j e.

Muzyka jest pocieszycielką rodzaju ludzkiego, jest historią uczuć świata i wieszczym duchem przyszłości!

Dosyć!! Dosyć...! gdyż ten głos tak smętny, tak wdzięczny, tak czysty przesięka zanadto mocno przez szczeliny słabej duszy naszej! Bądź nam zdrowa, zaczarowana księżniczko z *Tysiąca i jednej nocy!*

Dalej! Teraz wesołych wrażeń, tańców! Almejówi!

Hej, janczarze, dziś ramazan... Trzeba hulać!

Oto jest garść złota (szczęściem, że podobna garść złota nie czyni kilku dukatów). Prowadź nas do domu, coś najął na dzisiejszy balet. A tam – tańce, wesoła muzyka!

Otóż już jesteśmy w kwaterze... Czekajmy chwilkę, a zobaczymy coś nowego. Tylko ostrożnie i cicho, bo nam się nic nie stanie, gdyż nosim dzielną broń przy boku, a Europejczyków boją się i szanują. Ale tych biednych sylfid szkoda!

Właśnie wchodzi... Jedna... dwie... trzy... cztery... i muzyka. Gitara arabska, piszczałki, skrzypce, gatunek małej arfy, bęben... Dobrze! dosyć na tym...

Wnet gdy nimfy pozrzucają z siebie czarne jedwabne zasłony, czyniące je podobnymi do hiszpańskich pokutnic, zobaczymy je z bliska. Cały ten balet z muzyką, z arakiem (któren te panie bardzo lubią), słowem, ze wszystkim, to jest z duszą i z ciałem, kosztować nas będzie po parę dukatów. Na moją brodę! to niedrogo! Są gdzie indziej mniej warte, a droższe! Ale jaka szkoda, że Safii, królowej tanecznic, nie ma teraz w Kairze!

Już się rozpoczęły tańce. Co za dziwaczna muzyka! Jak pięknie błyszczące oczki...! Co za kształtna kibić! a cały taniec nie w nóżkach, ale w całej osobie...! Otóż się zbliżają ku nam... krążą wokoło coraz to w innych płaszcach i przeginają się jak żmijki...! Siadają u nóg naszych... patrzą nam przenikliwie w oczy...! trzeba im za każdą razą przylepiać maleńkie sztuczki złota do czoła... taki jest zwyczaj!

Dosyć! Dosyć...! (przynajmniej dla czytelników) bo to coś się zabiera na ucztę Baltazara.

Niech żyje balet! zawsze i wszędzie...! Tylko tutaj rozsądniejszy co do ceny.

Uciekajmy co prędzej z tej Sodomy...! (co w stylu prozaicznym znaczy: „Idźmy dalej, a powrócimy kiedy indziej...!”) Już późno...! Ale to ramazan! a któż chodzi spać w ramazan?

Oto przejdźmy raczej tą uliczką i na tym małym placu, otoczonym różnobarwnymi kagańcami i przykrytym do połowy płótnem, zasiądźmy na niskim stołeczku, zapalmy nargile i na gawędzie spędzimy resztę nocy. Za kilka godzin i świt nastąpi.

Ot, tam, na środku, miejsce puste, a naokoło siedzą z skrzyżowanymi nogami starzy i młodzi i milczą. Wkrótce wnijdzie pomiędzy nich i zasiądzie na tym miejscu jaki poeta lub opowiadacz, i zacznie im jaką historię lub zanuci jaką gazelę, przygrywając sobie na swej lirze. W każdym kącie miasta, w każdej kawiarni, w każdej wiosce, w każdym miejscu, gdzie jest kilka domów, znajduje się taki bard, na skinienie którego wszyscy milczą, któren improwizuje

lub powtarza na pamięć nauczone śpiewy i powieści. Zwykle te śpiewy i te powieści mają jakiś związek z ich dziejami narodowymi lub z ich księgą świętą, Alkoranem... Często są zupełnie historyczne.

Araby wszyscy prawie (oprócz biednych zupełnie fellów) umieją na pamięć historię swych kalifów. Częstokroć ta historia jest fałszywą i niezgadającą się z historiami innych, gdyż ci, co nie mają dosyć światła i sposobności nabycia manuskryptów prawdziwie umiejętnych autorów, muszą często czerpać w banalukach pisanych przez jakich wierszokletów, którzy improwizowali sułtanów i kalifów, gdyż dzieł drukowanych i krytycznych tutaj nie ma.

Ale to się tylko dotyczy historii Omajadów, Abbasydów, Gaznawidów, Buidów, Selgiucydów, Ottomanów itp. Gdyż historia pięciu pierwszych kalifów zanadto jest znaną powszechnie, aby nie była jednakową w ustach wszystkich.

Ale dosyć tych komentarzy, a teraz słuchajmy i patrzmy. Otóż młody Arab, dość ponurego oblicza, w zielonym turbanie (co jest znakiem, że zwiedził już grób Proroka), siada w pośrodku ich grona i bierze lirę w rękę. Dobrze! Będzie śpiewał... Już to inny śpiew będzie od owego, który słyszeliśmy tego wieczora. Także smętny, monotony i płaczliwy; ale nie robi on na nas takiego wrażenia, gdyż śpiew wciąż smutny bardziej kobiecie niż mężczyźnie do twarzy... A potem tak czystego głosu, jakim jest głos śpiewaczki Safny, trudno znaleźć!

Ale patrzmy na twarz śpiewaka i słuchajmy poezji słów!

Otóż nastroił lirę. Słuchajmy!... Szczyściem umiemy dosyć po arabsku, aby pojąć znaczenie słów jego, które pomалу lub gwałtownie, jak szmer monotonnej kaskady, spadającej po kamykach, lub turkot młyńskiego koła, z ust jego będą się wydobywać.

GIAFAR I ABASSA

Gazela historyczna

O wy, wierni muzułmanie, co szanujecie światło światła, Abassa, mądrego stryja Proroka! O wy, co sprzyjacie domowi jego, co tak długo jaśniał na Wschodzie, posłuchajcie gazeli: o młodzianie z pochodzenia Bermicydów, tej kolumny tronu kalifów, i o pięknej Abassie, gołębiczy z haremu kalifa Haruna-al-Raszyda, czulej siostrze tegoż kalifa!

Jeszcze za czasów Solimana, potomka Mowiasa, któremu mądry i waleczny Amru tron zapewnił, nieszczęśliwy książe, potomek królów perskich, przybył na dwór kalifa do Miasta Słońca¹³. A gdy wszedł do sali tronu, zaraz pobladł kalif, a kamienie zaczarowane, przywiązane na gołym jego ramieniu, ścisnęły się raptownie, tak jak młode gołąbki tulą się przed burzą do łona matki! A kalif krzyknął:

– Precz! precz wszyscy od oblicza mego...! Jest tu ktoś, co ma na sobie truciznę!

Ja mam truciznę, o kalifie! – rzekł śmiało nowy przychodzień. – Ja, nieszczęśliwy syn wielkich królów, od dawna noszę na sobie truciznę, która mi odda ostatnią przysługę, w razie gdyby mnie moja nieszczęśliwa gwiazda zanosła kiedy wśród nieprzyjaciół rodu mojego! Jam Giafar... tułacz... niegdyś król Persów. Trucizna w tym pierścieniu, ale dla mnie ona tylko straszna! Nie lękaj się więc, światły kalifie! A pokój niech będzie domowi twemu!

Zostań, Giafarze! – rzekł kalif. A Giafar został. A z nim weszło szczęście i bogactwo w progi kalifów. A potomkowie jego, nazwy Bermicydów¹⁴, dłużej jaśnieli na horyzoncie i dłużej byli diamentami tronu, niż na nim ród Omniadów zasiadał. I więcej zrobili dobrego narodowi arabskiemu, niż Allah rozsypał gwiazd po niebie. I mędrszą była ich mądrość jak wszystko, co było na świecie przed Mahometem.

Już Harun-al-Raszyd z rodu Abassydów panował nad narodem wiernych, a Miasto Słońca rozkwicilo się pod jego mądrą ręką. Bermicydzi ze wszech stron tron podpierali. Naród żył szczęśliwy. Śpiewacy głosili mądrość i cnoty kalifa i starego Jahii, ojca Bermicydów. Uczeni zdumiewali świat cały, a sklepienia pałacu kalifa odbijały co dzień odgłos wesołych biesiad i harmonijnych tonów bandury!

Giafar, starszy syn Jahii, złożył godność wezyra w ręce swego brata Fahdalla, a sam, godny syn swego ojca, oddawał się naukom i wdzięcznymi tony opiewał sławę Proroka i kalifów jego.

Harun polubił Giafara i nie mógł dnia przeżyć nie widząc jego oblicza. Giafar i Harun, jak dwa zielone dęby, co się trzymają w objęciu, żyli szczęśliwi, mając pomiędzy sobą Abasę, wyrastającą jak biała lilia w cieniu bratnich dębów lub jak słowik, co się ukrywa w gąszczu ich gałęzi.

Harun kochał czule Giafara i kochał czule Abasę. Chciałby przepędzać dni całe z nimi, a jednak Abassa mieszkała z sułtankami w haremie, gdzie żadna obca noga, oprócz nogi kalifa,

¹³ Damaszek (p. a.).

¹⁴ Bermicyd znaczy w arabskim języku: „ssący pierścień” (p. a.).

stąpić nie może. A jednak Harun nie mógł żyć nie mając zawsze po swej lewicy Abassy, a Giafara po swej prawicy.

O siostró luba! – rzekł Harun do Abassy. – Tyś nie stworzona do życia niewolnic...! Twój rozum iskrzy się jak połysk brylantów, a twoje słowa płyną jak strumień miodu! Oto pół pałacu na twoje pomieszkanie i trzysta niewolnic na twoje usługi...! Żyj zawsze w pobliżu serca mego! Podzielaj nasze gody, nasze prace i nasze pienia, tak jak Fatyma podzielała życie swego ojca Proroka!

I zasiadła Abassa u stołu kalifa, i podzielała uczty jego, a jej obecność rozlała wokoło woń różaną i światło słoneczne, a jej śpiew, połączony z śpiewem Haruna i Giafara, brzmiał jak czule westchnienie synogarlicy wśród ryku lwa i rżenia arabskiego rumaka!

Odkąd zasiadła Abassa u stołu kalifa, czulsze i wymowniejsze były pienia młodego Giafara i jaśniejszym blaskiem pałała jego źrenica, i wznioślejsze były myśli jego, i miłszy wyraz był rozlanym na jego obliczu. Odkąd zasiadła Abassa u stołu kalifa naprzeciw Giafara, bardziej głos truchlał w jej koralowych ustach i mocniej biło serce w jej łabędzich piersiach, i mniej się otwierała źrenica jej niebieskiego oka.

I spostrzegł się kalif, że Giafar płonął do Abassy, a Abassa drżała do Giafara. I przy końcu pewnej biesiady, w czasie której sok winny lał się obficie wokoło, odezwał się do nich w te słowa:

– Abasso! tyś od dziś żoną Giafara! Giafarze! tyś od dziś mężem Abassy!

Ale słuchajcie i pamiętajcie! Tak jak w tym dniu wszystko troje razem, złączeni przyjaźni ogniwy, jak bracia i siostry żyjemy, tak będziem żyć przez wszystkie czasy. A ty, Giafarze, nigdy gdzie indziej, jak przy mym stole nie ujrysz Abassy; a ty, Abasso, nigdy gdzie indziej nie ujrysz Giafara!

Taka jest wola kalifa! a biada temu, kto na nią jest głuchy!

Zadrżały z radości serca kochanków, a sądząc, że ten warunek jest tylko natchnieniem soku winnego, przystali na wszystko, aby tylko zbliżyć szczęśliwą chwilę, w której ich kalif połączy. I nadeszła ta chwila z wschodzącym słońcem, a Damas słało kwiaty i pienia szczęśliwej parze.

I przyszedł po ślubie Giafar do Haruna, i rzekł klękając u stopni jego tronu:

– O wielki kalifie! przeprowadziłeś sługę twego przez sześć niebios do dnia wczorajszego, pozwól mu dzisiaj otworzyć wrota siódmego! Jakże chcesz, ażeby żyć ze słońcem, a zawsze w cieniu? Mieć różę w swym ogrodzie, a nie skosztować jej zapachu? Mieć dzielnego rumaka w swoim namiocie, a nie dosiąść grzbietu jego! Ach, pozwól...!

A kalif na to:

– Taka jest wola kalifa! a biada temu, kto na nią jest głuchy!

I spuścił czoło Giafar zdziwiony, i obłoczek przyćmił oczko Abassy, i zbladły wkrótce ich lica, i wędli oboje jako kwiatki bez rosy! A przy ucztach brzmiały wesoło zawsze ich głosy... i fałszywy uśmiech zdobił ich lica. A kalif szczęśliwy, że ich miał przy sobie, nie czuł ich bólu! On, co miał tysiąc sułtanek w haremie!

I sześć razy księżyc wrócił do dawnej postaci, a kalif nie zmienił swej okrutnej woli!

Abassa taki list pisała do Giafara: „Chciałam uwieźć moją miłość w sercu, ale nieposłusznarwie pęta, które na nią wkładam. Jeśli nie zadowolisz jej żądzy, moja wstydlivość zginie z moją tajemnicą. Ale jeśli odrzucisz jej prośby, ocalisz nam, przez swą moc, życie!

W każdym razie przynajmniej nie umrę nie pomszczoną, gdyż śmierć moja dowiedzie, kto był moim zabójcą!”¹⁵

I zapomniał o wszystkim Giafar w tej chwili, i rozogniła się jego żrenica jak sztaba rozpalona w płomieniach, i narażając się na tysiąc niebezpieczeństw znalazł sposób rzucenia się do nóg swej małżonki...

A przy ucztach brzmiały zawsze wesołe ich głosy! a prawdziwy uśmiech zdobił ich lice; a kalif szczęśliwy, że ich miał przy sobie, nie czuł ich radości; on, co miał tysiąc sułtanek w haremie!

I dziewięć razy od tej chwili księżyc wrócił do dawnej postaci, a kalif zawsze sądził, że nic się pomiędzy nimi trojgiem nie zmieniło.

Dziewięć razy księżyc zmienił swą postać, a dąb wypuścił nowy korzeń i pierwszy pączek wyrósł z łona róży! A rzadko brakowało Abassy przy biesiadach!

A zawsze rumiane były jej lica, a uśmiech i śpiew był na jej ustach, choć ból i trwoga w jej łonie!

A za dziesiątą zmianą księżyc Giafar unosił tuląc do serca niemowlę bielsze od śniegu, a rumak jego leciał przez pustynię i niósł go błyskawicą do murów miasta świętego.

Nic się nie zmieniło na dworze kalifa! Wrócił Giafar i znowu w pałacu brzmiały wesołe biesiady. Pokój był z nimi przez długie lata, a kalif powtarzał na prośby Giafara:

– Taka jest wola kalifa! a biada temu, kto na nią głuchy!

Lecz była żmija na dworze kalifa...! Podły niewolnik z rodu czarnych bestii... Doniósł ten szatan, co podsłyszał swymi czarnymi uszami; i zmarszczył brwi, i ścisnął pięści rozżarzony kalif, ale przytłumił na chwilę ogień swej zemsty, aby pożar wszystko mógł za jednym dmuchnięciem pochłonąć; i pocałował jak zwykle swą siostrę w czoło, dosiadł swej ulubionej białej klaczy i udał się z dworem w pielgrzymkę do miasta świętego.

Ale serce ojca czulsze od kozuniu¹⁶. Nim kalif stanął u progów Mekki, już młody Ali był w Balsorze. A rozgniewany kalif wyciąć kazał cały ród Bermicydów i wygnać w puszcze Abassę!

I błądziła po puszczy Abassa! Błądziła przez lat dwadzieścia! A litujące się gazy przychodziły lizać jej obnażone nogi. A przelatujące orły rzucały jej swoje pierze, a niewinne jagnięta kładły u nóg jej swe niewinne główki. A ta księżniczka, siostra najpotężniejszego kalifa, co miała trzysta niewolnic na usługi, posiadała teraz dwie baranie skóry za całą odzież i ozdobę i szkielet wielbłąda za przytułek.

A naród płakał nad zagubą cnotliwych Bermicydów; a ten czyn splamił sławę kalifa, gdyż ten ród szlachetny więcej uczynił dobrego ludzkości, niż Allah rozsiał gwiazd na niebie.

Ziemia była jego małżonką, po jego śmierci stała się jego wdową¹⁷.

Śpiewak skończył...! Araby jeszcze słuchają...! Na ich twarzach maluje się smutek spowodowany nieszczęściem Abassy! Kiwają poważnie głowami i smoktają ustami.

¹⁵ Ten list autentyczny jest cytowanym przez historyka Ben-Abu-Agellaha (p. a.).

¹⁶ Kozuń, roślina zamykająca się za zbliżeniem (p. a.).

¹⁷ Z autorów: El-Macin i Abul-Ferug (p. a.).

– Cóż mówisz o tej poezji? To poezja obrazów...! Ale są też gdzieś tam myśli i uczucia... A te uczucia wywierają wrażenie na słuchaczach, gdyż są odpowiednie ich wyobrażeniom i malują w naturalnych barwach to, czego każdy z nich doznaje w tym życiu...!

Teraz będzie półgodzinna przerwa, podczas której nikt nie przemówi słowa. Same tylko kłęby dymu z tych niemych ust wydobywać się będą.

Cóż to znowu za wrzawa w oddaleniu? Cóż za turkotanie niezwykajne...? Wyjdźmy trochę spod namiotu i zobaczmy, co to się dzieje... Patrz! co za luna...! Patrz! pożar...! Jangheubar! Jangheubar...!¹⁸

Lećmy w tę stronę... Widzisz, jak wiele ludu tam ciągnie...! Myślisz, że lecą ratować...? Gdzie tam...! Lecą patrzeć...!

Bez wątplenia, piękna to okropność pożar w Kairze lub w Stambule... Ale są to dwa widowiska dość różne! W Stambule domy jak zapałki...! Tu także jedne o cal odległe od drugich i wiele z nich drewnianych, ale co do widoku, jaki przedstawiają w płomieniach, jest jednak różnica. Architektura Kairu jest piękniejszą bez wątplenia od architektury Stambułu, a przez to samo światła i odcienia fantastyczniejsze!

Otóż ulice zapchane...! zewsząd wynoszą kufry, piernaty, poduszki... Płacz, zgiełk i zgrzytanie zębów...!

Abas-basza na koniu, z zaspanymi oczyma, rozdziawił usta i patrzy! Domy się palą; oryginalne pokoje wschodnie pięter wyższych widać jak w transparencie.

Te haremy zakazane oczom...! Otóż je widzimy teraz!

Czasami widać w ogniu odważnego Araba, przecinającego belki siekierą, wyrzucającego przez okna drogie sprzęty lub unoszącego zemdlałą kobietę... Wszystko to przesuwają się przed naszymi oczyma jak cienie kamero-obskury! A dokoła jasno jak w niebie, a skwarno jak w piekle!

Lud wrzeszczy, kradnie, bije się; zabija czasami...! Wojsko stoi w półkolu... A wszyscy prawie patrzą się tylko! Posłano niby po sikawki, ale te jutro rano może wreszcie przybędą... Tymczasem rzucają kijami na dachy, aby rozwalić domy. Szczęście, że nie ma wiatru, a pożar udaje się w stronę wielkiego placu i tam się zatrzyma, gdyż przedział za wielki!

Na stu domach wszystko się ukończy... To jeszcze fraszki...! Co innego to było, gdy kalif Hakem kazał dla igraszki podpalić połowę miasta, a drugą, dla igraszki także, oddał na rzeź i rabunek!

Lub gdy w jedenastym wieku wezyr Schaner w mściwym szale kazał podpalić Kair, a pożar trwał dni czterdzieści!

W Stambule na tydzień dwa razy przynajmniej podobne gody! Więc... idźmy spać, przyjacielu.

Albo raczej przy świetle księżycy udajmy się ku bramie Starego Kairu, a tam znajdziemy konie i naszego wiernego janczara; otworzą nam bramę, bo mamy hasło, i pójdziem pozdrowić wschodzące słońce ze szczytu odwiecznych piramid!

Za półtorej godziny wystąpi już na niebo zorza i tak jak wczoraj, po zachodzie słońca, pół godziny trwać będzie! Galopując ciągle, na czas przybędziem.

Otóż plac piękny, na którym zielenieją młode, niedawno sadzone drzewa. Tu fontanna... Tam groby świętych...! Obróćmy się teraz trochę... Jaki Kair piękny...! jak fantastyczny... przy tym podwójnym świetle księżycy i pożaru.

Otóż starożytny wodociąg z rzymskich jeszcze czasów, na połowie drogi między miastem a Starym Kairem.

Musiał on prowadzić wodę do jakiego pałacu miasta Faustah lub innego jakiego, którego nie wiedzą już nazwiska. Opodal piękny nowy pałac, dalej droga nad brzegami rzeki, a po

¹⁸ Okrzyk na zwiastowanie pożaru (p. a.).

naszej prawej odnoga Nilu i wyspa Rodah, na której śpi spokojnie piękny pałac i obszerny ogród, na wpół angielski, na wpół wschodni, należący do Ibraima-baszy.

Tuż opodał od strony lądu błyszczący biały i kształtny pałac Solimana-baszy. Solimana! co miał dziesięć franków w kieszeni i trzy koszule w mantelzaku przychodząc do Egiptu!

O tym następną historię sam nam opowiedział.

Dosłużywszy się w armii Napoleona stopnia pułkownika, doświadczony, energiczny, sprężysty i pojętny, nie chcąc tracić czasu w armii Burbonów na paradach i procesjach, prześladowany z powodu swych opinii politycznych (był bowiem zagorzałym bonapartystą), postanowił iść w świat i szukać szczęścia. Wsiadłszy na okręt kupiecki w Marsylii, przyplłynął do Aleksandrii.

Wylądowawszy w tym mieście z dziesięcioma frankami w kieszeni, z trzema koszulami w mantelzaku (z których jedna już była przezroczystą, jak on sam opowiada), włóczył się po placu przez Europejczyków zamieszkałym i palił cygaro.

Nie pomnąc na ciężkie czasy i stosując się tylko do starego nawyknięcia, wstąpił do kawiarni, aby się ochłodzić szklanką ponczu. Ale że wtedy w Aleksandrii niewiele było Francuzów i Europejczyków w ogólności, konsul francuski, dowiedziawszy się o przyjeździe wyższego oficera dawnej armii, przysłał swego drogmiana do kawiarni, w której nasz bohater się znajdował, aby go się spytać o paszport. (Był to bowiem konsul Burbonów).

Séve, stosując się zawsze do starego swego zwyczaju, uderzył nogą drogmiana, a zreflektowawszy się, że choć się to działo w Afryce, jednak podobna karta wizytowa nie bardzo uchodziła, za pośrednictwem kilku przyjaciół, których sobie był wnet zrobił przy ponczu, wyniósł się natychmiast z Aleksandrii do Kairu.

Tam wziął się do pracy, to jest przebywając u niektórych Europejczyków, chętnie udzielających gościnnego przytułku staremu żołnierzowi Napoleona, zaczął się pilnie przykładać do języka arabskiego i do nauki Koranu. Co już dowodzi, że Séve nie był pospolitym rębaczem, ale że miał wyższe zdolności.

W rok potem (1821) Séve został przedstawionym osobiście Mehmedowi-Ali.

– Czyś wojskowy? – zapytał go basza.

– Tylko – odpowiedział Francuz.

– Czy potrafiłbyś uorganizować mi nową armię na wasz sposób?

– Umiałem za Napoleona pobić tyle innych!

– Podejmujesz się wykonać moje zamiary?

– Podejmuję, jeśli mi dasz trzy rzeczy, to jest: czas, pieniądze i pomoc.

Stanął pomiędzy tymi dwoma niepospolitymi awanturnikami ugoda; wkrótce potem Séve przyjęty do dworu, jak niegdyś Mehmed-Ali do dworu baszy aleksandryjskiego, przywdział tureckie szaty, przybrał muzułmańskie imię i żył pod promieniami łaski Mehmeda.

Mehmed-Ali, postanowiwszy rzeczywiście wspierać go mocno w wykonaniu nowych zamiarów, stosownie do jego rady wysłał go do Esné nad granicę Nubii i przeznaczył także to miejsce za garnizon kilku starym batalionom, złożonym z niedobitków mamluckich jak i arabskich, i do tych batalionów wciąż nowych rekrutów dosyłał. Soliman (tak się bowiem Séve przezwał) mieszkał w Esné u mudira (rządcy), któremu tajemnie poleconym było dawać mu w przypadku wszelkie zbrojne wsparcie. Pozostawał on w zażyłości z Mamlukami i Arabami.

Stopniowo zaczął im pokazywać jako igraszkę musztrę z karabinem po europejsku. Kilku, kilkunastu, a potem kilkudziesiąt nauczyło się, jak na zabawę, tych nowych i ciekawych rzeczy. Soliman przyzwyczajał ich do tego codziennie, a wyuczywszy dostatecznie, nakłonił, aby i oni uczyli przybywających rekrutów, z których formował plutony i roty i oddawał na naukę nowouformowanym instruktorom. Nie spostrzegając się, że skuteczniają dawne zamiary

Mehmeda-Ali, Arabcy byli powolnymi życzeniom Solimana, gdyż zawsze człowiek chcący szczerze i chcieć umiejący znajdzie sposób, którym zmusi innych do wykonania swojej woli.

Ale pozostawała jeszcze do załatwienia jedna rzecz, w której Arabcy są bardzo skrupulatnymi. W wieczornych rozprawach z fajką w ręku pytali się oni Francuza:

– A jakiej ty religii?

– Żadnej – odpowiedział im buchając kłębami dymu.

– Jak to, żadnej? w kogóż wierzysz przecie?

– Wierzę w jednego Boga, a że ten Bóg nie może sam wszystkim się zatrudniać, wierzę, że musi mieć jakiego namiestnika.

– Mahometa – odpowiedzieli mu Arabcy.

– Nie wiem, jak się nazywa.

– Mahomet! Mahomet! – wołali oni, dodając: – Ten człowiek nie wie, że jest muzułmaninem z natchnienia!

Czynili mu inne zapytania, na które filut Francuz odpowiadał zawsze w duchu Alkoranu, którego umiał na pamięć.

– To cud boski! – mówili łatwowierni muzułmanie. – Ten chrześcijanin zrodził się na mahometanina! On nim już jest, gdyż światło Mahometa wstąpiło do mózgowicy jego!

Jednym słowem, Soliman w ciągu lat dwóch utworzył Mehmedowi-Ali nową armię na sposób europejski. Nie dokonał jednak tego bez licznych trudności i szwanków, gdyż i na dworze Mehmeda, i w obozie byli tacy, co usiłowali zgubić tego śmiałka.

Razu pewnego w Assuan, na wyspie File, gdy podczas musztry Soliman komenderował batalionowy ogień, kula karabinowa świsnęła mu koło uszów.

Oficerowie opodal stojący spojrzeli się na siebie i czekali niespokojni chwili, w której wybuchnie na wierzch gniew i trwoga Solimana. Ale Francuz podkręcając węża komenderował dalej:

– Powtórzycie mi ten ogień! a żwawiej! a razem! A drugi raz, osły, nie pakujcie ładunków z kulami, bo kul szkoda!

Dał on innym jeszcze raz dowód swej przytomności i odwagi moralnej, a to już na dworze Mehmeda w Kairze.

Pewnego razu Soliman znajdował się w pałacu Mehmeda wraz z wielkim imanem religii, zażartym jego nieprzyjacielem, którego wciąż pod nim dołki kopał. W potocznej rozmowie, którą iman z Mehmedem w tureckim języku prowadził, powiedział on coś niewłaściwego, co słysząc Soliman odezwał się także po turecku i wmieszał do rozmowy.

– Aha! – rzekł basza. – Wszakże to nasz Soliman nie tylko po arabsku, ale i po turecku już mówić zaczyna!

– O, pewnie! – przerwał iman. – Soliman mówiłby już dobrze po turecku, gdyby wciąż z nami obcował; ale Soliman gdy zawita do Kairu, zawsze z swymi, zawsze z konsulami, zawsze z kupcami europejskimi!

Uczuł ten przycinek Francuz i zbliżając się do imana rzekł mu miluchnie, głaszcząc go po brodzie:

– A czy wiesz, mój ojcie, dlaczego Soliman przebywa zawsze z konsulami, zawsze z Europejczykami? Oto dlatego, że od nich można zawsze się czegoś nauczyć, a cóż, proszę, można się nauczyć od osłów?

– Jak to? – zawołał obrażony iman.

Ale Mehmed-Ali rzekł na to parszając od śmiechu:

– Cha! cha! Cha! mój stary! Soliman ma rację...! Oj, osły, wy! osły i wielkie osły!

Jadąc dalej, u kresu malowniczej drogi, wśród pałaców i ogrodów bieleją minarety meczetów Starego Kairu i szarzeje szczyt wyniosły ich ojca, szczyt meczetu Amru'a, założonego na miejscu, w którym stał namiot tego wodza i gdzie znaleziono gniazdo gołębicy. O trzeba tą

drogą przejechać jeszcze o innej porze, w pół godziny po wschodzie słońca... Trudną do pojęcia jest rzeczą, jaki w tych krajach wpływ magnetyczny słońce nad wszystkim wywiera! – Z rankiem, kiedy obfita nocna rosa odświeżyła naturę, wszystkie te domy bielsze, drzewa zielniejsze, powietrze jak w dniu majowym... Kair i Egipt jak kameleon trzy razy zmienia farbę pod promieniami słonecznymi. Inny tu obraz z rana, inny wcale w południe, inny wieczorem. Aby to pojąć, trzeba patrzeć własnymi oczyma i zrozumieć!

Starożytni i Arabcy nazywają miasto Balbek i Damas miastami słońca. Ja sądzę, że to nazwisko bardziej przystoi Kairowi, gdyż to jest miasto od niego ulubione, z którym się pieści bez przerwy...

Tu, w tym miejscu, koło Nilometru, przebędziem Nil szeroki w czólnie. Naprzeciw wznoszą się koszary kawalerii, założone przez Solimana, a których komendantem jest zdolny sztabs-oficer francuski, podpułkownik Varennes. Odwiedzim go kiedy indziej, a nieznajomych przyjmie jak braci... Bo teraz spać jeszcze musi. Ta wioska i te koszary zowią się Gize; tu opodal wygrał Bonaparte tę sławną batalię, b a t a l i ą p i r a m i d nazwaną.

Patrz! oto jeszcze dobra godzina do świtu, a już biedne Arabki idą z dzbankami po wodę do Nilu... Ale ostrożnie! Biedne Arabki... bo o tej także godzinie szakale i hieny okoliczne dążą do Nilu, aby się napić na dzień cały; a stada białych pelikanów spoczywają spokojnie przy brzegu, tuląc głowy w śnieżnym puchu swych skrzydeł...

Na uwieczającym się stopniowo w złotą girlandę horyzoncie odcieniają się trzy prostokątne trójkąty... Z dala wydają się jak trzy kurhanki, jak trzy namioty olbrzymów!

Witajcież nam, sławne piramidy! „...z waszych szczytów czterdzieści wieków patrzy na nas!”

Spieszmy! bo od stóp piramidy do jej wierzchołka półgodzinna droga, a zorza tuż!

Usłyszały tętent naszych koni Arabcy z pobliskiej wioski, lecą ku nam tłumnie z góry... Nie porywaj się do pałaza! Batogiem ich rozpedzisz!

A jednak to lwy, to Herkulesy z budowy... Ale Mamlucy i Mehmed-Ali zabatogowali duszę.

Lecą oni obok naszych koni... Jest ich trzydziestu, a tylko po dwóch trzeba na każdego, aby wejść na piramidę. Gdyż nie tak łatwa, jakby się zdawało, droga po tych kamiennych szczeblach. A niejednen Anglik już swe zuchowstwo karkiem przyplacił.

Otóż jadąc pomiędzy gruzami, skałami, parowami, dostaliśmy się aż do stóp największej piramidy. Jest to ta, którą, jak mówią, wybudował Żydami ów faraon, co utonął w Morzu Czerwonym goniąc Mojżesza. Jesteśmy więc u stóp piramidy, to jest w miejscu, do którego jej podnoże zostało przez czasy piaskiem z przyległych pustyń zasypane. Widać jeszcze z jednej strony w dole kilkadziesiąt sążni w piasku. A kto wie, co tam w głębi...? Od podstawy terażniejszej do wierzchołka dwieście trzy bryły granitowych, z których jedna oparta na drugiej, a razem stóp francuskich czterysta dwadzieścia osiem wysokości. Jest dwieście trzy warstw, z których spodnia jest kwadratem z dwustu trzech brył, a inne są kwadratami, mającymi wciąż jeden rząd brył mniej po każdej stronie, aż do kwadratu z czterech na samym wierzchu.

Nie dojdziem bez chwili odpoczynku na sam wierzchołek.

A nie patrz w dół! Bo przepaść straszna, nie masz tu poręczy... prócz Arabów, co prowadzą pod ramiona. Oni z zamkniętymi oczyma w dzień i w nocy jak koty się na nią drapią. To nic jeszcze, ale nawet na drugą i na trzecią piramidę, które, choć mniejsze, są jednak trudniejszego przystępu i niepodobnego nawet dla ogółu, gdyż od wierzchniej połowy tynk jeszcze nie odpadł i formuje prostopadły spadek, nie wydający sterczących kamieni. Wdrapują się oni na nie za kilka groszy nagrody. A raz nawet stary pan Michał z Kęczek dla honoru narodowego wlaź także na nią, ale mówi, że jak się spuszczał, to mu włosy stały jak igły na głowie.

Co za widok przepyszny! Z jednej strony Kair, łąki, gaje, lasy palmowe. Tu Nil wężykiem płynący; tam jego dwie odnogi ku Rozetcie i Damiectie się rozciągające. Tu znowu żyzne

łany urodzajnej Deltę. Jak słońce dobrze zejdzie, zoczmy dalej jak we mgle Morze Śródziemne i Aleksandrię, chociaż stąd do nich mil trzydzieści. Ale płaszczyzna jak zwierciadło, a z tyłu za nami pustynia złocista! Za Kairem także pustynia! a gdzieśbukiet zieleności jak gwiazda na tym piaskowym niebie lub jak łabędzi żagiel na oceanie.

Po pustyni widać przebiegające hieny i szakale wielkości główki od szpilki lub ziarenka ruchomego czarnego piasku na białym łanie.

Zejdźmy z tej wysokości! Nie zapisujemy naszych nazwisk, bo ich tu tysiące. Dodajmy wszakże spostrzegłszy na wpół zatarte imię Bonapartego: *Quod licet Jovi*, wara etc.

Wniźdźmy wewnątrz. Galerie! lochy! groby! Olbrzymie sztuki granitu ze starości gładkie i świecące się jak lustro. Sklepienia – to wspaniałe, to o tyle tylko obszerne, ile trzeba miejsca dla pełzającego człowieka. A ostrożnie, bo łatwo jaką przepaść napotkać...! Wszystko to wspaniałe, ale trudne do opisania, chociaż tyle razy opisywane...

Wyjdźmy z tej piramidy i pozdrówmy inne. Ukłońmy się przed tym olbrzymim Sfinksem, którego uśmiechające się oblicze i brak nosa czynią podobnym do Panglosa, najszcześniejszego z ludzi; (*Kandyd* Waltera).

Zajrzyjmy w te studnie z mumiami, skąd wylatują puszczyki i sowy. Rzućmy okiem na poczet tych malutkich piramid, które obok trzech wielkich wydają się jak wnuczęta przy prababkach. Wsiadajmy potem na koń i piaskiem lećmy do ruin sławnego Memfis, gdzie zobaczymy powalonych olbrzymów; stamtąd do piramid Sakary, które liczniejsze, choć trochę mniejsze od wielkich piramid Gize, i chłodnym lasem palmowym ku Nilowi, koło obozu Tura, wracajmy na powrót do Kairu, gdyż już słońce piecze.

A nie zapomnijmy dać baksis Arabom, bo nas piechotą ścigać będą aż do Kairu za kilka groszy! Rzućmy także jaki pieniądz i tym dziewczętom egipskim, co z dzbankami świeżej i zimnej jak lód wody wlażyły za nami jak jaszczureczki na sam szczyt piramid, gdzie zmęczonemu woda tak miła!

Jak miło spocząć na wygodnym dywanie, w wygodnej odzieży, z cybuchem w ustach i w chłodnej sali po trudach podróży, w czasie gdy ziemia dokoła zapala się prawie pod promieniami słonecznymi!

Na Wschodzie tylko ocenisz prawdziwą słodycz spoczynku! Ten wonny tytuń z opium zaprawny, te miękkie poduszki dywanu, ten chłód miły z powiewem sztucznie naprowadzonego wiatru – wszystko to wprawia w czarodziejskie uśpienie. Godziny przepędzać można nie spostrzegając ich przelotu. Dusza marzy, a ciało spoczywa nic nie wiedząc o duszy! Nie dziw, że wschodni mieszkaniec w dzień tak rzadko otwiera usta. Ale ten wpływ natury szkodliwszym jest dla człowieka nie chcącego żyć *b i e r n i e* w tym życiu.

Jego pojęcie, jego wola, jego *m o ż n o ś ć d z i a ł a l n a* zdrzymią w nim pomału, wpadną w letarg coraz dalej idąc, a na koniec mogą się i nie obudzić wcale. Tu człowiek mówi sobie: „Na co działać, na co się szamotać na wszystkie strony jak lew w klatce? Życie dniem! Czekajmy i używajmy! W pokoju! W wygodzie!”

Tu geniusz sam tylko jest zdolnym otrząść się z pętów, które nań wkładają *z w y c z a j i n a t u r a*, jak dwie zwodnicze syreny!

Rozmawiajmyż więc, aby nie zapomnieć mowy!

– Chcesz się może ożenić, mój przyjacielu...?

– Bóg zapłać!

– Bez żartów... mówię szczerze... Jeślibyś chciał się ożenić, to bardzo łatwo!

– Najniższym sługą!

– O! bo ty pewno myślisz, że to tak jak u nas, że się trzeba zaprząć na wieki...! Tu możesz się ożenić na miesiąc, na dwa, na rok... na czas, jaki ci się podoba.

– Chcesz zapewne mówić, że mogę sobie kupić niewolnicę lub zrobić się może Turkiem i pojąć żonę z tego wyznania; lub też, tak jak u nas, wziąć...

– Mylisz się bardzo! *Hanny soit qui mal-y-pense*. Tu mowa o prawdziwej żonie. O chrześcijance, którą ci powierzą w ręce własni jej rodzice, nie sądząc się wcale skrzywdzonymi na honorze. Oto słuchaj raczej, to ci powiem, jak masz postąpić sobie, w razie gdybyś chciał skosztować tego chleba.

Musisz najprzód powierzyć swój zamiar jakiej matronie z Lewantyn¹⁹. Opiszesz jej dokładnie boginię twych marzeń, jej oczy, jej włosy, jej lata, jej wzrost, jej cerę itd. A potem założysz ręce, zamrużysz oczy i będziesz czekał, aż póki ten sen na jawie, to marzenie twojej duszy nie spełni się w rzeczywistości... i to za pomierną cenę.

Matrona ubierze się w swe najlepsze szaty i pójdzie w swaty. Uda się naprzód w tę stronę miasta, ku Bulakowi, którą kwatery Koftów nazywają; gdyż trzeba, żebyś wiedział, że Kair podzielony jest na kwatery. Są kwatery Koftów, Żydów, Greków, Ormianów, Franków itp.

A te kwatery są osobnymi miasteczkami w wielkim mieście. A podobnych kwater wielkich i małych do kilku tysięcy, gdyż jedna z tych sekt kilkadziesiąt i paręset podobnych zajmować może. Bo Kair jest miastem w niczym niepodobnym do innych. A Kair teraz niezupełnie zamieszkały i ma zaledwo połowę swej dawnej ludności, do pół miliona niegdyś wynoszącej. Podobne kwatery mają swoje bramy na noc zamykane i swych stróżów, swych dowódców (komisarzy policji), swych sędziów, swe świątynie.

Ale wróćmy się do naszej matrony, która już pewnie zaszła do Koftów kwatery; uda się ona wprost do domu, w którym się znajduje mniej więcej przedmiot twych życzeń. Zapuka do drzwi, wnijdzie, pozdrowi gospodarza i gospodynię i rzecze im uroczyście:

– Pokój waszemu domowi! Przychodzę ofiarować męża waszej córce Zuzuli.

– A z jakiego rodu?

– Prawowierny chrześcijanin...! nie Żyd, nie Turek! Postać jego powabna, a worek pękaty...!

– A wiesz, moja pani, że u nas tylko dwie córki w domu. A Zuzulka ma dopiero lat czternaście! Wolimy dać Marię, bo ta już parę razy wychodziła.

– A wiesz, moja pani – przyda matka – że Zuzulka skromną dziewczicą?

– Wiem o tym wszystkim, moi państwo, i dlatego zapukałam do drzwi waszych. Mąż, którego mam dla waszej córki, mąż nie lada jaki! Marii nie chce bo choć to często się teraz zdarza, że pomiędzy panną a młodą wdową nie masz różnicy co do wieku, jednak memu pryncypałowi zachciało się świeżo wylęgłego kurczęcia! Kiedy więc nie chcecie wydać za mąż waszej córki Zuzulki – bywajcież mi zdrowi, a ja idę do sąsiadów.

– Stój! stój! kochana pani... a co daje posagu?

– Wspaniały...! Ale kota w worku nie targuje i musi wprzódy zobaczyć.

Po tym wstępie matrona wróci do ciebie, a ty, jeśliś grzeczny, pofatygujesz się sam do domu narzeczonej, a jeśliś leń, to i rodzice przyjdą z nią oddać ci pierwszą wizytę. Jeśli ci się podoba, szepniesz słówko do ucha matronie, a jeśli nie, pokłonisz się i pójdziesz dalej.

W pierwszym razie matrona pójdzie w targ:

– Cóż chcecie posagu, moi drodzy państwo?

– Ehe... tysiączek piastrów...! to niewiele za taki klejnocik, co jeszcze nikogo nie stroił...!

– Tysiąc piastrów! Tysiąc piastrów...! Mój pryncypale, idźmy do sąsiadki.

– No, cóż dacie?

– Damy pięćset...

– O, nigdy! nigdy! szukajcie wszędzie, a nie dostaniecie za tę cenę. Oto Małgorzata od sąiadki cztery razy już była za mężem, a wczoraj ją pewien milord zgodził za sześćset

– No! mniejsza... damy sześćset!

– Nie...! nigdy...! Za sześćset damy wdowę, a za Zuzulkę osiemset, ani para mniej, ani więcej.

¹⁹ Chrześcijanie wyznania greckiego na Wschodzie zamieszkali (p. a.).

– Bądźcie więc zdrowi! my idziem dalej!
 – No! siedemset!... Podajcie rękę, a zaraz wysyłam męża po pisarza i po księdza!
 – Za księdza dziękuję unieżenie!
 – A, mój panie...! Księdza! Księdza...! Patrz, jaka milutka...! Jakie ma białe ciało...!
 – Za księdza dziękuję raz jeszcze!
 – No...! To pójdziemy napisać tylko kontrakt przed waszym konsulem, mój panie!
 – Za konsula dziękuję, za księdza dziękuję i idziem dalej!
 – No! czekajcie! czekajcie...! Jaki też to teraz świat popsuty...!
 – A dawniej może było lepiej, za Lota...? za Lamecha...? Lub za czasów, jakżeście byli sami młodzi, pani matko.

Otóż przyprowadzają pisarza od sędziego z kwatery (k a d i), którego zwykle, choć służy muzułmanom, bywa także Koftem z rodu. Ten pisze na zwyczajnym papierze po arabsku (na dwie ręce): „jako ty bierzesz za żonę pannę N. N. i obowiązujesz się dać jej siedemset piasstrów arabskich (dwieście dwadzieścia złp.) posagu; a to połowę z góry, a połowę przy rozwodzie. W razie zaś gdyby rozwód nie nastąpił po dziesięcioletnim pożyciu, ona już sama ma prawo się upominać o resztę posagu i o rozstanie, gdyby z ciebie nie była zadowolnioną”. Gdy ten akt sporządzonym został, w którym w miejscu twego (choćby nawet fałszywego) przezwiska kładziesz jakie inne, pierwsze lepsze, które ci przejdzie po myśli, przytomni podpisują, ty robisz krzyżyk, jako pisać nie umiejący, i wszystko skończone... To jest nie wszystko, bo jeszcze czasem wymagają podpisu dwóch świadków ze strony powoda, ale to dlatego tylko, aby mieć pewność, iż reszta posagu będzie wypłaconą. Jest jeszcze artykuł dodatkowy, opiewający: „że będziesz twą żonę posyłał dwa razy na tydzień do kąpieli; że będziesz widywał jej rodziców; i że to, co jej darujesz w ciągu pożycia, do niej już na zawsze będzie należeć...” Potem zapytają cię, „czy z weselem, czy bez wesela?” Ty wtedy przypominając sobie gazelę wczorajszego śpiewaka gotów jesteś krzyknąć z pośpiechem: „Z weselem! z weselem!”

Ale tu o czym innym mowa. Pytają cię tylko, czy jeszcze chcesz poświęcić jakie trzysta piasstrów na sprawienie ślubnych godów. Jeśli więc ciekawym zobaczyć z daleka swoje własne wesele i jeśli masz dosyć pieniędzy, to przystań na propozycję; gdyż w innym razie i tak ci jutro do domu narzeczoną przyprowadzą.

Wesele odbywa się w następujący sposób. Rodzice przygotowują obfitą biesiadę i zapraszają na nią wielu przyjaciół i przyjaciółek. Przed ucztą stroją pannę młodą w jej najpiękniejsze szaty, okrywają białym welonem, kładą na głowę złotą koronę (której pożyczają od sąsiadki, jeśli sami nie mają) i pod baldachimem, niesionym przez cztery panny (mniej więcej) biało ubrane, przeprowadzają z procesją po głównych ulicach miasta. Chłopczęta, wystrojone świątecznie, biegną przed

tym orszakami i rzucają kwiaty po drodze, a muzyka rzempoli z tyłu...

Ten zwyczaj obchodzenia wesel przejęli Kofci od Arabów, jak i wiele innych, z tą różnicą tylko, że Arabów i Turków orszak weselny poprzedzonym bywa przez dziesięcioletniego chłopczyka, w godowych jaskrawych szatach na pięknym koniu jadącego, którego przy tej okazji mają ochrzcić na sposób muzułmański.

Ubożsi czekają nieraz na wesele bogatszych, aby przy jednym ogniu upiec dwie pieczenie...

Zwykle za orszakiem weselnym jedzie także i pan młody z druhami, na dzielnym ruma-ku...

Ale ty, co się żenisz *incognito*, możesz spokojnie czekać w domu.

Przeszedłszy się po mieście, orszak wraca do domu rodziców, gdzie muzyka gra, a goście jedzą przysmaki za twoje pieniądze. Ale jednak nie tak. tu źle jak u nas, gdzie pan młody musi się nudzić do północy. Tu z zachodem słońca matka przyprowadzi ci córę do domu. Wtedy odbędzie się dość nudny obrządek... Będą z matką i swaty, i swatki, będą się zapytywać, czy

kochasz żonę...? czy ją uszczęśliwisz...? Matka będzie chciała płakać, ale ty możesz ją od tego uwolnić, a zaraz przestanie, albo pozwolić, a całą godzinę szlochać będzie. To zależy od twojej woli, ale uprzedzam, że za to już się nic nie płaci. Jak się ten wstęp zakończy, matka odda publicznie córce batystową chusteczkę złotem haftowaną i szepnie jej coś do ucha.

Córka raka upiecze, a ty wytrzeszczysz oczy z zadziwieniem, gdyż ta chustka jest całym jej zawiniątkiem. Skrzywisz się trochę, bo jutro trzeba będzie zwoływać krawców i sprawiać jejmości całą wyprawę. A i ta chustka nawet jutro lub pojutrze (stosownie) matce odesłaną zostanie, a matka ją wywiesi na drzwiach domu jak sztandar ipokazywać będzie przez trzy dni te trofea całej kwaterze.

Teraz zaczniesz się dla ciebie trudna rola...! Choćbyś i czytał fizjologię Balzaka, to na nic ci się nie przyda...! Możesz być najuczciwszym, najdowcipniejszym z ludzi – jeśli nie znasz sposobów tureckich, toś zgubionym...! W istocie, jeśli od pierwszego dnia zaczniesz się obchodzić z żoną z grzecznością i z uległością europejską – przepadłeś...! Będzie ci grymasić przez cały ciąg pożycia. Narazi cię na niepotrzebne koszta. Dwa razy więcej będziesz na wszystko w domu wydawał. Zanudzą cię nieskończone odwiedziny jej niezliczonych kuzynek, krewnych i sąsiadów. W chwilach słodczych pożycia będzie ci wciąż wkładać w uszy: „Baksis! baksis...! a kup mi to...! a kup mi owo...!” Słowem, wyrzekniesz się domu i żony, przywiążesz sobie kamień do szyi i utopisz się w Nilu!... jeśliś ze szkoły romantycznej, gdyż w innym razie wypędzisz żonę po dniach dziesięciu pożycia i skrzywisz się pomyślawszy, że ryba sosu niewarta! To cię więc czeka, jeśliś nowicjusz. Ale zobaczymy, co się z tobą stanie, jeśliś brutal. Jeśli się jej będziesz we wszystkim sprzeciwiał, znienawidzi cię. Będzie szlochać, skarżyć się rodzicom, a może nawet okradnie i ucieknie... A gdzie jej będziesz szukał po Kairze...

Aby uniknąć Charybdy i Scylli, trzeba się z nią obchodzić po turecku. Trzeba, ażeby była w pewnych chwilach sułtanką, a zawsze niewolnicą! to jest sługą i gospodynią twego domu.

Trzeba, aby pamiętała o tym, aby ci ludzie służyli wiernie i nie kradli. Aby obiad był na naznaczoną godzinę. Aby owoce były dojrzałe, woda świeża, wszystko tanie! Jak wracasz z rannej przechadzki, powinna cię czekać na progu z miedzianą misą w ręku, obmyć z kurzu twoje nogi, nałożyć i zapalić twoją długą fajkę, i podczas gdy ty jeść będziesz śniadanie lub wieczerzę, stać z skrzyżowanymi rękoma za tobą lub siedzieć u nóg twoich i opędzać muchy.

A broń Boże, aby jadła w twojej obecności...! To poufałość...! Jada się tylko z równymi sobie...

Dla jej rodziców bądź grzecznym, ale traktuj ich zawsze z góry i po pańsku. Żonę posyłaj dwa lub trzy razy do kąpieli na tydzień; wysyłaj ją także do rodziców... Nie lękaj się...! Nic jej się nie stanie. Dałeś dopiero połowę posagu. Daj jej czasami podarunek jaki, ale daj jej uczuć zarazem twoją wielką łaskę i wspaniałomyślność...!

Gdyby ośmieliła się prosić o co sama, zmarszcz brwi i milcz lub wychodź z stacji, a drugi raz pewno się nie ośmieli.

Prowadź ją wieczorami na spacer, ale zawsze po turecku... zakrytą... A szczególnie nie pokazuj jej nikomu – nawet rodzonemu bratu!

Jeśli tak postępować będziesz, a żonka młoda i nie złośnica z natury, możesz miodem płynące pędzić życie, aż póki ci się nie sprzykrzy. Ale szczególnie – nie rozwódź się z oświadczeniami. Mów mało, a czyn wiele!

Jeśli masz przy tym porządną głowę, możesz nawet bardzo tanim kosztem pędzić podobny rodzaj życia. Wyłożywszy najprzód mały kapitalik na kupno żony i konia, twe wydatki, to jest: 1° dom chłodny po turecku umeblowany, z fontanną pośrodku; 2° żona; 3° służąca, 4° sais (masztalierz); 5° koń; 6° ubiory skromne, ale zgrabne dla żony; 7° utrzymanie domu i niespodziane wydatki – wszystko będzie cię kosztować tysiąc piastrów miesięcznie (czterysta złp.), nawet umarzając wyłożony kapitalik. Bo Kair najtańsze miasto w świecie; a jednak w hotelu u Anglika biedni Anglicy za obiad i stancję muszą płacić dwa lub półtora dukata dziennie.

Ale będziesz już żyć zupełnie po turecku, siedzieć na dywanach na ziemi lub na niskich sofkach, spać na podobnychże, jeść rękoma, pić wodę i kawę; zresztą żyć się bardzo dobrze i delikatnymi rzeczami, gdyż Nil najlepszym ogrodnikiem, a Kair we wszystko obfity.

Ale zapomniałem o czymś przedziwnym...! Oto że często, jeśli twój sais niewierny i ladaco, a żona nielepsza, a przy tym jeśliś dość głupi, aby trzymać w domu dużo pieniędzy (więcej, niż potrzeba na tygodniowe wydatki)... możesz się pewnego ranka obudzić z kolką w wnętrznościach i paść sinym i martwym na posadzkę, po boleściach, które ci sprawi arszenik, grynszpan lub jakie nieznane ziele.

Tak, przyjacielu! Podobny rodzaj małżeństwa nazywa się á la Cofte/ Mógłbyś jeszcze, gdybyś chciał koniecznie, wykraść jaką Turczynkę z haremu albo kupić dziesięć niewolnic, ale to mniej oryginalne od małżeństwa, którym ci opisałem.

Ale otóż i słońce się zniżyło; idźmy w Kair.

Dzisiaj przeprowadzę cię przez część górną miasta, pokażę cytadelę i nie tracąc czasu przepłynięm Nil, wsiądziem na koń (kiedy się wstydzisz na osłach jeździć, z obawy, aby cię nie wzięto za uczonego) i polecimy zwiedzić miejsce, na którym było niegdyś Heliopolis. Miasto ze wszech stron piękne, ze wszech stron oryginalne! Można by na nie patrzeć tysiąc dni i tysiąc nocy! Idźmy pod górę i wstąpmy śmiało po drodze (zdjawszy naprzód obuwie) do tego pięknego meczetu, opodal cytadeli leżącego. Zowie się on meczetem Hassana.

Od rzezi Mamluków muzułmanie rzadko doń uczęszczają. Jedyne to meczet, do którego wolno nie ukrywając się wchodzić chrześcijanom.

Architektura piękna! Fontanny obłożone marmurem, a za sklepieniem gołe niebo, najpiękniejszy w tym kraju sufit. Patrz, gdzie nas ten Arab wiedział. Oto pokazuje nam plamy krwi mamluckiej, której nikt nie śmiał zmyć dotychczas. Oko jego błyszczy niezwykajnie...! Mamlucy byli nieprzyjaciółmi Arabów, ale nie zemsta to błyszczy w jego oku... raczej wewnętrzne oburzenie, połączone z trwogą... Jego oko zdaje się mówić: „Mamlucy byli wiernymi muzułmanami! A Mehmed-Ali wyrzucił wszystkich Mamluków w miejscu świętym, które szanują nawet wtedy, gdy się schroni niewierny...! Ale Mehmed-Ali potężny! a my służy jego!”

Wchodzimy teraz do cytadeli. Rzućmy okiem na te nowe i niezgrabne budowle w wewnętrznym zamknięciu się wznoszące; na ten przepyszny widok, co stąd odkrywa nam cały Kair z swymi licznymi minaretami, i znijdźmy do studni Józefa. Ale nie do studni wydrążonej przez Józefa, syna Jakuba, jak niektórzy mylnie twierdzą, lecz Józefa (Jossef) Saladyna, któren obdarował tym arcydziełem Kair, jak i wielu innymi.

Góra skalista wyświdrowana przez środek do samego spodu. Wewnątrz tego wydrążenia, pomiędzy naturalnymi ścianami a ocembrowaniem z ciosowego kamienia, istnieją kręcące się wkoło schody, którymi można wygodnie schodzić aż do połowy. Tam potężne bawoły obracają ciągle wielkie koło, windujące wodę z niższej jeszcze kondygnacji, o tyle głębokiej, co i pierwsza, która ma sto kilkadziesiąt stóp. W ścianach lśniących się, jak wewnątrz piramid, gdzieniegdzie lochy w granicy na wół pozatykane. Powiadają Arabowie, że te lochy dochodzą aż do Morza Czerwonego; a wiele nadzwyczajnych o nich powieści jak i o tych także, co nimi się puścili i już ich więcej potem nie widziano!

Choć wszystko to ciekawe, wyjdźmy stąd jednak, bo nie podobna siedzieć w ciemnym dole, kiedy słońce tak piękne na niebie, a Kair tak powabny!

Wsiadajmy na koń i o pół godziny drogi za miastem idźmy zwiedzić groby kalifów.

Piękne pomniki...! Otóż grób wściekłego Hakema i dobrego Adheda...! Jak do siebie podobne...! A jak różne jednak były ich postęпки!

A to co znowu? Czyż to świeże i białutkie pomniki...? To groby rodziny Mehmeda-Ali. I on także kalifem...? Winszuję nowego zaszczytu...!

Teraz przeprawmy się przez Nil i jedźmy dobrze nam znaną aleją Szubra. Omijajmy te ogrody i pałace i udajmy się przez piaszczystą przestrzeń ku stronie, gdzie sterczy ten szary obelisk i to stare a rozłożyste drzewo! Jeden tylko obelisk, a ileż jednak najstarszych wspomnień...! Tu wznosiło się Heliopolis, sławne Miasto Słońca! Tu były przepyszne pałace i świątynie. Tu mieszkał arcykapłan Putyfar; ale nie ten, którego małżonka kusiła Józefa, syna Jakuba. Putyfar tu mieszkający był arcykapłanem Słońca i jego to córkę dał później za żonę Józefowi faraon naówczas panujący; tamten zaś Putyfar był tylko urzędnikiem faraona, a Biblia tytułuje go eunuchem! Nie dziw więc, że jejmość chciała zbierać kwiaty w obcym ogrodzie...

To stare drzewo ma nie tak dawne, ale czulsze wspomnienia. Pod nim odpoczywała Maria Bogarodzica z Dzieciątkiem Jezus i ze świętym Józefem. W to wydrążenie pewnego razu, gdy Józef święty oddalił się był, a w tym czasie napadli na Nią Egipcjanie, schroniła się Ona, a drzewo zamknęło się i nie otworzyło, dopóki nie powrócił Józef święty. – Obok istnieje stara studnia, czyli raczej źródło, do którego nawet i muzułmanie chodzą w pielgrzymkę i którego wodę uważają za zbawienną na wszystkie choroby, oczów szczególnie²⁰. Pokój z wami, ludzie cisi, co wierzycie i szanujecie piękne i czułe wspomnienia o bogobojnej i słodkiej Dziewicy, o przykładowym i cnotliwym człowieku i o Tym, co nie mógł być mniej niż Bogiem, gdyż choćby nawet nie krwią niewinną swoją, to nawet tylko swymi słowy zbawiłby świat cały; świat, co wierzy w słowa Jego i podług nich postępuje.

Pokój z wami...! Wierzcie...! a żałujcie naigrawających się...!

Przebieżmy w cwałach około Kairu po tych łąkach, ogrodach i bazarach. Rzućmy okiem na smutny meczet Zwiędłych Kwiatów, gdzie tyłu było fanatyków! spojrzymy jeszcze na Kair, na zachód słońca z placu Izbikie, którego i dziś jeszcze będzie błyszczał nowymi światłami, i pożegnajmy ostatecznie to zaczarowane miasto, gdyż jutro ze świtem nasze ruchome przeznaczenie uniesie nas w dalsze strony, w długą, niebezpieczną i trudną podróż.

Ale wyjdźmy jeszcze wprzód za miasto, w tę stronę, jak ciągną te z wielbłądów karawany; na drogę przez pustynię do Suez.

Już to nie spacer wiedzie nas w te strony, ale pobożna pielgrzymka.

Widziszli tę bramę...? To sławne Bab-el-Nhar. Tu najwięcej legło Francuzów i ziomek naszych. Tu na tych krzyżowych drogach mężny Sułkowski, straciwszy wszystkich swoich, padł trupem odebrawszy ran dziewiętnaście.

Gdzież grób...? gdzie pomnik jego?

Oto tam widzisz wśród piaszczystej drogi (jakby słupek przydrożny, co mosty oznacza) kawał ciosowego kamienia, bez nazwiska, bez daty, na wpół skruszony i zasypany piaskiem. Gdyby nie dwa znamiona polskie, wryte na bokach, wziąłbyś go za żydowską mogiłę... A jednak przed kilkoma laty stał tu wznioślejszy grobowiec...!

– I także to wdzięczność Francuzów...? Francuzów...? – Przestańmy o tym mówić raczej...!
– A odpuść im grzechy, Panie! gdyż nie wiedzą, co czynią...

²⁰ Podobnych studni dosyć się napotyka w krajach muzułmańskich... W tak spieklonym klimacie, gdzie woda tak rzadka, są one dobrodziejstwem. Wielu pobożnych muzułmanów kazało wydrążyć i pokryć podobne studnie i stąd za świętych są uważani. – Piękny to zawsze uczynek...! (p. a.).

GÓRNY EGIPT

Już poranna zorza zajrzała w nasze okienko! Wstawaj, przyjacielu! Komu w drogę, temu czasi Spieszmy nad Nil, gdyż jeśli nie będziemy tam sami z naszymi kurbaszami, nie wyjdziem jak o południu.

Teraz przygotuj się do trzech rzeczy: p i e r w s z a, abyś się nie rozbierał przez cały czas podróży, gdyż cię pchły, pluskwy i coś gorszego jeszcze na śmierć zagryzie.

Wiadomo ci bowiem, że to dawniej Mojżesz sprowadził do Egiptu tę plagę, a chociaż twierdzą, że za skinieniem jego różdżki wszystkie te owady potopiły się w Morzu Czerwonym, będziesz miał wkrótce na własnej skórze tego przeciwne dowody.

Co do d r u g i e j muszę ci wprzód zrobić zapytanie:

– A boisz ty się szcurów?

– Szcury! a pfe...! któż widział...?

– No! jeśli tak, to pozostań w Kairze, gdzie ich już i tak nie brakuje, bo puszczając się w dalszą drogę musisz się przygotować podzielać z tymi zwierzątkami twoje łoże i wieczerzę.

P o t r z e c i e: – Czujeszże się zdolnym przez parę miesięcy codziennie prawie przykładać po sto kurbaszów na skórę twych bliźnich? – A cóż znowu...? Co za barbarzyństwo...! któż słyszał w dziewiętnastym wieku!

Jeśliś tego zdania, to jedź sobie na osobnym statku. Odbędziesz tę samą podróż, co ja, obracając na nią miesiąc więcej czasu; zagryziesz się, zagłodzisz, a jeśli, broń Boże, napotka cię w drodze słabość, zamrzesz jak pies, gdy zaś ja w przypadku słabości łatwiej dostanę się, prędzej do miejsca, gdzie będzie podobnym jakiśkolwiek ratunek.

Bo widzisz, z tutejszymi Arabami to tak się dzieje: albo od samego początku do końca oni będą wykonywać twoją rozsądną i sprawiedliwą wolę, albo od samego początku do końca będą robić, co im się podoba, a ciebie uważać będą za burą sukę. Ciebie, co zajmując ich sobie miesięcznie wraz ze statkiem zastrzegłeś sobie w kontrakcie wszelką najwyższą władzę. – Wybieraj więc...!

Ja w tym razie jestem za kurbaszem, gdyż jeśli go użyję, to tylko słusznie i w potrzebie; a to zdziczałe pokolenie pewno by nie zachowało równejże miary w postępkach, gdyby trzymało kurbasz w rękę. Bo oświata jest munsztukiem dla żądz osobistych!

Teraz jeszcze jedno pytanie: – Umiesz ty spać jednym okiem, z odwiedzionymi pistoletami pod głową i z na wpół dobytą szablą?

Potrafiłbyś w przypadku urządzić regularny odpór przed napaścią kilka razy mocniejszego nieprzyjaciela? Jeśli nie czujesz się zdolnym, nie puszczaj się raczej w dzikie kraje, bo można się założyć dwa przeciw jednemu, że cię wezmą diabli...! Chociaż i z tymi wszystkimi wiadomościami podobny los także spotkać cię może. Albo miej przynajmniej energicznego i wiernego sługę, co już nie raz pierwszy odbywa tę podróż, lub jak Anglicy, syp pieniędzmi i sądz, że wciąż pdróżujesz na gościńcu z Dovru do Londynu, to innym także będzie się здаwać, żeś tak odważny, że przed niczym nie bledniejesz. Jeszcze jedna przestroga!

Nie lękaj się wody, choć ci wejdzie do statku po kostki. Miej zawsze oko na wielki żagiel i nie pozwalaj go rozwijać w nocy albo przynajmniej ty lub który z twoich służących nigdy wtedy spać nie powinniście, gdyż jak zaśniecie, Araby się także spać położą, a wiatr z gór napadnie na was zniecka, a swym impetem uderzywszy w rozpostarty żagiel czółno zatopi. Araby, choć się obudzą w wodzie, wypłyną jednak na ląd stały, bo mieszkaniac nadnilski bo-

browej natury, zawsze ma ogon w wodzie. Ale z tobą nie wiem, co się stanie. Arabom łatwo się topić, nie tracą przynajmniej swych bagaży, bo są na wpół nadzy, ale ty, choćbyś się wyratował, twoja podróż stracona! i musisz się wracać do Kairu po zapasy żywności, broń itd.

Dosyć już tych przestróg na początek, a teraz, kiedyśmy już nad brzegiem rzeki, wnijdźmy do kanzy i każmy zaraz wywiesić na wielkim maszcie banderę naszego narodu.

Mamy w kanzy trzy kafassy²¹ z żywnością i kuchennymi naczyniami; jest i wino, jest i arak. Cukru zapas, bo oddalając się z trudnością go dostaniem. Sucharów zapas na dwa miesiące. Jest i apteczka, proch, kule, kilka strzelb, kilka książek... to i dosyć! Resztę prowiantów dostaniem za bezcen po drodze.

Stary, lecz dziarski wołyżer z armii Bonapartego – naszym kapralem, kamerdynerem i kucharzem. Czarny z Dongola – jego całym wojskiem. Arabów jedenastu: dziesięciu barczystych majtków i ich rejs²² z czarną brodą i w zielonym turbanie.

Urządźmy się jak najlepiej w tym mieszkaniu z małymi okienkami, gdzie można zaledwo siedzieć i leżeć na dywanie. Każmy rozpostrzeć namiot przed stancyjką dla chłodu – i teraz znak krzyża! W imię Boga! rozwijajcie żagiel i w drogę!

Mamy dzisiaj parę godzin drogi dość zajmującymi okolicami. Uważajmyż więc wszystko pilnie, gdyż – niestety! – choć to Arabowie mówią, że kto raz skosztował wody Nilu, siedem razy w swym życiu wróci jej się napić, wątpię jednak bardzo, abyśmy gdzie indziej, jak we śnie, oglądali kiedy te strony!

Otóż nasza kanza przesuwana się szybko Nilem pośród pałaców, domów i meczetów.

Myślałby kto, że to mały Bosfor lub wielki kanał w Wenecji! Po naszej lewej stronie Bula, ogrody, Kair w oddaleniu. Nad samym Nilem piękny, choć nowy, lecz wschodniej architektury pałac księżniczki Zogory, wdowy po Deftarder-beju, a córki Mehmeda-Ali. Pomiędzy ludem wieść krąży, że ta księżniczka (podobnie jak nieszczęśliwa siostra Saladyna) była posłuszną Mehmedowi, gdy jej mąż stracił łaski u wicekróla.

Po prawej stronie zajmujący widok na piękne domy bogatych Turków; dalej Gize i nowa obszerna szkoła kawalerii.

Jesteśmy teraz w tym miejscu, do którego niedawno przybywszy inną drogą, łądem, Nil przebywaliśmy w wycieczce do piramid. Otóż wyspa Rudah i Stary Kair. Opośadać widać na niebie piramidy Gize. O parę godzin za nimi widać piramidy Sakara. Jutro o tym czasie ujrzymy jeszcze w oddaleniu inną, mniejszą piramidę, zwaną El-Kadab, czyli Fałszywą, gdyż jest wewnątrz pustą i ułożoną z mniejszych kamieni.

Teraz, jeśli wiatr dobry, przez parę dni będziem płynąć przez mało znaczące okolice, gdzie nic nie zobaczymy ciekawego. Jeśli wiatr przeciwny, możemy i cztery dni zabawić się w tej drodze (to jest od Kairu do pierwszego znaczniejszego miasteczka). Choćby i tak było, będziem mieć zawsze za pociechę i rozrywkę wschód i zachód słońca, najpiękniejsze widowisko, jakiego nie zastąpią dekoracje wielkiej opery paryskiej lub londyńskiej; zieloność Nilu i polowanie nad brzegami tej rzeki na pelikany i gołębie.

Wiatr dotychczas dobry! Nadyma żagle i posuwa nas dalej. Sam rejs siedzi na dachu naszej budki i trzyma ster w rękę. Majtki na przedzie statku obdzierają ze skóry barana; będą go święcić, a potem rozpoczną biesiadę. Wielki to dziś dzień dla nich! Obchodzą uroczystość, w której będą błagać Allacha, aby nam dał szczęśliwą podróż.

Podobny baran nazywa się m a r u f. Bez niego nie puściliby się w drogę i na kontrakcie zastrzegają go zawsze za pierwszy warunek zgody. Już baran gotuje się w kotle, a Arabowie, umazawszy sobie twarz krwią jego, robią na ziemi koło z p a s t e- k ó w (arbuzów) i zasia-

²¹ Tak nazwane skrzynie plecione (p. a.).

²² Kapitan (p. a.).

dają za tym okrugiem. Jeden z nich gra na poczwórnych piszczałkach, podobnych tym, z którymi starożytni bożka Pana przedstawiali. Drugi takt wybija na obklejonym z obu stron baranymi skórkami, dość sporym garnku. Inni klaskają w ręce.

Jeden z nich (a ten jest duszą ich gier i na każdym statku musi się podobny znajdować), trefniś, chłop młody i bardzo dobrze zbudowany, staje prawie zupełnie nagi we środku ich arbusowego koła i zaczyna taniec majtków i gminnego ludu, tańcem Saide, czyli Górnego Egiptu zwany.

Ten taniec odprawia się wciąż w jednym miejscu, a tańczący nie podnosi nóg nawet. Cała pantomina polega na głowie, ramionach, a szczególnie na częściach tylnych ciała. W całym Egipcie lud tak tańczy. Taniec zaś almejów jest tymże samym prawie, tylko bardziej lubieżnym i wydoskonalonym, choć niezbyt przyzwoitszym. Po tańcu następuje komedia. Do tej już dwóch innych majtków trefniś sobie przybiera. Zaczynają się więc rozliczne, a naród charakteryzujące sceny.

Scena pierwsza przedstawia Turka, zużytego oficera Mehmeda-Ali, tyranizującego rozmaitymi sposobami swego służącego Araba, którym jest trefniś... Pospolicie w tej roli Arab zawsze płała dowcipne figle, a Turek na głupca jest wystrychniętym. Są oni niby w podróży i Turek kazawszy sobie rozesać dywan spać się kładzie, Arabowi przykazując, aby nie zmrzał oka. Wtem nadchodzi Beduinka (majtek przebrany).

Trzaska ona z biczem i śpiewa pieśń Beduinów prowadzących wielbłądy z towarami. Turek budzi się na ten odgłos. Wpadła mu w oko Beduinka. Ona też zaczyna się doń zbliżać i choć go kusi mniej zgrabnie niż Nonny Roberta, stary Turek ulega pokusie. Ale Beduinka upomina się o baksis (podarunek), a a g a (oficer) nie ma drobnych... Beduinka do biczem. Aga w prośby... Beduinka na nie głucha; aga zdejmując swój kaftan, oddaje go, aby zaspokoić Beduinę. (Araby się śmieją).

Turek znowu się spać kładzie; ale Beduinka znowu się wraca i tyle razy kusi Turka, że ten oddaje jej całą swoją odzież, broń i służącego Araba, a sam nagutki ucieka ze sceny i rzuca się do wody, a potem inną stroną za kulisy (to jest na statek) wraca.

Scena druga przedstawia młodego i pobożnego derwisza powracającego z Mekki. Przychodzi na plac, odmawia modlitwy, śpiewa, zaklina się na Koran i zabiera się do spoczynku.

Aliści znowu słyhać w oddaleniu głos Beduinkei. Derwisz się budzi i zatyka sobie kłakami uszy. Ale Beduinka ze wszech stron go zachodzi i kusi go, i kusi! Derwisz się zwija jak gądzina, zamyka oczy, zasłania się Koranem, a Beduinka zawsze swoje robi! Nareszcie derwisz pada ofiarą. Ale znowu kwestia o baksis...! A Beduinka swoje pretensje biczem popiera. Derwisz oddaje naprzód swój spiczasty kołpak. Ta scena, w której derwisz jest prawdziwie komicznym w tej walce pomiędzy materializmem a uczuciami pobożności, powtarza się kilka razy, aż dopóki derwisz, także w stanie natury, nie rzuci się z rozpaczem w nurty Nilu.

Scena trzecia w swoim rodzaju najkomicniejsza! Wszystkie Araby już naprzód przepraszają nas za swoją narodową sztukę. Ta się zaczyna, jak poprzednie, przyjdziem na scenę jakiejsi karykatury, śmiesznie przybranej, małej, tłustej, garbatej, z twarzą mąką ubieloną; niby to we fraku zrobionym z arabskiej odzieży; mającej niby buty, sadzą na gołych nogach wymalowane; niby kapelusz z jakiegoś naczynia kuchennego. Dwóch Arabów z spuszczonej głowami dźwiga jakieś zawiniątko i jakąś pstrą chorągiew na kiju.

Ma to być konsul europejski (Araby bowiem każdego wojażującego Europejczyka biorą za konsula lub za doktora, tak jak tegoż samego w Grecji kapitanem tytułują). Ten pan konsul od samego początku widowiska bije, stęka, gdyrze na Arabów, z niczego nie kontent! Nie mogą mu znaleźć miejsca na łożu. Tu za twardo! Tu nie ma się o co oprzeć; tu nisko; tu wysoko! Słowem, grymasi przez pół godziny bardzo komicznie, a trefniś wybornie tę rolę odgrywa, mieszając gdzieś parę skaleczonych słów europejskich, których się ze słyszenia nauczył, i prawiąc po arabsku bardzo dowcipne rzeczy, którymi bawi całe towarzystwo. Araby, grający rolę służących konsula, udają, że ich bolą słabą ręką zadawane razy, a na boku śmieją

się z nich, jedząc i pijąc zręcznie skradzione konsulowi przysmaki. Konsul nareszcie zasypia. Aliści słyhać znowu śpiew Beduinki. Konsul się budzi; spostrzega ją... przygląda się, a zobaczywszy, że piękna... wstaje, zaczyna się komicznie kłaniać i prawie grzeczności.

Beduinka swoim sposobem kusi go jak poprzednich i wyciąga od niego dużo pieniędzy.

Ten atak kilka razy się powtarza. Nareszcie konsul bankrutuje. Nie chce dawać fantów, a nie ma już przy sobie pieniędzy. Beduinka do bicza! konsul do swej pstrej chorągwi, którą się zasłania, klnąc w przestrachu po francusku, angielsku i włosku, mieszając razem wszystkie słowa. Ale Beduinka tak nań naciera, tak mu grozi, że konsul rozłącza się stopniowo z swym bagażem, z swoją chorągwią, a nareszcie z swoją odzieżą i nagi ucieka, i chce się topić; ale zmierzwszy głębokość wody, wstrzymuje się i szuka miejsca, gdzieby mógł swój wstyd ukryć, a znalazłszy to miejsce, wchodzi nareszcie do dziury, gdzie skład węgla, a po chwili cały czarny z niej się wydobywa. Arabcy formują koło, tańczą około niego, śpiewają i obchodzą chrzest konsula na Murzyna. Na tym się kończy ta drama we trzech aktach, w której się przebija ironiczna filozofia materializmu, a po niej bankiet następuje.

Zostawmy ich jedzących i skaczących jak małpy, a sami gawędźmy.

Długą będzie nasza podróż! gdybyśmy więc tylko o miejscach, przez które będziemy przejeżdżać, rozprawiali, toby nas w końcu znudziło; opowiadajmyż sobie raczej historie! Albo słuchaj mnie, a opowiem ci może co jeszcze zabawnego o Kairze lub o Arabach w ogólności. Ale najprzód muszę się od ciebie dowiedzieć, czy nie masz zwyczaju (jak niektórzy) ciągle spać w drodze?

Bo jeśli tak, to dobranoc...! Obudzę cię na dolinie Józefata lub przy łódce Charona... Nie śmieję się z tego...! Przewiezieni się nią i my kiedyś! A lubisz ty podróżować...? Gdybyś nie lubił, tobyś miał wielką rację, bo zaprawdę...! na co się to przyda męczyć i dręczyć, włóczyć po nie wiedząc jakich kątach przez całe swe życie, aby jeszcze gdzie jak pies zamrzeć, z dala od swoich, bez nikogo, co by choć przymknął powieki!

A ludzie wszędzie prawie ciż sami...! a przechodzień, jeśli krótko w jakim miejscu przebywa, wszystkim obojętny i wszyscy są mu obojętnymi. A zawsze sami. A wszyscy albo chcą z niego wyciągnąć jaką korzyść, albo się go lękają jak jakiego szkodliwego człowieka!

Kark by skreślił wpośród nich na rynku, a mało kto by mu podał rękę. Chyba, aby ściągnąć z jego ręki pierścionek!

Zresztą, jeśli mu się jakie miejsce podoba lub jeśli przypadkiem złączy się z kim ściślej- szymi ogniwy, tym boleśnieszka dlań chwila, gdy trzeba iść dalej i zawsze dalej; gdyż jak Ży- da Błędnego przeznaczenie, tak jego pcha naprzód ciekawość. Wszystko wie...! wszystkim odbiera ich iluzje o rzeczach lub w chwili zapomnienia z ł e g o, a przypomnień d o b r e g o, zaostrza niechęć do niejednemu ciekawość i żądę do dość smutnego zawodu... do włóczęgi...!

Jest jeden rodzaj tylko ludzi, którym wolno obierać to psie rzemiosło! Tymi ludźmi są ci, co czują w sobie dość mocy, aby wyciągnąwszy sens moralny ze wszystkiego, co im przejdzie przed oczyma, zastosować to później w życiu swoim lub w jakiej umiejętności, której się poświęcają. Podobnych ludzi niewiele! więcej daleko takich, co się tylko przyzwyczajają zmieniać co dzień rodzaj kuchni, dyliżansów lub statków parowych.

Wątpię, czy kiedykolwiek było na świecie więcej włóczęgów niż w naszych cza- sach! Przez ciąg lat dwudziestu pięciu ciągle trwałego pokoju, zdaje się, że wszyscy ludzie powychodzili z swych kryjówek, jak myszy w nieobecności kotów. Najprzód przepełniona wyspa Anglików wylała na ląd stały roje włóczęgów oryginalów. Stopniowo i Francuz, zachęcony sławnymi wędrownkami swego nadzwyczajnego cesarza, mniej już pogardzając obcymi krajami, zamiast ograniczać swoje wycieczki na Baden-Bad i Brukseli, zapuszcza się zaczął w głąb Niemiec i przetrząsać wszystkie zakątki Włoch i Szwajcarii! Niemiec porusza się także z swego flegmatycznego życia. Włoch zaludnia kolonie nowowznoszących się miast Afryki lub Ameryki. Polski szlachcic nawet za Karlsbad i Marienbad swoje wycieczki posuwa.

Dawniej, z powodu drożyzny i większej trudności w sposobach komunikacyjnych, wielkim panom lub poświęcającym się uczonemu zawodowi mężom wolno było, jednym przy pomocy znacznych dochodów, drugim przy pomocy rządu lub króla, udawać się w zamorskie strony! Panowie wracali do domu przywożąc z sobą nowe komiczne zwyczaje i obojętność dla rodzinnej ziemi.

Uczeni często wracali ze światłem, często także z przewróconymi wyobrażeniami...

Teraz zaś wszystkie klasy towarzystwa próbują, choć chwilowo, tego zawodu; stąd też wynika, że m n i e j r o z t r o p n i, będąc teraz liczniejszymi od dawnych podróżników (których panami nazywaliśmy), większy też głupstw i śmieszności zapas z sobą przywożą; ale także

r o z s ą d n i, liczniejsi od dawniejszych podróżnych, więcej zasięgnąć są w stanie światła i skarbić u obcych pożytecznych zastosowań. Jednym słowem, przyznać trzeba, że ta dążność do odwiedzania sąsiadów nie może jak być pożyteczną z czasem cywilizacji i ludzkości, tym bardziej że gdy jej monopolium nie jest trzymanym w rękach jednej lub dwóch tylko klas towarzystwa, jest więcej podobieństwa, że z czasem liczba rozsądnych i praktycznych przeważy liczbę m a r i o n e t e k, będących raczej zabytkiem wieku przeszłego i ogonkiem komety z pusto-głupich czasów regencji niż dziećmi naszego wieku! Niezaprzeczoną jest rzeczą, że w każdym kraju możemy się czegoś pożytecznego nauczyć. A ze znajomości wszystkich krajów świata możemy się nauczyć poznawać ludzi, ich potrzeby i sposoby kierowania nimi.

Jest rzeczą pewną także, że człowiek czujący i rozważający rzeczy, podróżując, prędzej i więcej żyje od człowieka zostającego wciąż na jednym miejscu lub z jednymi ludźmi. On bowiem, żyjąc to z ludźmi, to z samym sobą, ma czas do namysłu i do porównania. Jeśli więc ma zdrowy rozsądek, będzie prędzej umiał z czasem rozróżnić prawdę od fałszu niż taki, co je zna tylko ze słyszenia. Mało także takich, którzy doznawszy, co to jest życie i co to ludzie, wszędzie narzekać na swój los będą! Więc, przyjacielu, nie dziwiłbym się, gdybyś po tym wszystkim niezbyt lubił podróżować! Ale żeś młody, że potrzebujesz ruchu i wrażeń, idź ze mną, a będziesz ich miał pod dostatkiem; bo ja na zaczętej raz drodze nie przebieram kamyków, ale idę prosto przed siebie, gdzie mnie oczy poniesą.

W tych tu krajach, po których płądrujemy, pomimo wielu zasmucających rzeczy jest także dosyć pięknych i przyjemnych do widzenia. Tak u Araba, u Beduina, jak u Turka znajdziesz bezinteresowną gościnność i rzetelność w słowie. Ale ta gościnność szczególnie ściąga się do ludzi z ich wyznania.

To także wabi w te kraje Europejczyków, że tak w ich prywatnym, jak i w publicznym życiu znajdują wszelką wolność i niepodległość. Taniość nadzwyczajna pozwala im z mniejszymi dochodami prowadzić wygodniejsze, a nawet w zbytki opływające życie. Ale ten, co by nic nie miał, nawet i w tanim Kairze nic by nie wskórał. Abyś się o tym po części przekonał, muszę ci opowiedzieć anegdotę o saint-simonistach, którzy, jak ci jest wiadomym, przez parę lat w tym kraju przebywali.

Ci biedacy, dobre chłopcy w ogólności, ale z nieco przewróconymi głowami, tułając się po świecie i zewsząd wypędzani, chociaż spokojni ludzie, przybyli nareszcie do Kairu, gdzie się utrzymywali, jak mogli. Niektórzy znaleźli sobie zatrudnienia u znaczniejszych kupców europejskich; inni, mieszkając przy majątniejszych Francuzach (Solimanie, Linau), pracowali umysłowo. Jeden nawet z tych ostatnich, p. Barauld, napisał bardzo dobrą historię Mehmeda-Ali. Większa ich liczba mieszkała razem na najwyższym piętrze pewnego domu w Kairze, biedując pospołu i zatapiając się w głębokie nauki ich pryncypała, śp. Saint-Simona, któremu łatwo było trawić życie na marzeniach, bo opływał w dostatki, które jednak ludzkości poświęcił.

Ci więc młodzi ludzie nie tracili nadziei zreorganizowania z czasem świata i wciąż czekali przyjscia wolnej kobiety! I doczekali się nareszcie”, a to się stało w następujący sposób. Naprzeciw ich domku mieszkał pewien bej bogaty, mający liczny harem, a w tym haremie różnokolorowe sułtanki. Te sułtanki przyjętym powszechnie zwyczajem używały wieczorem świeżego powietrza na tarasach domu swojego, właśnie w tym czasie, gdy i saint-simoniści błędzili także po swoich, marząc o wielkich rzeczach! W Kairze ulice tak wąskie, że przy szczytach domów można z jednej na drugą stronę podać rękę sąsiadowi.

Nasi saint-simoniści, choć zajęci tak ważną rzeczą, jaką jest przemienienie postaci świata, rzucali jednakże ukośnym wzrokiem na sąsiadki. Pomалу utworzyły się pomiędzy dwoma obozami telegrafy i nocne pikiety straż odbywały. Jednak Turczynki i Czerkieski obawiając się gniewu beja, ich pana, nie bardzo Ignęły do tej wędki. Ale za to pewna Murzynka, którą saint-simoniści nazwali księżniczką Sennaru, dosyć już pełnoletnia i małpiasta, bardzo sympatyzowała z sąsiadami. Ze ta księżniczka była, jak widać, odważną jak Zenobia, przeskoczyła przez ulicę i tak się jej ten skok podobał, że go długo prawie co wieczór powtarzała. Ale małe nieszczęście spotkało tę istotę nadpowietrzną (czy raczej naduliczną)! Nieszczęście, które tylko ziemskim przytrafia się istotom...!

Bej spostrzegł to i księżniczkę nastraszywszy kurbaszem tudzież workiem z kamieniem u spodu i z jadowitymi gadzinami, dowiedział się o wszystkim. A lubo niewiele już dbał o nią, nie chcąc jednak, aby taka zniewaga uszła bezkarnie psom chrześcijanom, udał się na skargę z księżniczką do konsula, gdzie i apostołowie przywołani zostali.

– Kobieta jest wolną – mówili oni na uwagi, które im konsul czynił – a więc kiedy kobieta jest wolną – ma wolność...

– Ale za pozwoleniem, moi panowie! – przerwał im konsul – właśnie że ta kobieta nie jest wolną, bo ją jej pan za własne swe pieniądze kupił, a teraz domaga się tenże, aby ta kobieta została wolną, to jest abyście panowie wrócili mu pieniądze.

– Zwolna! zwolna...! mości konsulu...! Jak to? Abyśmy kupowali wolną kobietę...! Ale to jest przeciwne naszym zasadom...! Kupić wolną...! Kupić wolną...! – powtarzali z zadziwieniem, a jeden z nich dodał:

– A że to też nam dotychczas nie przyszło do głowy...! Teraz już węgielny kamień naszej nauki jest wynalezionym!

Ale biedacy nie tak łatwo mogli od razu wynaleźć pieniędzy. Jednakże, że jak już nadmieniałem, byli to dobrzy ludzie, udzielono im z różnych stron zasiłków i kupili księżniczkę, którą opuszczając Kair usamowolnili w istocie.

Mówią niektórzy złośliwi, że usamowolnili ją z tego powodu, że już trochę była podstarzała, a wstyd im było wieźć do Europy starowolną kobietę.

Na gawędzie o tym i owym czas nam szedł dosyć skoro i kilka dni upłynęło. Otóż już widać wieże minaretów miasteczka Beni-Suef. Za dawnych czasów na tej górze opodal, gdzie można jeszcze dostrzec nieco ruin, stało miasto zwane Ptolemejadon, oczywiście przez Ptolemeuszów założone. O dzień drogi w bok przez pustynię, po lewej stronie koryta Nilu, a po naszej prawej, znajdziemy jezioro Birkiet-Kheran dzisiaj zwane, a niegdyś sławne Moëris!

Jest to sławne jezioro, nad brzegami którego istniały wspaniałe pałace i labirynty. Teraz ani śladu... jak Sodomy i Gomory. Niedaleko od jeziora Moëris jest piękny, żyzny i dość rozległy oazis, Fajun nazwany, w którym był się schronił Murad-bej z Mamlukami, Kair opuściwszy. Po lewej stronie Nilu w głąb kraju pustynie nazwane Łąką Krowy i Łąką Kota. Beni-Suef jest dość małym i malowniczym miasteczkiem. Widać od zajazdu kawiarnię nad samym brzegiem rzeki, pod rozłożystym drzewem, okrytą ze wszech stron bluszczem.

Gdzieniedzie białe i szare minarety.

Opodal miasta drzew starych dosyć, a w pośrodku drzew tych piękny (ale z daleka tylko) pałac beja, a za nim obszerne koszary.

Jedźmy teraz dalej i dopóki nie spostrzeżem nic ciekawego, gawędźmy o królu i królowej, bo nudną jest rzeczą otwierać gębę nad każdym domem i nad każdym drzewem, co się znajduje na drodze.

Otóż naprzeciw nas płynie statek z banderą trójkolorową. Widać jacyś podróżni francuscy z Górnego Egiptu wracający. Pozdrówmy ich naszą flagą i tak jak na okrętach liniowych dajmy dwa razy ognia, choć nie z armat, to przynajmniej z ręcznej broni.

Oddali nam nasz pokłon chorągwią i wystrzałami i popłynęli dalej. Znać, że jacyś ludzie świadomi morskiej etykiety... Jest to bowiem koniecznością oddać pokłon za pokłon; a raz (niedawno temu) zdarzyło się, że gdy pewien kapitan wojennego statku angielskiego przy brzegach Południowej Ameryki nie odpowiedział na armatnią grzeczność dowódcy korwety francuskiej, ten ostatni, zbliżywszy się do niego, dał dwoma brzegami ognia, podziurawił mu boki i żagle, a nauczywszy moresu popłynął dalej.

Musiałeś uważać, że tu w tych stronach już rzadziej można spotkać podróżnych europejskich. Najwięcej jeszcze p a w i l i o n ó w angielskich. A jednak pięć lub sześć zaledwo spotkamy w całej naszej dwumiesięcznej podróży, gdy zaś z tamtej strony Kairu w pięciu dniach spotkaliśmy piętnastu europejskich podróżnych. Wy tłumaczę ci tego przyczynę, ale aby to uczynić zrozumiałe, musisz pozwolić, abym ci powiedział kazanie lub rozprawę w czterech, w pięciu lub w sześciu częściach.

Jak niegdyś Buffon ukłasyfikował zwierzęta, tak ja dzisiaj, Buffon także, ale w innym rodzaju, będę się starał ukłasyfikować wojażerów; wyjmując oczywiście z tej kategorii książąt panujących, ambasadorów i kurierów gabinetowych, których

rodzaj podróżowania jest zbyt powszechnie znanym, i ograniczając moje uwagi do prywatnych tylko, dam ci poznać:

Rodzaj pierwszy. – P o d r ó ż n y h a n d l o w y (*Voyageur de commerce*). Ten przebiega różne kraje w pewnym i oznaczonym celu. Zatrzymuje się w miastach, czy te są ciekawe, czy nudne – aby tylko handlowe.

Uważa on to tylko, co należy do jego fachu, zresztą czasami, jeśli jest z cywilizowanego narodu i sam cywilizowany, co się w naszym wieku już często napotykać daje, w chwilach wolnych od swych zatrudnień zwraca także uwagę na miejscowe ciekawości i wyjeżdża z jakąkolwiek korzyścią pieniężną i umysłową. Ten rodzaj podróżnych jest podług mnie jeden z rozsądniejszych... Tu, w Górnym Egipcie, nie spotkamy już go wcale, gdyż zwykle dojeżdża tylko do Aleksandrii lub czasami (ale bardzo rzadko) do Kairu, kiedy mu to jest po drodze w handlowej wycieczce do Indii.

Poznaje go się po następujących znakach zewnętrznych: dobrze jada i pije, jest poufałym, zarozumiałym, wesołym; nie zwykł spuszczać z widoku interesu głównego... Dzieli się co do opinii na dwa rodzaje: uboższy jest zagorzałym republikaninem, bogatszy – filipistą.

Rodzaj drugi. – P a n i c z (M i r i f l o r). Ten jest teraz bardzo licznym... Ci, co go składają, włóczą się przez parę lat po świecie, gdyż to jest teraz modnie. Nudzą się strasznie w podróży, nad którą sto razy przedkładają swoje wygodne buduary w stołecznych miastach. Starają się o wszelkie wygodki codziennego życia, o zabawy, kobiety, konie itp.

Okradają ich wszyscy na wszystkie strony. Piszą czasami relacje swych wielkich podróży, gdyż są oni rozmaitych wieków i rozmaitych usposobień. Unoszą się nad pięknnością starożytności, których zwiedzeniem nie chcieli się nawet trudzić w przejeździe, a o których rozprawiają podług zdania sprawy swych ulubionych autorów: Lamartine'a, Dumasa lub też nawet i Frontyna, ich wykwintnego kamerdynera... Oglądają oni ziewając, a opowiadają z entuzjazmem! Ten rodzaj czasami aż tu zawita, gdyż nie brakuje mu na odwadze i lubi nowe i nieznanne wrażenia. Ale najczęściej zostaje w Kairze, jak Hannibal w Kapui.

Rodzaj trzeci. – M a ł p i a r z (l'E p i c i e r). Tego dość znajome pochodzenie... Jego drugim używalnym nazwiskiem jest także Szanso. Najpospolitszym zaś gniazdem Francja, z któ-

rej się na świat rozbiega. Ten rodzaj nic nie czyta, o wszystkim jednak rozprawia, wszystko sądzi, wszystko gromi. Ubolewa ciągle nad niewygodnymi domami zajezdnymi, nad kwaśnym winem, niesmacznymi potrawami i wciąż z tym wyjeżdża, że nie przywykł tak żyć w domu...! Bawi wszędzie dni trzy; lęka się już porządnie Nilu w Niższym Egipcie, a co do Górnego – nigdy on nie zagląda, bo szkoda fatygi, pieniędzy, czasu, a najbardziej strach o skórę. Spieszy on się zawsze z powrotem do domu, aby być interesownym w oczach ciotek, kuzynek itd.

Podróżuje, aby o nim powiedziano: „On podróżował!”

W drodze zwykle z kredką żyje. Targuje się z kelnerami o to, co im powinien dać w nagrodę ich usług wyjeżdżając z hotelu.

Jeśli ma dwadzieścia tysięcy franków na podróż, zapewne dziesięć tysięcy tylko wyda. A pamiątki i upominki dla swych krewnych i przyjaciół kupuje na tandencie u Żydów albo w bazarach starzyzny.

Z tym wszystkim jest on przekonany, że zupełnie naśladowuje rodzaj poprzedni, p a n i c z a, ale się mocno myli.

Rodzaj czwarty. – W y s p i a r z (*l'Anglais*). Ten najoryginalniej podróżuje ze wszystkich! Przyjeżdża zwykle do Aleksandrii, aby zjeść śniadanie na wierzchu kolumny Pompejusza, na którą mu garsony z restauracji ze drzeniem niosą po sztukowanych drabinach na wpół skręple befsztyki. Jedzie do Kairu, aby udawać Araba i zjeść wieczerzę na szczycie piramid. Jedzie do Górnego Egiptu, aby się przespać w grobach królów egipskich. Nie znając się na niebezpieczeństwie, niczego się nie lęka. Dawniej wyrzucał pieniądze... teraz o wszystko się targuje, nikomu nie dowierza, a jednak wydaje dwa razy więcej od innych i wszyscy go kradną. Czyta swoich tylko autorów lub wcale nic nie czyta. Píše zawsze, ale najczęściej (trzeba mu oddać tę sprawiedliwość) pisze tylko dla siebie i dla swoich.

Przybiera szaty wschodnie, w których jak dwie krople wody do Anglika podobny. Chce wszystkiego skosztować: wchodzi na góry, aby z gór złązić; często rysuje, ale częściej jeszcze nudzić się musi. Zresztą, nie żyje jak tylko ze swymi i wszędzie ze sobą małą Brytanię nosi, tak co do jadła, jak i do zwyczajów; a gdzie koczuje, tam rozpościera się nad jego namiotami mgła, która nad Londynem jest zawieszoną. Od pewnego jednak czasu staje się on bardziej towarzyskim i europejskim... i nie unika cudzoziemców. W pożyciu jest pewnym i nikt się nie zawiódł na jego szczerości. Czasem i w tym rodzaju można znaleźć świątłych podróżnych, jak na przykład Wilkusa i innych, ale z powodu swego rozgałęzienia najwięcej w nim pospolitych.

Rodzaj piąty. – A m e r y k a n i n. Podobny wielce do poprzedniego, ale z różnicą, że ten już z pewnością nudzi się na śmierć, podróżując. W podróży z nikim nie mówi i w każdym mieście je kilka obiadów, przesypia się kilka nocy i jedzie dalej, aby tylko objechać ład stały. Jest skąpy i, jednym słowem, mniej dżentelmen od poprzedzającego.

Rodzaj szósty. – U c z o n y. Ten poświęca całe swe życie, aby odkryć i opisać jaką nową roślinę, jakie nieznanne zwierzę lub jaki kamyk; zdjąć plan nowej geograficznej karty; opisać kraj lub wytłumaczyć znaki hieroglificzne z jakiego starożytnego kamienia w sposób wcale nowy i od nikogo nie znany, nawet od tych, co kiedyś te znaki sami wryli. Powtarza on kilkakrotnie też samą podróż, uważając tylko zajmujący go przedmiot. Jest często nauczającym, lecz częściej pedantem i nudnym. Gdy przy pracy ma otwartą głowę, oddaje znakomite przysługi towarzystwu. Znaki zewnętrzne, po których go się poznaje, są następujące: nie czesze się, nosi zatłuszczone szaty i ma zawsze rozsypaną tabakę na koszuli.

PS. – Dodatkiem do tego rodzaju jest a r t y s t a... ten o tyle tylko zasługuje na uwagę, o ile ma prawdziwy i niepodręczny talent... W innych razach jest tylko s m o l i p a l c e m i t r a c i c z a s e m...

Rodzaj siódmy. – T r u b a d u r. Ten podróżuje na konto domu handlowego: „Poezji, Wrażeń i Spółki”.

Znosi trudy, niebezpieczeństwa, choroby, brak pieniędzy w oddalonych krajach itp. – tylko przez przywiązanie do pryncypałów swego domu handlowego. Jego obserwacje, dzieła i nauka, jaką wyciąga z okoliczności swego życia, są stosowne do pojęcia i rozsądku, jakie odebrał od natury. Najczęściej umiera on pod płótem lub przechodzi z tej klasy do następnej.

Czasami też wydaje on także na świat ludzi!

Rodzaj ósmy i ostatni. – *A m a t o r*. Ten jest sławnym z tego, że wydał na świat Kasanowę, Faoblassa, Gilblassa i wielu innych podobnych. Ma on mnóstwo gałęzi i gałązek, z których wyrastają doktorzy z potrzeby, artyści dający koncerty wokalne bardzo drogie, a zawsze zakatarzeni, pożyczalscy, nieoddawalscy i wielcy panowie, ciągnący dochody z damy czerwiennej. Widziano w nim nawet za naszych czasów książąt spokrewnionych z mocarzami Niemieckiej Rzeszy, odgrywających niepospolitą rolę!

Nad tym rodzajem rozpiszę się gdzie indziej.

Ale już zanadto gawędzimy, a wleczem się jak Żydzi na szabas. To nie moja wina! Zamiast cię nudzić bezustannym wymienianiem nazwisk rozmaitych wiosek leżących na obu brzegach Nilu, bawię cię, jak mogę... Jeśli cię bawię tylko...? (Co raczysz mi powiedzieć przy zdarzonej sposobności).

Oho! otóż coś nowego...! Ale nie lękaj się... Już tym razem nie anegdota ani zoologiczna rozprawa.

Przy zachodzącym słońcu widać na skalistej górze, spadającej prostopadle do Nilu, jakieś stare, obszerne domisko. Jest to Der-Mariam, czyli klasztor N.P. Marii.

Ta góra zowie się Giebel-el-Teir, a ten klasztor jest zamieszkałym przez Koftów, których właśnie teraz przez szparę skały możem widzieć jak kotów spuszczających się na dół. Lecą oni nad brzeg rzeki, a zdejmując z siebie odzienie wpław się rzucają. Nie sróż się! Nie bierz za pałasz...! Oni chcą ci tylko powiedzieć, że są chrześcijanami, i prosić o jałmużnę dla utrzymania lampy gorejącej w ich kapliczce i o baksis dla siebie. Dziwny sposób zebrania po wodzie! Patrz, jak są liczni! Jacy miedziani...!

Żyjąc ciągle w odkrytym polu i pod spieklejszym słońcem niż w Kairze, stali się zupełnie co do koloru do Arabów podobnymi. W takim to klasztorze Volney dla nauczania się ich języka dwa lata przesiedział. Słyszysz ich krzyki...? „*Christianos! Christianos...! baxis! Baxis!*”. Nie dopuszczajmy jednak tych chrześcijan do kanzy, gdyż są od nas liczniejsi! Stańmy wszyscy zbrojnie na pomoście, aby im okazać, że przemocą nic nie uproszą. A rzućmy im też parę butelek oliwy dla lampy palącej się w ich kapliczce. Patrz no! stojąc w wodzie, mającej do stu sążni głębokości, odkorkowują butelki zębami... kosztują... krzywią się jak małpy... myśleli, że wódki i... prima-aprilis!

No! teraz odpływajcie sobie, macie już dosyć napoju, zostawcież nas w spokoju! A kysz! bo was pogłaszczęm łożem!

Uważaj, jak ta wyniosła skała pod promieniami zachodzącego słońca jest malowniczą! Kraj już coraz piękniejszy, choć jesteśmy dopiero w Średnim Egipcie.

Chociaż nie słyhać tu miłego dźwięku dzwonu wzywającego na wieczorne pacierze, te szare mury klasztoru chrześcijańskiego, to samo imię Bogarodzicy pociesza serce niejednego wracającego z dzikich krajów wędrowca i wlewa w duszę jego nadzieję, że od chwili będąc pod bliższą Jej opieką, już go Ona do rodzinnej ziemi zawiedzie.

Otóż miasto Mignieh! O nim ci wspominał, gdyż jest więcej znaczącym od małych wiosek i miasteczek, któreśmy od dwóch dni (to jest od Beni-Suef) na naszej drodze spotykali. W okolicach tego miasta możem już napotkać nieco starożytności egipskich. Ale mówiąc między nami, jeśliś nie zagorzały antykwariusz, tylko lubownik pięknych i wspaniałych dzieł człowieka i przyrodzenia, przed ruinami Tentery nic szczególnego nie zobaczysz.

Jednak żebyś nie myślał, żeś leń, to ci będę i tutaj służyć za przewodnika; jeśli więc chcesz wsiąść na koń i o parę mil od Nilu się oddalić, zaprowadzę cię najprzód do miasta Beni-Hassan dziś zwanego. Opodal od tego miasta, w piasku, zobaczymy dość starożytne groby, w których już wielu uczonych grzebało. Są to groby dawnych Egipcjan i nie tak dawnych Mamluków. – Co za dziwna mieszanina!

Ujrysz tam trzy niewielkie, ale wielkiej starożytności statuy. Twierdzą uczeni, że te statuy są z dziewiątego wieku, jeszcze przed Jezusem, to jest kilka wieków przed napadem Persów. Opodal znaleźć można szczątki świątyni Diany i studnie balsamowanymi mumiami kotów napelnione. Egipcjanie bowiem dawali tej bogini kota za towarzysza, tak jak Grecy Minerwie sowę. Może to być z tego powodu, że i kot jest w swoim rodzaju niepospolitym myśliwym! Co zaś do sowy, to się da wytłumaczyć jeszcze łatwiej, jeśli się zastanowimy, że wszyscy uczeni do puszczyków podobni.

Kiedyśmy już w drodze, jedźmy wciąż łądem aż do El-Hemuamu. To miasto nazywało się niegdyś Hermopolis. Uczeni, którzy należeli do wyprawy Bonapartego, opisali je dostatecznie. Mógłbyś je więc dokładnie poznać parę lat na to poświęciwszy, ale ja ci powiem w kilku słowach, że już tam niewiele nawet gruzów. Są jeszcze studnie z mumiami. Są groby nie wiedzieć czyje. Co najciekawszego – to bardzo dobrze zachowane mumie młodych krokodyli.

Ale wracajmy się do czółna, bo tu słońce bardzo piecze. Tam milszy na nas oczekuje widok: nad brzegiem prawym Nilu piękny las palmowy, kilka mil aż ku Radamant się ciągnący. Możem odpocząć w jego chłodzie i zapolować na nie znane u nas ptactwo. Jutro nad rankiem ujrzymy i Radamant. Miasteczko dość piękne, ale zawsze piękne tylko z daleka, tak jak wszystkie miasta na Wschodzie, oprócz Kairu i Damasu. Ale i tu bieda i nędza może cię zabawi, jeśliś nie filantrop; bo tu bieda inna z postaci niż u nas... oryginalniejsza... Ciesz się więc, jeśliś artystą! Będiesz mieć przed sobą wzór jakiego pięknego Łazarza!!!

Nim miniem Radamant, muszę cię uprzedzić, że ten wielki i piękny dom biały opodal rzeki jest fabryką araku, a ten drugi fabryką cukru; oba przez Europejczyków pod protekcją Me-hmeda-Ali założone. Jeśli więc chcesz, o dobry poncz łatwo! Bo cytryn dużo nad brzegami Nilu. Ale tutejsze cytryny zawsze zielone, gorzkie i małe jak włoskie orzechy. – W Delcie są piękniejsze.

Wlczem się coś bardzo w naszej podróży. Ale cóż począć! Wiatr wciąż przeciwny, a majtki muszą wciąż trzymać wiosła w ręku lub ciągnąć statek linami. Kiedy żywioły im pracę utrudniają, trzeba mieć litość i wyrozumienie nad nimi. Lecz jak się będą buntować i wymawiać nam posłuszeństwo, trzeba ich kropić kurbaszem!

Za parę dni, jeżeli Bóg pozwoli, dostaniem się wreszcie do Siut, największego w tych stronach miasta, i tam jaki dzień odpoczniemy.

Tam dopiero Górny Egipt się zaczyna.

Aha! mam ci coś nowego do pokazania! Patrz no! tam na tym białym piasku, co tam leży takiego?

– Szara belka grubego palmowego drzewa!

– Nie zgadłeś!

– Kawał starej łódki arabskiej?

– Ani to!

– Kamień oryginalnego kształtu?

– Mylisz się... ale raczej weź swój sztuciec, wymierz dobrze w koniec lewy tego przedmiotu i daj ognia!

Otóż to mniemane drzewo wyprostowało się do trzeciej części i sunie się ku wodzie... i paf... już i w głębi nurtów rzeki. Cóż to znowu za dziwo...? Przyjacielu...! to krokodyli! Czy nie czujesz po kościach dreszczu na to miłe imię? Ciesz się! zobaczysz ich tu więcej! A im bardziej będziem się w kraj zapuszczać, tym będzie większa ich liczba. Lecz nie obawiaj się!

nic ci nie zrobią! Gdyby cię mogły zająć zniecka ogonem stojącego u brzegu rzeki lub kąpiącego się albo żebyś wypadł z kanzy przypadkiem... to co innego! Poznałbyś się wtedy z ich zębami.

– A czy ty wiesz, że i krokodyl ma serce?

– Wielka rzecz! Wszak i kurczę ma wątróbkę!

– To wcale co innego...! Kiedy mówię, że krokodyl ma serce, to się znaczy, że czuje moralnie, że się kocha, że płacze...! Ty się uśmiechasz...? Tak przynajmniej mówią Arabi!²³

Słuchaj...! Stało się to przy granicy Nubii, koło wysepki File. Widywali mieszkańcy tej wyspy i brzegów Nubii pomiędzy tłumem mniejszych nadzwyczajnego krokodyla, mającego około czterdzieści stóp długości, którego upodobaniem szczególnym było rozciągać się przez dnie całe na słońcu, rozmyślając o niebieskich migdałach lub o subtelnościach filozofii niemieckiej. Był on przy tej manii rozpamiętywać dość sobie dobrym chłopcem, gdyż (jak zaręczają Arabi) pożerał tylko tych, co z powołania musieli być nieostrożnymi, to jest biednych nosiwodów wiejskich, co stojąc po pas w wodzie co rano muszą przychodzić do Nilu, aby napelnić z koziej skóry beczki. Pożerał on także czasem nieświadomych, co w jego ulubionym miejscu sami kąpać się chcieli; bo gdy ich było wielu razem i gdy robili wiele hałasu, odchodził dalej spokojnie... Taka jest bowiem natura krokodyla, że nie lubi zgiełku. Nazywano go pospolicie królem krokodyli. Tak się do niego mieszkańcy przyzwyczaili, że już nań prawie nie zważano, i choć w sąsiedztwie, starano się tylko nie oddalać od suchego lądu, gdyż krokodyle nie oddalają się zwykle z miejsc wilgotnych, co jest wielkim szczęściem, bo gdyby im się zachciało spacerować, dotychczas już by Wielka Brytania straciła połowę swej włączającej się ludności.

Jakem ci już powiedział, ten król krokodyłów był zwykły przelegiwać na ulubionym sobie miejscu, jak wygodniś w obszernym krześle, a nikomu dotychczas nie przyszło na myśl wyrządzić mu jaką psotę.

Dziewczeta wiejskie przychodziły co rano z dzbankami po wodę, zaczerpnięty zręcznie od brzegu i powracały do domu, a w pobliżu krokodyl spoglądał na nie obojętnym okiem, leżąc zaledwie o kilkanaście kroków. Niedługo jednak patrzył nasz krokodyl na wszystkie obojętnym wzrokiem... Jedna, najpiękniejsza z nich, Fatma, córka szejka, wpadła mu w oko i choć była z dala od niego, obraz jej kształtny tkwił ciągle w jego źrenicy.

I zmięczyło się serce jego...! I nie porywał się już więcej, jak jego rówiennicy, na kąpiące się woły, bawoły i na kąpiących się ludzi. Żył tylko niewinnymi rybkami, muszlami... oddychał świeżym powietrzem (tym samym, którym oddychała Fatma!), słowem, zmienił cudownie swą dawną naturę.

Ale czegoż miłość nie dokaże...! O, czule czytelniczki! Ubolewajcie nad losem nieszczęsnego króla krokodyłów...! – Fatma spostrzegła, że oko krokodyla pała nadzwyczajnym blaskiem! Spostrzegła...! i spuściła oczy z ukontentowaniem. (Bo któraż dziewczica nie pozna od razu miłości przez nią wzbudzonej...? i któraż z niej nie jest rada?)

Ale to uczucie było niczym w porównaniu burzy miotającej sercem krokodyla! „Bo kiedy pożar rozplamieni rzecz trudną do rozpalenia, wtedy trwa bez końca!” (Byron).

Mnie jednemu są tylko znajome jego tajemne uczucia...! I czemuż nie miałbym ich znać gruntownie...? – Balzak, Soulié i tylu innych czyta jak w otwartej księdze w sercu ludzi! Czemuż nie miałbym czytać w sercu krokodyla...?

O! wierzajcie mi...! potężna była walka w jego wnętrznościach! Rwał sobie włosy! (Przepraszam...! Chciałem powiedzieć zgrzytał stoma zębami) pomyślawszy o niepodobieństwie posiadania w stanie żywym lubej mu istoty. Miłość zanadto oczyściła wrodzone skłonności,

²³ To podanie gminne rozśmieszy niejednego z nas... tak jak podanie o wilkołakach rozśmieszyłoby Araba...! Dziwna rzecz, że ludzie mniej są skorzy do zastanowienia się niż do śmiechu...! Musi to być skutkiem ich organizmu (p. a.).

aby mógł pomyśleć o zadowoleniu swej żądy chwilowym brutalnym posiadaniem i śmiercią kochanki. Czuł on dobrze, że się rozstawał z swoją dziką naturą, ale był jeszcze w stanie Roberta, gdy go Aliksa odwodzi od rad Bertrama... Ubolewał on także nad swą fizyczną szpetnością!

„Czemuż – mawiał do siebie jak Quasimodo – czemuż, gdy moje uczucia są teraz uczuciami anioła, czemuż zawsze szatańską mam postać?”

„Czemuż...? – mawiał on także do siebie – czemuż przeznaczenie związało mnie na wieki, kiedy pojmuję teraz lepiej od ogółu powab i rozkosze innego życia...!”

Mijały dni i miesiące, a król krokodyłów usychał z miłości. Przyćmiły się jego źrenice, wysuszały się od westchnień płuca, zapadły policzki, a Fatma, zwodnicza niewiasta, zaprzestała nawet chodzić po wodę i połączyła się małżeńskim związkiem z młodym Abdallą. Król krokodyłów zawsze miał nadzieję! Choć już od dawna nie był zoczył swej lubej, czekał cierpliwie; czekał przez tygodnie i przez miesiące.

Nareszcie zoczył Fatmę... szła ona z dzbankiem po wodę, trzymając na ręku kilkumiesięcznego chłopczyka, którego tuliła do łona. Wstrząsło się jak serce wulkanu łono króla krokodyłów...! Rzucił na Fatmę bolesne wejrzenie i pogrążył się w nurty rzeki, aby ukryć łzę miłosnej rozpacz, którą by ona widziała z taką rozkoszą...! (Bo kobieta nic nie ma w sobie natury krokodyla...!)

Fatma wzruszyła ramionami i rzekła do siebie:

„Cóż on chciał? ten oryginał...! Jakże te krokodyle zarozumiałe...!”

I wiele upłynęło miesięcy, a nie widziano króla krokodyłów... On jednak, skryty w głębi rzeki, widział wszystko swym przezroczywym okiem. Śledził starannie najmniejsze ruchy młodego Tafika, którego, prawdziwy syn Nilu i pustyni, prędko się rozwijał i rozrastał. Miał on już lat cztery a – prawdziwe arabskie dziecko – przewracał z rówiennikami koziołki w spiekłym piasku nad Nilem. Ale niedługo przewracał koziołki, nieboraczek...! Gdyż razu pewnego... Było to w dzień święta Nilu i zaślubin młodszej siostry Fatmy. Mężczyźni siedzieli niezbyt daleko od brzegu, paląc fajki i grając w szachy... kobiety kąpały się po społu z Aminą, nowonarzeczoną, stosownie do krajowego zwyczaju, dzieci igrały w piasku nad brzegiem rzeki, opodal matek.

I Luidzi (nazwisko krokodyla) znajdował się także, ukryty w pobliżu... niewidzialny, ale wszystkich widzący...

Zobaczył on po raz pierwszy od dawnego czasu Fatmę, a zobaczył ją w wodzie, tysiąc razy piękniejszą, niż o niej kiedy marzył...

I stracił pamięć Luidzi wspaniałych uczuć, które miłość rozkrzewiła w jego sercu, a sama zemsta nim tylko w tej chwili władała.

Przyczołgał się cichaczem do brzegu i wyrachowawszy swój zapęd, uderzył ogonem w grono bawiących się chłopców, a zanurzywszy ich w wodę, wziął tylko delikatnie w zęby Tafika i znikł z nim w głębi. Krzyknęły przeraźliwie wszystkie matki razem...! Ale wnet się uspokoiły, gdyż wszystkie bębny popodnosiły się z płytkiej wody, zaledwo trochę się zachłyszawszy. Jednego tylko brakowało...! I jedna tylko matka bolesnym krzykiem napełniała powietrze i rozdzierała sobie do krwi łono...

– Tafik! Tafik! – wołała, ale nadaremnie...

– Arabi będący opodal zbliżyli się do kobiet, aby zapytać o przyczynę tych wrzasków... Gdy już byli nad brzegiem, rzucili okiem na środek rzeki, a tam okazało im się dziwne, okropne i pamiętne widowisko...! Krokodyl, wypłynąwszy na środek rzeki, wyniósł się majestatycznie nad wodę do połowy swego ciała i po trzykroć pokazał, jakby tryumfując, młodego Tafika, którego nie uszkodzonego trzymał w zębach. I po trzykroć Fatma zawołała błagającym głosem, wznosząc do góry ramiona:

– Luidzi! Luidzi! Luidzi...!

Ale krokodyl nie dał się zmięknąć tym oczywistym dowodem miłości, przekonywającym go, że jego imię nie było obcym jego kochance... Pograżył się w otchłań i popłynął dalej, unosząc Tafika w inne strony, ku Morzu Śródziemnemu, ku zachodowi... Zemsta ustąpiła w jego sercu miejsca szlachetniejszym uczuciom... Poniósł on swą zdobycz w strony, gdzie spokojnie będzie się mógł zajmować jej szczęściem i moralnym wykształceniem.

Co mówisz o tej historii? A wiesz, że ja jej nie wyssał z palca, ale że ją prawdziwie słyszałem od Arabów mniej więcej w tych słowach. A co do skrytych uczuć krokodyla, te mi są zarówno znane, co uczucia rozsądnych ludzi romansopisarzom naszego wieku. Co zaś do jego filantropijnych zamiarów, te nie powinny już zdziwić takiego, co czytał lub widział pewny terażniejszy dramat Balzaka, w którym stróżem i opiekuńczym aniołem pewnego szlachetnego młodzieńca jest zatwardziały złoczyńca, piętnowany na ramieniu i zbiegły z galer Tulonu.

Co teraz, to już dosyć tej gawędy, bo choć wprawdzie oprócz Siut, które zobaczymy jutro, nic nie ma zbyt ciekawego po drodze, trzeba tu jednak mieć zawsze otwarte oczy i broń przy boku, bo ta część kraju aż do Keneh jest przez złych bardzo ludzi zamieszkała. Tutaj najczęściej buntów i najczęściej popełnionych zbrodni...

Widzisz te dwie wioski w oddaleniu? Jedna z nich zowie się Kassar i jest zamieszkała przez samych tylko rozbójników. Temu parę miesięcy pewien Anglik został przy tym brzegu napadnięty. Bronił się mężnie przez długi czas. Na dwunastu ludziach stracił już pięciu i byłby sam padł ofiarą, gdyby nie przytomność umysłu jego drogmana Araba, który od samego początku walki, uciekwszy wpław, udał się do tej drugiej wioski (której mieszkańcy są w ustawicznych bitwach z mieszkańcami Kassar), i okazując firman swego pana szejkowi nie był spieszenie przywiódł obrońców.

Od tego miejsca podwójmy strażę i baczność. – W nocy zawsze dwóch z nas i połowa ekwipażu majątków wartować będzie. A kto w nocy dojrzy jakby makową główkę i mały szelst na wodzie usłyszy, niech mierzy dobrze i pali śmiało, bo to złodziej! lub zbójca...!

Jak dwóch lub trzech da nurka, to inni się wrócą. A broń Boże dać im się ucześcić brzegu kanzy! Majtków uzbrojmy w siekiery, a sami pałaszami łby i łapy ucinać będziemy... bo inaczej rozplatają nam brzuchy!

Jesteśmy w podłe Montfalut. Opodal Nilu widać dość lichą mięscinę... W niej nasi żeglarze chleb piec będą na dalszą drogę, możemy się tu więc dzień jaki zatrzymać i pojechać zwiedzić głąb kraju, o parę mil od brzegu ciekawe studnie z mumiami, sammum zwane.

Już tu w tych stronach coraz okolica piękniejsza i kraj górzystszy... Znać, że się zbliżamy do Górnego Egiptu. Zewsząd widać malownicze z granitu brudnoczerwonej skały, kąpiące swe złotoróżowe boki w niebieskich wodach Nilu. Często te skały są bardzo dziwnego kształtu! Wczoraj na przykład, gdyśmy dojeżdżali do Montfalut, o parę mil od tego miejsca, Olivier, nasz poczciwy stary woltyżer, ścisnął nas za rękę i wskazując na jedną skałę, leżącą po naszej lewej stronie, rzekł z wzruszeniem: – Patrz pani patrz...! Czy go poznajesz...? – W istocie... Poznaliśmy...! Pomiędzy wielkimi skałami była jedna posunięta najbardziej ku brzegowi Nilu. Składała się ona z dwóch części. Z masistej, czworograniastej skały w kształcie postumentu, na której wznosiła się druga, kilkakrotnie mniejsza od pierwszej i nieregularną formą od pierwszej odłączona... Przy zachodzącym słońcu podobna ona była jak dwie krople wody do olbrzymiego posągu Napoleona w małym swym kapeluszu, z zwieszoną głową i założonymi na piersiach rękoma... Jednak było to dzieło natury! lub złudzenie łamiących się promieni; niemałe tu także miejsce zajmowała wyobraźnia. Pewna rzecz jednak, że podobieństwo było w tej chwili tak zupełne, iż łzy zakręciły się w oczach Oliviera!

A nas wszystkich przeszedł dreszcz elektryczny na ten twór żywiołów tak dziwaczny, przedstawiający nam niespodzianie obraz wielkiego człowieka pośród tych odludnych i dzikich przestrzeni.

O pół dnia od Montfalut leży miasto Siut, stolica Górnego Egiptu... w takiej odległości od Nilu jak Kair. Trzeba dojeżdżać do tego miasta przez łąki i przez dość piękne ogrody. Meczetów w nim dużo... a wiele z nich pięknych i oryginalnych... Bazary obszerne, lud ciemniejszy co do duszy i co do skóry. Nie widać tu Greków ani Koftów, ani Europejczyków, ani Żydów nawet! Same tylko prawdziwe arabskie twarze i mnóstwo Murzynów...

Gdzieniedzie białe lica, ale nie europejskiego, lecz mamluckiego kroju.

Jednak można powiedzieć, że piękność tej stolicy Górnego Egiptu niczym jest w porównaniu z pięknnością Kairu. Kair jest jedynym miastem na świecie. Jeden tylko Damas, Bagdad i Stambuł mogą się z nim równać.

Wdrapmy się na tę wysoką skalistą górę za miastem, gdyż oprócz zajmującego widoku, zaledwo zmierzonego okiem koryta Nilu, zobaczymy tam także piękne pomniki Turków, chrześcijan i starożytnych Egipcjan. Nie dochodząc do szczytu góry znajdziem bogate groby mamluckich bejów. Tych królików z skromnymi tytułami! Dalej znajdziem groby wspanialsze jeszcze, ale już uszkodzone przez załamujące się skały, groby Egipcjan... Jeszcze w nich widać gdzieniedzie piękne malowidła, a na nich w wielu miejscach wyryty znak krzyża świętego, gdyż w początkach chrześcijaństwa, w wiekach prześladowania, tutaj w Tebaidach i w innych miastach Górnego Egiptu wielu się anachoretów ukrywało... Siut, Abutis, Teutyra i Tebaidy były miejsca, gdzie ich było najwięcej. Święty Paweł i święty Antoni w Teutyrze najdłużej przebywali.

Już noc zapadła...! Niewieleśmy dzisiaj upłynęli... najwięcej mil trzy za Siut...

Zatrzymajmyż się przez noc przy tym brzegu, gdzie się wznosi Abutis.

Przykażmy czujność naszym majtkom, bo nam w Siut mówiono, że przed dwoma dniami wyszedł pułk cały z tego miasta dla uskromienia dwóch zbuntowanych wiosek koło miasta Girdze za Abuczuczą.

Zostawmy straż zbrojną na naszej kanzy i jednego z naszych służących, a sami idźmy do miasteczka na rynek zjeść wieczerzę i pogawędzić z Arabami. Jeszcze potknem się na naszej drodze o jaką strzaskaną kolumnę lub o jaki blok granitu... Lecz te zabytki są najdawniej z rzymskich czasów (jak mogę wnosić z tego, co widzimy przy świetle księżyca). Zasiądźmy w kole tych Arabów na tym rynku, przy kawiarni kief odprawiających w milczeniu, i jak oni zapalmy nasze fajki... Siedzi ich tu wielu wkoło, używając dobrodziejstwa pięknej i orzeźwiającej nocy po dziennym upale. Opodal piękny, ślepy starzec, z długą siwą brodą, gra na smętnych i rażących bolesnymi tony skrzypcach i przyśpiewuje monotonnym pieniem.

Będzie on także opowiadał gazele lub może i historię kalifów... My słuchajmy go lub nie, ale przypatrujmy się melancholicznemu wyrazowi jego twarzy, tak zgodnemu z jego śpiewem i z muzyką.

Skończył trubadur... a teraz będzie wieczerza, szejek nas do niej zaprasza; zasiadajmyż w ciśniejszym kole z skrzyżowanymi nogami i uważajmy, w jaki sposób tutejsza wieczerza odbywać się będzie. Otóż przynoszą najprzód trzcinianą matę i kładą w pośrodku biesiadników.

Potem stawiają dwa kosze chleba. Jeden chleb okrągły i płaski jak racuszki lub małe pierniki, drugi ciemniejszy, ale jeszcze płaściejszy i zupełnie w kształcie żydowskiej macy. Pierwszy jest z mąki pszennej, drugi z żytniej. Ten chleb układają wkoło, to jest najprzód robią ściśle koło z chleba większego, potem drugie we środku z mniejszego. Teraz przynoszą mnóstwo talerzyków z potrawami, których jest tyle, ilu biesiadników. Te talerzyki ustawiają wkoło, a każdy musi jeść tę potrawę, którą przed nim zastawia.

We środku tego potrójnego, czarnoksięskiego koła stoi okropna misa z pilafem (ryżem z baraniną).

Teraz każdy zajadać będzie to, co znalazł na talerzu przed sobą, a jeśli mu zostanie lub jeśli taka będzie grzeczność lub wola jego, rzuci jakiś ochłap sąsiadowi, który także udzieli mu tymże samym sposobem swoich przysmaków. Jak się skończy uczta, przyniosą dzbany z wodą, wszyscy nadstawią ręce, a ta woda po wszystkich się rozleje.

Nie ma tu, jak widzisz, wiele ozdób na tym stole, a jednak daleko ta uczta oryginalniejszą od naszych wykwintnych biesiad. Lecz już noc późna! Wracajmy na naszą kanwę, bo co do Arabów, ci tu aż do świtu przesiedzą.

No! teraz ci, co spali do północy, na wartę! a ci, co dotychczas czuwali, mogą spocząć do czwartej z rana, a o czwartej w drogę! My zaś idźmy spać. Mahmud-Dongala dowódcą nocnej straży!

– Co tam znowu? Czemu nas budzisz, Mahmudzie?

– Miłościwy panie! nie podobna tu, w tym miejscu, na stanowisku dotrzymać, majtki się duszą i spać nie mogą.

– Z powodu?

– Ot tak, jakby morowa zaraza wiała na nas!

– Głupiś! idź spać...! W Górnym Egipcie morowa zaraza raz w sto lat.

– Cóż to, Olivier?

– Panie! taki smród na dworze, że musimy odpłynąć dalej!

– Ale z czegoż?

– Jeśli się nie mylę, musi tu być gdzieś opodal zdechłe ścierwo lub może nawet ludzkie trupy...!

– Wysłać potrzeba ludzi w pobliskie miejsca i sprawdzić domysły.

Olivier wraca i raport zdaje:

– Opodal od nas, od strony wiatru, stoi wielka kanwa, co wiezie pielgrzymów powracających przez Koser z Mekki. Na tej kanwie wiozą sześć trupów ludzkich, których pozawczoraj pod Abu-czuczą Arabcy, napadłszy i zrabowawszy kanwę, zarżnęli. Ci z podróżnych, co wpław uszli, stracili rzeczy, ale wróciwszy po odejściu zbójców do łódki, uratowali życie. Ci zaś, co nie uciekali i chcieli się bronić, zostali wyrżnięci. Pomiędzy tymi ostatnimi znajduje się dwóch ubogich Włochów, co dopiero w Keneh wsiedli do kanwy. Porąbano ich w kawałki i w jeden worek wsypano. Pozostali pielgrzymi wiozą zwłoki tych zarżniętych do Siut, gdzie mieszkają ich rodziny.

– Winszuję przyjemnej podróży tym, co na tej kanwie w 36 stopni gorąca z trupami podróżować muszą.

– Kazałem im oddalić się od nas – mówi dalej Olivier – ale nie chcą...!

– Nie chcą...! Dalej do korda i poobcinać im powrozy... A jeśli się będą opierać, szesnastu zamiast sześciu do Siut zawiozą.

I w pięć minut czółno, wypełniające smrodem powietrze, było od nas daleko.

– Idźmy już spać teraz, bo noc późna...

– Panie! – rzecze Olivier wchodząc raz jeszcze – rejs i Arabcy trzęsą się jak w febrze i proszą pana, abyś wracał do Kairu.

– Powiedz im, że pierwszy, co stchórzy i w niebezpieczeństwie uciekać będzie, w łeb kulą jak podły pies dostanie. Niech wydobędą okute w żelazo drągi i niech straż podwoją. Oświadczyć im, że jutro nocować będziemy w Abu-czucza. Ty zaś pilnuj, żeby nie uciekali teraz!

Wiatr mocny i przeciwny. Nilu koryto coraz to szersze i okryte wznioślejszymi bałwanami. Nie mogę zbyt prędko na nim postępować. Arabcy muszą bezustannie pracować wiosłami.

Już wieczorna pora... Słońce ma się ku zachodowi... W oddaleniu po naszej prawej stronie, w pustym i odludnym miejscu bieleje grób świętego Abu-czucza (Ojca-kołtuna).

Majtkowie nasi smutni, gdyż ta cała okolica nader jest niebezpieczną! – A, łotry...! teraz wyście nie hardzi! Nie buntujecie się...! nie odgrażacie...! nie zmuszacie nas, abyśmy was zabatogowali...! „Ram-tam-tam...” nie śpiewacie...! Kiedy trwoga, to do Boga...! Płynąć dalej, hultaje! a ty, rejs, uważaj na wielki żagiel, bo już dziś więcej niż trzy razy zaledwośmy się nie potopili. Olivier! miej na niego zawsze oko i trzymaj w pogotowiu flintę.

Jesteśmy wprawdzie w pogotowiu topienia się już od dni kilku. Mamy wszystko, co kosztowniejsze, na sobie i broń przy boku.

Patrz...! patrz...! jakie pomiędzy tymi skałami wielkie bałwany... Tak jakby na morzu... Mają słuszość Arabi Nil morzem nazywać. Jedyna to bowiem rzeka w starym świecie...

– Olivier! baczość na tę wieżę z piasku leącą zygzakiem od strony gór... Każ rejsowi puścić sznur od głównego żagla... przedziej...! Nie chce... mówisz...? Nie trać czasu...! przedziej...! pal mu w łeb! to puści... – Olivier strzelił, a rejs padł jak długi i sznur puścił... ale padł tylko ze strachu, gdyż kula świsnęła mu nad turbanem... Ale czas już był, aby puścić sznur od żagla, gdyż wieża z wiatru i piasku wpadła na naszą małą kanzę, zakreśliła ją w kółko, wszyscyśmy padli plackiem i pochwytali za deski. Kanża do połowy napełniła się wodą, a w minutę wszystko wróciło do dawnej spokojności.

– Allah! Allah-Kerim...! – zawołały Arabi.

– Tak, gałgany...! Bóg jest wszechmocny...! Ale gdyby Frank nie był strzelił do waszego osła kapitana, tobyśmy wszyscy dali nurka.

Rejs powstał z ziemi, gdyż Olivier mierzył do niego o kilka cali wyżej nad głowę, wiedząc, że i to będzie dostatecznym, aby dopiąć celu.

Rejs pada nam do nóg i prosi o przebaczenie.

– Bądź posłusznym, kiedyś głupi...! bo drugi raz poznasz się naprawdę z ołowiem.

Już noc...! Trzeba przybić do tego brzegu, przywiązać kanzę i tu przenocować, bo Arabi cały dzień jak wielbłądy pracowały... – Teraz pół ekwipażu niech się kładzie spać, ale z pałkami i z siekierami przy boku. Ty, Mahmudzie, z karabinem siadaj od tyłu przy sterze... miej przy sobie trzech ludzi; jeden niech odbywa wartę, a dwóch niech śpi z kolei... Ty, Olivier, od lewego brzegu kanży; z tobą trzech ludzi; dwóch niech śpi, jeden niech czuwa. My od prawego... Dwóch tylko z nami... Jeden niech stanie także od szpicy, chociaż trudno, aby nas stamtąd podeszli. Teraz oczy natężone, kurki odwiedzione... I nie spać!

Dwunasta! To już noc wprawdzie przepędzona na Nilu, ale dziś nie wesele!

Kto pierwszy zobaczy co ruszającego się w cieniu lub szeleszczącego po wodzie, niech strzela na alarm z pistoletu... – Szczęściem, że wiatr ucichł, noc ładna, a księżyc srebrzy tak pięknie uspokojoną w gniewie rzekę. Jest to godzina, o której przechadzają się diwy.

Ja tymczasem będę ci opowiadał anegdoty... Bo spodziewam się, że ci się spać nie chce, a choćby się i chciało, to trudno...! Na cóż żeś się, bracie, wybierał ze mną do Górnego Egiptu?

Jutro albo pojutrze będziem płynąć obok dość pięknego miasta, Keneh zwanego, mającego koło osiemnaście tysięcy ludności. W tym mieście od lat dwóch znajduje się dziesięć tysięcy sylfid publicznych... Muszę ci opowiedzieć, jak one tam spadły z nieba.

Parę lat temu, gdy Mehmed-Ali zimował w Kairze, pewien bogobojny i zamożny hadži (to jest pielgrzym z Mekki) przyszedł jednego razu do niego na czele deputacji, złożonej z samych mużulmanów przykładowych, i przedstawił baszy przyzwoitymi wyrazy, że naród wiernych uprasza go o zapobieżenie bezprawiom i zgorszeniom, których były od pewnego czasu przyczyną nieprawe córki Mahometa z rodu fellów, zanadto rozmnożone w Kairze.

– Mój stary! – rzekł na to Mehmed-Ali – a cóż ty chcesz, abym ja z nimi zrobił? Juścić wrzucić ich do Nilu (jak to dawniej bywało) już dziś nie mogę! – Ale, efendi! można je wysłać do jakiego miasta w Górny Egipt, a nie będą przynajmniej przyczyną zgorszenia dla miasta kalifów!

– A wiesz ty, mój stary – odrzekł wicekról – że te istoty, którymi wy pogardzacie, czynią mi niezły dochód? Teraz ciężkie czasy! Nie wiem więc, czy mam...

– Efendi! – odrzekł hadzi. – Od kilku lat źle urodzaje; Nil albo zanadto, albo za mało wylewa; choroby na bydło i na ludzi; znać, że cięży nad nami palec boski...! Wypędź, miłościwy panie, te bezwstydnice, a Mahomet przebłaga Allacha, a naród twój będzie szczęśliwym! Co zaś do podatku, którego ci one płaciły, my zobowiązujemy się nieść ci go co rok w ofierze!

– Kiedy tak, to co innego... Hej! Bogos-bej! Żeby mi w przeciągu tygodnia pozbiierać wszystkie kanże znajdujące się na Nilu i wywieźć do Kenen i do Esneh wszystkie te panie...! Co zaś do mieszkańców Kairu, zarejestrować w księdze podatkowej na ich imię nową daninę, równą czynszowi, który one opłacały.

I stało się podług słowa jego... Ale cóż z tego wynikło...? Na wakujące miejsca znalazły się tak w Kairze, jak i w okolicach nowe pretendenci... Te napisały petycję do wicekróla prosząc o przywilej. A wicekról udzielił im ten przywilej, z warunkiem pewnej rocznej opłaty; gdyż podług niego n o w e z tymi, co już były w y w i e z i o n e, nie miały żadnej styczności. I wkrótce Kair znowu obfitował w świeże kwiatki, gdy dawne więdły w Esneh i w Keneh... A hadzi i muzułmanie, choć się chcieli od podatku uwolnić, widząc, jakiego im wypłatano figła, muszą go do dziś dnia opłacać... Ale za to przejeżdżający przez Keneh...

– Cóż to...? ktoś strzelił... To Mahmud!

– Panie! kilku ludzi zbliża się w cieniu ku nam brzegiem rzeki, psów udając... Czołgają się oni na rękach i na jednym kolanie, trzymając jedną nogę w górę na kształt ogona...

– To złodzieje...! złodzieje...! Do broni...! a ty, Hassan, na łódź po kotwicę, potem zaś do wiosła i wszersch.

Hassan-trefniś wyskoczył żwawo z kanży i przebywszy w bród wodę zaczął wyciągać kotwiczkę. Ale wnet kilku ludzi prawie nagich, z nożami przypasanymi na prawym ramieniu i gotowych do rzucenia się w pław, opadło biednego Hassana i zaczęło go dusić... Biedny Hassan kwiczał żałośnie pod nimi jak zając, którego charty do ziemi gniętą. Piękny to był widok przy świetle księżyca dla patrzącego na dzikie twarze złodziejskie, na blade oblicza ludzi znajdujących się na statku i na przezroczyście las palmowy, czerniący się na niebie w kształcie chińskich cieni nad bielejącymi falami spokojnego Nilu.

– Olivier! pal w tę kupę, co dusi Hassana, a ty, Hassanie! Hassanie! zostaw kotwicę i umykaj do czołna.

Złodziejstwo rozstąpiło się trochę pod gradem loftek, którymi ich skropił Olivier, Hassan, mocny i zręczny, wyrwał się z ich rąk, zostawując kotwicę, i w trzech skokach był na kanży. Odcięto pałaszami powrozy, a za danym znakiem dwadzieścia wiosła uderzyło razem w wodę, a kanża odsunęła się szybko od brzegu. Kilku Arabów rzuciło się w pław za nami i tylko widać było na siwej powierzchni Nilu ich straszne miedziane głowy.

– Niech Mahmud nabija karabiny, a zostawi Frankom honor sprzątnięcia tych miedzianych główek. Olivier! mierz dobrze...! Jak dwóch, trzech da nurka, to innym się odechce nas ścigać... A dopóki nie będą na kanży, nie masz niebezpieczeństwa; jeśli więc nie stracim przytomności, nie dopuścimy żadnego. Gdyby ich stu było... to co innego!

Wiatr pomyślny zaczyna nadymać nasze żagle, a zorza rumieni widokres... Dzięki Bogu...! Minęło jeszcze jedno niebezpieczeństwo... Śpijcie spokojnie, moi towarzysze, ja teraz czuwać będę... Bo ja lubię spoglądać na wschodzącą zorzę. Jakże w tych okolicach zachwycający widok nieba i natury!

A im podróżny głębiej się zapuszcza w te kraje, tym go piękniejszy czeka widok... Jedna godzina wschodu słońca i godzina zachodu już by powetowały dostatecznie upał, trudy i niebezpieczeństwa.

Złoto, szafiry, szmaragdy, rubiny, róże i perły – niczym są w porównaniu owych świeżych farb, w które ubarwiony horyzont podczas zorzy rannej lub wieczornej. Wtedy tylko można

pojąć utwory imaginacji wschodniej, poetyczne wschodnie powieści, historie zaczarowanej lampy i brylantowych drzew i pałaców. Wszystko to daje się wyczytać w tym czarującym okręgu widoków otaczającym. Może też to tak miłe wrażenie, którego doznajemy, jest spowodowane niebezpieczeństwem, z któregośmy uszli niedawno...? Gdy człowiek stał u progów śmierci, miłsza mu zaraz ziemia i więcej znajduje piękności w naturze!

Już słońce od godziny na niebie... Wstawajcie, towarzysze! ja teraz spocznę przez chwilę.

A nie zapominajmy, że to i dzień dzisiejszy może się nam dać we znaki. Jesteśmy właśnie około zbuntowanych wiosek. Zwińmy więc naszą narodową banderę, pozamykajmy okienka, załóżmy pomost sakwami z mąką, z węglami i z sucharami i udajmy kupców tureckich. Połowa majtków na spód... Inni niech się pokładą na pomoście... My wszyscy do jamy... Niech sądzą z daleka, że jakie Arabcy ze zbożem płyną, a może spokojnie nas przepuszczą.

Słychać już z dala wystrzały... Błyszczą na górze namioty wojska Mehmeda-Ali. Arabcy z wiosek, uzbrojeni w długie beduińskie strzelby, kręcą się ponad rzeką. Właśnie jesteśmy od strony ich obozu... Pakują rannych na czółno. Gdzieś przez lunetę dostrzec można pozostawiane na placu trupy.

W oddaleniu dym, huk i czasami błyska ogień na panewkach. Znać, że się jeszcze ucierają. Arabcy znad rzeki patrzą na naszą kanwę, której żagle wiatr opiekuńczy nadyma. Rejs sam siedzi u steru, a jeden tylko majtek trzyma sznur od żagla... inni ukryci.

Drzwiczki od naszej izdebki zarzucone workami... My patrzymy przez szczeliny okienka... Wzięto nas za kupców zbożowych...! Uszliśmy...! Bo Bóg z nami!

Zostawiliśmy, płynąc całą noc dzisiejszą z pomyślnym wiatrem, po naszej prawej stronie miasto Girdeh i za nim, w głębi kraju, zapadłe miasto Abydos, w którym się rozpoznać już nie można; i Samhud, gdzie generał Desaix wygrał sławną bitwę nad Murad-bejem, i spostrzegamy teraz w niezbyt wielkim oddaleniu minarety meczetów miasta Keneh. Jak piękna wkoło zieloność...! Kraj coraz powabniejszy; skały granitowe koloru fioletowego; ze wszech stron gęste, naturalne klomby, w których oryginalne liście drzewa donk (rodzaj kokosu) mieszając się z liśćmi drzew palmowych, figowych i bananowych nadają malowniczą i odrębną od poprzednich cechę obrazowi!

Nil, szeroki po wylewie, pozwala podpłynąć aż pod samo miasto Keneh, gdy zaś podczas suszy potrzeba płynąć dalej korytem i przybić do wznioślejszego brzegu, o ćwierć mili od miasta będącego. Miasto dosyć piękne i wesołe. Jest w nim dosyć mocny garnizon wojska i armia sylfid. Ale opodal, po drugiej stronie Nilu, jak widać te góry i drzewa, coś znajdziemy ciekawszego od tutejszego miasta. Zostawmy tu naszą kanwę albo raczej dajmy rozkaz Mahmudowi, aby płynął prosto do Luksoru, a sami przebadźmy Nil łódką i wsiadłszy na koń w wiosce po tamtym brzegu będącej jedźmy zwiedzić starożytną Teutyre, o godzinę jazdy pomiędzy górami leżącą. Przenocujemy w świątyni, a jutro staniam przed wieczorem u jednej ze stu bajecznych bram Tebów po dość trudnym pochodzie przez góry. Koniki arabskie hasają żwawo pod nami; milej na nich siedzieć niż w ciemnej kanży, w której mieszkamy już od dni piętnastu.

Odtąd przestanę już być twoim przewodnikiem. Podziwiał i pojmuj, jeśliś w stanie! Powiem ci tylko, że te gruzy, na których się wznoszą drugie gruzy nowszego, opuszczonego już także miasta, są Dendyrą (Teutiris)! Te dwie piękne bramy są zabytkiem Egipcjan. Widzisz to po hieroglifach znajdujących się na nich.

Ta mała świątynia musi być tą samą, którą Strabon Tymphonium nazywa.

Ta wielka, tak wspaniała, jest tą, w której był sławny Zodiak, przez uczonych francuskich do Paryża przeniesiony. Ta świątynia wznosiła się już za Egipcjan; Grecy i Rzymianie prze-

znaczyli ją później swej bogini Hathor (Wenerze). Pomiedzy tymi dwudziestu czterema olbrzymimi kolumnami, których kapitele przedstawiają poczwórne kobiece głowy, znajdziesz nazwiska Tyberiusza, Kaliguli, Klaudiusza, Nerona.

Tam dalej kolosalne rzeźby przedstawiają Kleopatę i jej syna Cezariona.

Wszystkie te szczątki tak oddalonej starożytności wprawiają w podziwienie do opisanie trudne i które pojmuje ten tylko, co na nie patrzył... Na nic ci się więc już nie przydam!

Uważaj! Gdzieniegdzie na murach widać jeszcze znak krzyża świętego. Tu święty Paweł, a później święty Antoni się przechowywali. Iluż ludzi! Ile pokoleń! Ileż różnych uczuć, wyznań i wyobrażeń przeszło pod tymi sklepieniami... Tamci przeszli, a one wznoszą się zawsze spokojnie... I one jednak kiedyś runą!

Słońce piecze... spod turbanu pot się po czole leje, znać, że się człowiek zbliża ku równikowi. Jeszcze trochę odwagi, a z wierzchołka tej góry zoczym już czarowną dolinę, po której dłużej płądrować będziemy. Ujrzym Luksor i Karnak, i Gurnah, i Teby, obeliski, kolosy i sfinksy-skały, a w skałach arcydzieła...! Groby królów egipskich i Nil kręcący się jak wstążka za powiewem wiatru, i coraz piękniejszą zieloność, i miejsce, w którym z Luksoru i Karnaku Charon w swym czólnie przewoził na drugi brzeg umarłych.

Tu zastanowim się dni piętnaście. Będziem mieszkać zawsze na naszym statku, gdyż tu tylko same olbrzymie ruiny i jaskółcze lepianki. Rankiem i wieczorem będziem odbywać nasze wycieczki i znajdziem zawsze coś nowego do podziwiania.

Otóż przed nami i ta łąka, na której były niegdyś miasta, i te miasta, które niegdyś były tylko pałacami, świątyniami i pomnikami. Wystawmy sobie, że ta przestrzeń tak rozległa była kiedyś tylko jedną całością i że widzim teraz Teby, tak jak za parę tysięcy lat przechodzień jaki zwiedzać będzie Paryż, gdy z jednej strony Sekwany zostaną tylko szczątki z Tuileriów, brama Saint-Denis, Magdalena, pałac Inwalidów etc., a z drugiej Panteon i wieże Notre-Dame.

Nim wyjdziem z gór skalistych, przed Gurnah będących, spostrzeżem kilkanaście niewielkich otworów w skałach... Wydają się jak jamy na pierwsze wejrzenie. Te groty, niedawno poodkrywane, wiodą do najpiękniejszych grobów. Porfir, marmur, granit, malowidła i wyłancania najstarożytniejsze, a których farby, przed wpływem powietrza strzeżone, po tylu latach jak najświeższymi się zdają – wszystko tam znajdziem!

Są to groby faraonów... W nich prawdziwy starożytny Egipt i jego historia...! Takich grobów już znaleziono kilkanaście. W każdym można przez miesiąc odkrywać nowe i zajmujące piękności. Kambyzes wszystkie te groby pootwierał i co było kosztowniejszego, pozabierał. Później znowu kamieniami przyłożone zostały, a w naszych czasach staraniem Belzoniego i innych uczonych wiele z nich znowu odkryto.

Wychodząc z gór, opodal mniej ciekawych ruin Gurnahu widzisz Ramseion u stóp twoich; Ramseion jest nazwanym od Sezostrysa Wielkiego (Ramzesa), którego był pałacem. Inni go nazywają także grobem króla Osmandiasza. W tym pałacu – którego pierwsza część (ta, w której widzisz najwznioślejsze kolumny) była przeznaczoną na ołtarz dla domowych bogów, a ta druga, z mniejszymi kolumnami, na mieszkanie książąt – tam w końcu, gdzie się mur zniza, była biblioteka Sezostrysa, a nad tymi drzwiami do niej prowadzącymi napis złotymi literami:

LEKARSTWO DLA DUSZY

Cywilizowanym! i bardzo cywilizowanym był naród, którego w naukach szukał ulgi nie-szczęściom tego życia. Jak smutno widzieć teraz na jego miejscu same gruzy i na wpół nagich dzikich mieszkańców...!

Przed tą świątynią albo raczej pałacem jest piękna brama z wyniosłymi kolumnami, a w przestrzeni pomiędzy tą bramą a świątynią oko spostrzega rzecz najbardziej z tych wszystkich zadziwiająca. Z jednej bryły zielonkowatego granitu leży kolos na wpół zakopany w ziemi. Jest on tylko do popiersia, ma kilkadziesiąt stóp długości. W uchu jego człowiek może leżeć wygodnie, a w dziurki od nosa zmieściłoby się na jeden niuch pół korca hiszpańskiej tabaki... Jest to kolos Sezostrysa, którego także uczeni (Boże, przyświecaj ich zdaniu!) kolosem Memnona i nawet kolosem Osmandiasza nazywają... Czyjkolwiek, jest on tworem zadziwiającym; i ani w Chinach, ani w Indiach, ani nigdzie w znajomym i nieznanym świecie podobny kolos nie istnieje... Za to gardłem bym ręczył...! Lecz moim zdaniem, nie mógł on stać na tym miejscu, jak sądzą niektórzy uczeni; gdyż nie podobna, aby Egipcjanie, cywilizowany i biegły i w architekturze naród, mieli tak mało gustu (jak ci uczeni, co tak sądzą), aby olbrzymi kolos stawiać w podług dość niskiego pałacu lub świątyni, którego bez żadnej proporcji wydawałby się jak niedźwiedź przy kanarce klatce.

Podobniejszą jest rzeczą, że ten kolos, wznoszący się na jakim obszernym placu miasta, w późniejszych wiekach obalony i potłuczony, a nawet pozbawiony swych niższych części, został tu, w to miejsce, jak do jakiego składu ruin przyciągnięty.

Opodal na zielonej łące siedzi król z królową! – Bez żartów...! dwie piękne kolosalne statuy, Tamah i Hamah, siedzą kamieniem na kamiennych stołkach starożytnego kształtu; postument, na którym mają oparte nogi, jest wysokości dwóch ludzi. Te statuy są popękane w niektórych miejscach, a to jeszcze od trzęsienia ziemi na lat dwadzieścia siedem przed narodzeniem Jezusa Chrystusa. Jedna z nich jest bez wątpienia tą samą statuą Memnona, która, gdy jeszcze była w całości, przy wschodzie słońca wydawała głośny dźwięk, czyli raczej głos na kształt arfy eolskiej. – Czymżeż są nasze pomysły i nasze tuzinkowe miasta, i nasze karciane gmachy przy tych zdumiewających dziełach starożytności...?

Mówią uczeni, że ta statua została wystawiona na 1680 lat przed narodzeniem Jezusa Chrystusa, za Amenofisa-Memnona, faraona osiemnastej dynastii.

Dalej, po prawej stronie, przeszedłszy koło studni z mumiami (gdzie przechodzień, jeśli chce się wśliznąć jak kuna, znajdzie pięknie zachowane ciała), wznosi się na pagórku zbiór gruzów, nazwany Medynet-Abut, czyli Teby, chociaż to wszystko także, co się tu znajduje po obu stronach Nilu, należy do tego sławnego miasta, Tebami zwanego, które starożytni mianowali „Tebami o stu bramach”! W greckim języku wyraz na oznaczenie bramy i pałacu był prawie tym samym; zaszła pomyłka w tłumaczeniu jego i stąd urosła ta bajka „o stu bramach”, gdy raczej to się mogło stosować do liczby wielkich królewskich lub publicznych pałaców. Gdyż na umieszczenie w proporcjonalnej odległości stu bram nie ma miejsca na przestrzeni, którą całe Teby zajmowały.

Tu znajdziemy pomieszane budowle z egipskich, greckich i rzymskich czasów. Dzieła Ramzesa, Amona, Ptolemeuszów, Adriana i Antonina.

Te piękne dwie bramy, które prowadziły widać do tej części miasta; ten pałac kobiet królów egipskich, jeden z najpiękniejszych w Tebaidach, w którym jest przepyszna sala tronu, otoczona podwójnym rzędem olbrzymich kolumn; te rzeźby hieroglificzne na ścianach we-

wewnętrznych i zewnętrznych pałacu, przedstawiające bitwy morskie, polowanie na lwy, stopy rąk, języków etc. pojmany w bitwach więźniów; te wjazdy tryumfalne królów – to jest cała historia starożytnych Egipcjan...! Tu trzeba tylko patrzeć, uwielbiać i puścić cugle swej wyobraźni, gdyż aby wiedzieć wszystko z pewnością, nie dość jest być Champollionem...!

Udawać, że się wie wszystko... to co innego...! To w naszych czasach każdy Francuz potrafi. I nie dziwiłbym się wcale, żeby za lat kilkadziesiąt drukowano książki tylko samymi hieroglifami. Ale gdyby kiedy zmartwychwstali starożytni Egipcjanie, zapewne by dla nich właśnie te hieroglify stały się niezrozumiałymi.

Teraz przeżyjemy przez Nil w łódce Charona i stanąwszy na przeciwnym brzegu, coraz bardziej zdziwieni, pozdrówmy cuda coraz to niesłychańszel To Luksor...! Luksor...! Miasto Sezostrysów, Aleksandrów, Ptolemeuszów! A dziś miasto opuszczone, wśród zwalisk którego gnieździ się dzicz arabska, do jego wspaniałych kolumn przylepiając swoje jaskółcze gniazda.

Ten pałac lub raczej ta świątynia (gdyż nie zgadzają się w tym uczeni) jest dziełem Meneptaha, syna Sezostrysa Wielkiego. Saboon i Ptolemeusz Philopator przyozdobili go także... Brama, od strony wschodniej do niego prowadząca, nosi cechę wielkiej starożytności... Stojący przed nią jeden jeszcze piękny obelisk (brat rodzony tego, co się teraz wznosi naprzeciw Izby Deputowanych w Paryżu) czeka, dopóki go jaki inny naród ze starego gruntu znowu nie wykorzeni, aby się przystroić w pawie pióra...!

W tym całym pięknym gmachu jedna jest tylko rzecz dotychczas źle lub wcale nie wytłumaczona... A tą rzeczą jest dysharmonia proporcji pomiędzy tymi czternastoma olbrzymimi kolumnami, których kapitele rozłożyte jak wachlarze, a tymi innymi tuż za nimi (ku stronie rzeki), co przy wielkich tak biednie się wydają. Niech, co chcą, mówią uczeni, ale my twierdzimy, że naród mający tyle dobrego smaku w swych wszystkich dziełach nie mógł stawiać pałacu, którego by pierwszą salę podierały karły, a drugą olbrzymy, szczególnie kiedy ten całkowicie był na widok zewnętrzny wystawionym. Nie byłoby w tym jedności, a tym samym piękności, gdyż w znakomitych budowlach jedność największą ozdobę stanowi. Prędzej uwierzylibyśmy, że te mniejsze kolumny, odrębnego wcale kształtu, były zasłonięte ścianami i zdobiły wnętrza pałacu królewskiego, gdy zaś obręb, wielkimi otoczony, przeznaczony był na świątynię lub też był innym przyległym pałacem. Przysionkiem także być nie mogły, gdyż ich za wiele i są zbyt piękne. A któż słyszał o przedpokojach sto razy wspanialszych od salonów? Zresztą, zostawmy to zagadnienie uczonym, a sami, nie troszcząc się, c o i j a k, rzecz okazałą uwielbiamy!

Teraz jeszcze jedno dziwo. O pół godziny pieszej drogi od Luksoru, w głąb się kraju zapuszczając, wznosi się i leży kilkaset olbrzymich kolumn... i kilka bram wspaniałych, i sfinksy, i napisy, i hieroglify, i plac z kolumn (w pośrodku którego stały niegdyś trzy statuy królów), i malowidła oryginalne, i pozlota na tych kolumnach, i obeliski...!

Jest to Karnak.-! Dawniej od pałacu Luksoru do pałacu Karnaku prowadziła obszerna ulica, wysadzona marmurowymi sfinksami. Teraz gdzieniegdzie ich tylko ślady... Karnak jest tak wspaniałym, tak zachwycającym dziełem, że nic mu w piękności nie wyrównywa na świecie... oprócz ruin Palmiry i pałaców indyjskich, pięknych *nec plus ultra!* ale w innym rodzaju.

Na ścianach pałacu rzeźby przedstawiające bitwy Ramzesa z Etiopczykami, wzięcie do niewoli Judeha Malek (żydowskiego króla) i wiele innych historycznych przedmiotów.

Ale na to wszystko patrz raczej swymi własnymi oczyma, bo nie ma dokładnego obrazu ani pędzlem, ani piórem skreślonego, który by oddał tę wielkość.

Opuśćmy te zachwycające miejsca, w których można by bawić przez całe lata... Jedźmy dalej... jeszcze bowiem nie skończona moja misja... Muszę ci cały Egipt pokazać.

Tutaj kraj spokojniejszy, ludzie lepszej natury! Coraz słońce bardziej gorejące, ludzie czarniejsi, ale za to kraj powabniejszy. Krokodyłów mnóstwo... Orły, wielkości ukraińskich baranów, z gór przylatują i zasiadają nad korytem Nilu... Pelikany pływają stadami. Hieny, szakale wyją nocną porą... W górach są i tygrysy!

Otóż miasto Esneh! Tu odwiedzim świątynię z greckich czasów, najlepiej może ze wszystkich innych dochoowaną i piękną Safię...! Może ci się zdaje, że tu mowa o jakiej marmurowej, starożytnej Greczynce...? Wcale nie! Jest to królowa baletu arabskiego... Wschodnia Taglioni, młodsza i piękniejsza... Najślawniejsza kobieta w Egipcie po Kleopatrze...! O niej samej i o jej przygodach można by cały tom napisać... Ani wyrównać może jej piękności Wenus Medycejska...

Nie będę ci jej opisywał, bo warto, żebyś sam pojechał ją zobaczyć... a spiesz się, żeby się tymczasem nie zestarzała.

O dzień drogi od Esneh jest starożytne miasto Edfu. Świątynie starożytne, tak egipskie, jak greckie, bożków Hara-Hata, Hathor i Haraut-Tho (Apollina, Wenery i Kupidyna). Największe z nich kapitele, w kształcie palmowych liści, bardzo dobrze są zachowane.

Lud tu coraz czarniejszy; skały z ciemniejszego granitu. Znać, że się zapuszczamy w głąb Afryki.

Ale spieszmy do Assuan, ostatniego punktu niegdyś przez Rzymian zajmowanego, a którego już jest krańcem Egiptu.

Bez wątpienia jednym z najbardziej malowniczych widoków, na które oko natrafia w Egipcie, jest cały ten obręb, w którym się znajduje pierwsza katarakta. W ogólności w Egipcie podróżny ma zawsze przed sobą wspaniałe widokres, gdyż niebo zawsze ciemnobłękitne, Nil różowy i nieścignięty okiem, a nadbrzeża jego uwieńczone w majową zieloność. Ale w Dolnym Egipcie ten widok jest nieco jednostajnym, choć i ta jednostajność nie jest bez melancholicznego powabu i tak się wbija mocno w pamięć człowieka, iż na zawsze mu jest przytomną. Ale w tym tu miejscu daleko żywsza panorama. Trzeba sobie wyobrazić obszerną przestrzeń wody, rozlaną w kształcie jeziora. Po lewej stronie – jakby mur skalisty koloru fioletowego. Na tych fioletowych skałach odcieniają się na błękitnie nieba malownicze, ciemne ruiny miasta Syene (Assuan), potężnego za Rzymian, w którym było wiele wspaniałych gmachów, i ta pamiętna studnia, w której 21 czerwca w południe słońce się przeglądało. Po prawej stronie tego obszaru łany złocistego piasku, skały szarawe i wioski arabskie. Przez całą przestrzeń wodną spiczaste skały gdzieniegdzie porozsypywane, o które Nil się z szumem rozbija, co wyglądają jak bukiety róż białych. Za nami z tyłu spora Wyspa Słoniowa (Elephantine) zamyka krajobraz ciemną zielonością. A tuż koło nas, we środku tego rzeczno-jeziora, maleńka wysepka File, okryta bukietami z drzew najrzadszych, pomiędzy którymi bieleją kolumny marmurowe sześciu świątyń lekkiej architektury korynckiej.

Ten widok o której bądź godzinie jest zachwycającym... ale aby sprawił prawdziwe wrażenie, trzeba go widzieć wieczorem lub rano.

Tu jest granica Egiptu. Dalej zaczyna się Nubia Niższa, która także należy do Mehmeda-Ali, jak i Sennar, i Kordufan. Tu zatrzymamy nasze kroki, chociaż mógłbym cię zaprowadzić jeszcze dalej i pokazać świątynie Dabod, Kalabsze, wspaniałe Ipsambuł (w Nubii pod drugą kataraktą), gdzie byś zobaczył świątynie i posągi wykute w granitowej górze i z nią złączone. Tam byś zobaczył ludzi jeszcze czarniejszych, mówiących odmiennym językiem, noszących długie włosy, które smarują tłustością i niczym nie nakrywają, i ludzi całych nagich, z małymi różnofarbnymi fartuszkami, z lancami, z łukami i z puklerzami. Żeglując w dalsze jeszcze

kraje byłbyś nieraz w niebezpieczeństwie i musiałbyś się wykupywać chciwym rządcom; zobaczyłbyś dziwne zwyczaje, co do wolności kobiet szczególnie.

Usłyszałbyś tam o prawie igły i o kwartale wolności kobiet.

Dalej jeszcze znalazłbyś się w kraju Dongolów, gdzie już nie oliwkowi, ale zupełnie czarni ludzie. Ten kraj dawniej był wolnym i patriarchalnym zwyczajem wodzów obierał. Dzisiaj jest pod żelaznym berłem Mehmeda-Ali. Twarze mieszkańców tego kraju, chociaż czarne, nie są spłaszczone jak niewolniczego plemienia amerykańskich Murzynów. Włosy ich nie są kędzierzawe, ale zupełnie takie jak nasze. Noszą brody i wąsy, są bardzo pojętni, obyczajów skromnych i przywoitych i mają swoje historyczne podania.

Dalej... już bym ci nie służył za przewodnika... Ale i tak trzeba się wrócić, bo moja obietnica dokonana.

Jeszcze przelecim wstecz z biegiem Nilu aż do Keneh; zwiedzimy po prawej stronie kopalnie granitu, które dostarczały materiałów na wybudowanie tych wszystkich gmachów. Znajdziem tam wyryte nazwiska tych królów, którzy z nich czerpali. Nazwiska, które sam przeczytasz (bo ja się nie podejmuję tłumaczyć hieroglifów), a potem pozdrowim Safię, pozdrowim Luksor, pozdrowim Keneh i wsiadłszy na grzbiet wielbłądów udamy się z karawaną, jadącą do Mekki przez Koser, nad brzeg Morza Czerwonego, tej między przedzielającej Azję od Afryki.

Pustynia...! Pustynia...! I przez dni cztery tylko niebo i pustynia! I ranna rosa, co nas ludzi, co nam pokazuje i drzewa, i kwiaty, i jeziora, i zaczarowane pałace, a potem znika... I znowu tylko pustynia...! Piękny i wspaniały to widok, ale dla jednego i samotnego człowieka smutny i straszny!

W nocy rozkładają szerokie ognie, około których spoczywają wielbłądy, a Arabcy opowiadają powieści. Księżyc smętną białością oświeca ten olbrzymi obszar i tę garstkę żyjących istot. Z daleka słychać wycie szakali lub dziki ryk tygrysa.

Wśród dnia upał zabijający. Szczęście nasze, żeśmy już trochę przywykli do afrykańskiego słońca i że mamy na głowie białe, gęste zawoje.

Karawana nasza liczna... brzęczą wdzięcznie dzwonki jej wielbłądów i dromaderów... ale bądźmy na ostrożności...! gdyż ci wszyscy, z którymi jedziemy, są zagorzałymi mahometanami.

Raczej nie gadajmy do siebie europejskim językiem, odmawiajmy, tak jak oni, pięć razy na dzień modlitwy, a że nasze twarze spalone słońcem i nosim dobrze strój wschodni, wezmą nas może za mieszkańców Syrii.

Bo choć mamy firman wicekróla w kieszeni, mogliśmy się nabawić biedy, bo tu pustynia!

Nasze dromadery i wielbłądy kołyszą nas jednostajnie, jak morskie fale poważny okręt lub niańka dziecko w kolebce. Ponad głowami naszymi przelatują olbrzymie orły; spod naszych nóg wymykają się lotne gazy.

To są tych stron mieszkańcy...! Gdzeniegdzie mignie się biały bernus Beduina lub jego wyniosła dzida... Ale i my też mamy Beduinów z sobą, a myśmy h a d ż i (pielgrzymi). Będą mieć dla nas poszanowanie.

Jakie szczęście, że wody dostateczny zapas! Bez niej okropna śmierć w pustyni...! bo pragnienie nieustanne!

Otóż już widać niebieskie Morze Czerwone i smutne miasto Koser. Stąd odpływają do Mekki, do Indiów Wschodnich, do Arabii, do Suez. W tutejszym porcie mnóstwo arabskich statków, płaskich jak tratwy, a które przepływają jednak przez tę burzliwą przestrzeń. Wiele z nich przecież już nigdy do portu nie wraca. A Arabcy, ufne w przeznaczenie, nie uwierzą, że się topią; chyba wtedy, gdy są już na dnie.

Tędy także od niezbyt dawnego czasu przewozi statek parowy angielski z Suez do Bombaj się udających. Dziwne to zjawisko! statek parowy na morzu Mojżeszów i faraonów...!

Gdzież teraz poniesiem nasze kroki...? Udamyż się w pielgrzymkę do Mekki...? Ale zapowiadam, że się trzeba wprzódę ochrzcić na Turka...!Może się wrócim przez Suez do zielonego Kairu...?

Może też wylądowawszy koło Et-Tur, na przeciwnym brzegu temu, na którym Suez leży, wdrapywać się zechcesz na górę Horeb, na szczycie której Bóg po raz pierwszy okazał się Mojżeszowi, i na górę Synaj, gdzie mu dał tablice z dziesięciorgiem przykazań...? Może byś później, kołyszając się pomału na pustyni, zwiedził wspaniałe ruiny Petra (Kraak), stolicy dawnej Arabii skalistej, i podumał nad Morzem Martwym, nad zapadłą Sodomą i Gomorą, i pozdrowił Hebron, siedzibę patriarchy Jakuba, i szczerą łzę uronił nad Grobem Zbawiciela, i na Górze Oliwnej rozpamiętywał swoje życie, i porównał nikczemność twego smutku i cierpienia z smutkiem i cierpieniami Syna Bożego...? Może byś wstrząsnął z rozognionym okiem ciężkim mieczem Godfreda i radował się wraz z pasterzami w wesołym Betlejem, i zdumiał się w górach skalistych nad arcydziełami mądrego Salomona, i przeleciał przez lśniące się z dala Miasto Słońca (Damas), i rzucił okiem na świat spod cedrów Libanu, i stanął z zadumieniem przed wspaniałymi ruinami Baalbeku, i zasiadł u gościnnego stołu Starca z gór, Ibraima i Solimana, i zabłąkał się w pięknych cytrynowych gajach nad brzegiem morskim około Bejrutu, i skrzyżował twój oręż z hardym i zbójceckim Syryjczykiem, i po błękitnym Morzu Śródziemnym popłynął do Cypru, wyspy Wenery, do Rodu, wyspy rycerzy i sławnego kolosu, do uśmiechającej się Smyrny, w pomarańczowej girlandzie na skroniach, której niebo tak różowe a tak powabne dziewice...? Może byś jeszcze pozdrowił Sambuł, starożytne Bizancjum...? przesunął się złoconym kaikiem pomiędzy fantastycznymi pałacami Bosforu? I wracając wstecz,

przepląnął koło Troi i udał się do kraju Hellenów...? Może byś zwiedził Ateny, Spartę, Korynt, Termopile i Maraton...? Może byś stanął przy pustej i skalistej Itace, ojczyźnie Telemaka, co równie jak ty włóczył się po świecie...? Życzę szczęśliwej podróży...! Ja cię tu już opuścić muszę...! Kłopotcz się sam teraz, mój przyjacielu...! Mógłbym ci wprawdzie służyć za przewodnika w tych wszystkich krajach... ale... kiedy indziej...!

*Pisano w Koser nad brzegiem Morza Czerwonego,
1840 roku.*

PIERWOTNE SŁÓW POJĘCIE



I

Czas był wietrzny, morze niemiłego wejrzenia, a gęste obłoki przesuwwały się po niebie jak gdyby smutne myśli przyrody. Jesienna to wprawdzie była pora, a jesień w Palestynie – to czterdziestodniowy biblijny potop. Jednak na taką jesień było jeszcze za wcześnie, bo dopiero w końcu października zwykła się zaczynać, przywodząc za sobą szereg tyfusów i zgniłych gorączek, w braku lekarzy bez nazwisk obchodzić się muszących. Już piątą dobę spędzaliśmy na morzu, a nasza mizerna łódka nie mogła coś w żaden sposób dopłynąć do Jaffy; przecież z Damietty (skąd płynęliśmy) do Jaffy zaledwie mil czterdzieści – a statek parowy przebiegłby w jednej nocy ten przedział. Ale statek parowy nie wstępuje do Damietty: „a kto się w drogę wybiera – niech nie przebiera”.

Przykroć to wprawdzie trawić dnie i noce beczynnie, w ciągłej kontemplacji, pod gołym i wietrznym niebem, w czólnie na trzydzieści stóp długim a na sześć szerokim, aż po sam brzeg workami z ryżem egipskim naładowanym, a nadto zawalonym trzydziestoma podróżnymi różnej płci i wieku. Czterech majtków i pilota, trając innych po głowach, bezustannie to tam, to sam się uwija na znak władzy najwyższej, od rudła do żaglu, od żaglu do rudła, a najczęściej do miski z ogniem, na której garnki z warzywem.

Znając dostatecznie sposób podróżowania muzułmanów wymówiłem sobie jeszcze w Damietcie kąć osobny w czólnie i za takowy jak za przewóz dziesięciu osób zapłaciłem (po dwa złote od osoby): nie przez arystokrację... bynajmniej...! lecz przez inną, już wiekową chorobę... przez nieugaszone pragnienie komfortu. Urządzono mi więc mały k o m f o r t na workach z ryżem, a to kładąc na środku większego czólna małe czółenko, na którym w razie niebezpieczeństwa dziesięć najwięcej osób mogłoby się wyratować, a w stanie pokoju, wyciągnąwszy się dobrze na moich manatkach, mogłem je zmierzyć moją osobą prawie do drugiego brzegu nogami dotykając. Turków by się jednak dziesięciu, a Chińczyków trzydziestu na nim zmieściło, bo pierwsi trzymają nogi pod sobą, a drudzy siedzą w piramidę. Bardzo więc słusznie, że Europejcykowi za dziesięciu płacić kazano.

Leżałem więc już piątą dobę pośród dwudziestu sześciu osób uboższego stanu, obcych mi narodem, wyobrażeniami, mową i zwyczajem. W dzień uprzyjemniały nam podróż widziane choć w oddaleniu przedmioty lub bliższe spotkanie z rybakami, zajętymi ryb połowem; ale w nocy, gdy morze rozpoczynało z Eolem swoje kabalarskie szeptki, smutno było na duszy, gdyż szum fali, jęk dwóch biednych kobiet podróżujących z nami i wtór gardlanych tonów swarzących się między sobą niezgrabnych żeglarzy o rozwijanie lub zwijanie żagla nie były wcale harmonią uspokajającą duszę.

Od dwóch nocy, jak gdyby na przekór, wiatr był zawsze gwałtownym poczynając od trzeciej godziny po zachodzie aż do świtu. Jeśli gdzie i kiedy, to w nocy i na morzu strach ma największe oczy. Wyznać potrzeba, że niejedną wcale rzeczą dla Boga i dla ludzi mieć to lub owo wyznanie i przekonanie, gdyż wyznanie mahometańskie na przykład, przypuszczające fatalność, odejmuje zarazem pobudki do kształcenia się... nawet w marynarce – a zaręczam, że dla mnie w tej chwili to wcale nie było jedno.

Tak myślałem sobie przewidując jedną noc jeszcze, którą będzie trzeba przepędzić w tej orzeszej łupinie, w której jądrze leżałem jak mizerny robak w kłębek zwinięty. Pilota (jeśli tak zwać godzi tego, co tak żegluje, jako ślepy chodzi – trzymając się płota) miał jeden tylko główny system nawigacyjny, a tym było: „trzymać się zawsze brzegu... i Alkoranu” – to jest

o parę mil w oddaleniu ziemi płynąć. „Ale skały i mielizny, na które nas wiatr może wpędzić w nocy?” pytałem go, jak mogłem... „Ale brak wody i jadła, gdyby nas wiatr wszerek odegnał?” odpowiadał mi na to; a ja mu pokazywałem worki z ryżem, miskę z ogniem i wodę morską, lecz on, nie smakując widać ani w wodzie morskiej, ani w moich facecjach, ruszał głową k’ sobie i od siebie i klaskał jak kastanietami językiem o podniebienie²⁴. Powiedziałem też sobie, jak i drudzy, arabskie: isz-Allah (jak Bóg zrządzi) i pograżyłem się naprzód w kaptur bernusu, a potem w dumania nad celem mojej podróży... życia podróży... sfer niebieskich podróży... czasu podróży.

Widziałem zamknięszy oczy wielkie historyczne postacie, co jak przyjazne duchy poległych Osjanowskich rycerzy przechadzają się wśród ruin po tych pustkowiach... Widziałem (wzrok w siebie obróciwszy) duszę moją, uśmiechającą się i wyciągającą ramiona do jednych, a odpychającą drugie z oburzeniem... Lecz myśl moja, spojrzawszy raz w siebie, nie bawiła się długo nimi... Opuszczając sławnych Aleksandrów, Cezarów, Saladynów, Ryszardów, wstępowała pod strzechę własnego serca, w najtajniejsze jego alkowy i tam zaglądała w wiadro, na dnie którego, jak złote rybki lub kłęby padalców, pływają... wspomnienia. Niekoniecznie w osobistych wspomnieniach przeglądała się ona... raczej w przypominaniu sobie myśli, które były pierwszym pokarmem duszy, dopóki jej nie przyzwyczajono do innej strawy.

Tylem doznał przed niedawnymi czasy trudności w dostaniu się z Egiptu do Ziemi Świętej, co Żydzi pod złym faraonem... Jednak dopływałem już przecie do jej najbliższego portu; postanowiłem też spędzić pierwsze chwile jako pielgrzym – prosty, pobożny pielgrzym, nie zaś jako badacz starożytności „z mędrca szkiełkiem” jakim. Milej mi było daleko czuć się jeszcze pierwotnym chrześcijaninem, niż żebym się już poczuł głębokim... studniarzem... Volneyem.

Moi towarzysze odprawiali także podróż w milczeniu, bo na Wschodzie ludzie mało rozmawiają... nie dlatego przecie, aby więcej przez ten czas myśleli, lecz myśl ich błądzi w chaosie jak myśl dziecięcia, zatrzymując się tylko czasem na znajomych materialnych przedmiotach lub też szukając sama przed sobą schronienia na widok jakiego widma ich gorączkowej fantazji...! fantazji dziecinnej także, lecz silniejszej, gdyż wylętej w silniej zbudowanej czaszce. Lecz na Wschodzie mówią więcej ci tylko, co prawdziwie mają co powiedzieć – co nie tak źle zrozumianym, szczerze mówiąc, na barbarzyńców. Milczeliśmy więc wszyscy, bo widać, że takiego pomiędzy nami nie było. Jednak łechtany do żywego europejską szczebiolliwością, a przy tym i użyteczną europejską chęcią nauczania się, byłbym pewnie rozmawiał z towarzyszami podróży, gdybym się był nie s z a n o w a ł; na Wschodzie bowiem s z a n o w a ć s i ę – jest to nie marnować słów, kiedy się nie ma nic pożytecznego dla drugich do powiedzenia. Nie na każdym miejscu zachowują wprawdzie ten obyczaj, lecz w publicznych takowy jest ściśle postrzegany; zresztą, jak wszystkie dzieci, mają oni przy tej pozornej powadze wielki pochop do śmieszków z lada czego (ich kobiety szczególnie): i tak Europejczyk prędko mówiący i chodzący, i żwawo obracający się jest tak dla nich śmiesznym, że gdyby nie obawa – jeśli potrafi swoim obejściem i postawą wzbudzić takową – porwałiby go na ręce i bawiliby się nim jak piłką studenci. Chcący niechcący, trzeba się więc szanować i nie poufalić się z nimi (z Turkami n.b.), boby wnet tego nadużyli.

Moi towarzysze byli, o ile sądzić mogłem z ubioru, wieśniakami kupczącymi zbożem, a może też i mieszczaninami jakiego egipskiego lub syryjskiego miasteczka; kilku z nich różniło się od drugich długim i czarnym strojem (egipski²⁵ zaś z niebieskiego płótna) i podobnego koloru turbanami. Na noc wdziewali płaszcze w czarne i białe pasy, podobne do śmiertelnych koszul żydowskich. Wnosiłem z tego, że musieli być mieszkańcami kraju, do którego

²⁴ Wschodni znak niezadowolenia (p. a.).

²⁵ Metamprykora (p. a.).

dażył. Wszyscy byli bezbronni, ja tylko jeden miałem broń palną i sieczną przy podróżnym arabskim stroju. Jedyny to też mój środek ratunku w razie rozbicia się lub tonięcia – gdyż obcy przybysz w podobnej chwili tylko z pistoletem w rękę mógłby się dostać lub pozostać w czółenku, w którym dziesięć na dwadzieścia sześć osób wyratować by się mogło. Ludzie wschodni nie są jeszcze ludzcy, a choć mają czystsze uczucie przywiązania do rodziny... i nieco przywiązania dla osób do mahometańskiej kasty należących, nie znają jednak współczucia dla ludzkości, w czym także do dzieci podobni. Jednak mówię tu tylko o Turkach, Grekach i Persach, a przyznać trzeba, że pod tym względem wielu się już i na Zachodzie stoczyło. Co do tych pierwszych, nie dziw, że nie znają dokładnie tego współczucia, bo zaledwo wcieliły się w nich dotąd niektóre z zasad rozlanych niegdyś na Wschodzie przez Platona – a Platon współczucia dopiero dla zwierząt nauczał. Ten traf dość dziwny, kojarzący jednego wędrowca od stron, gdzie przyświecają borealne zorze, a na głowach ludzkich złoty włos powiewa, z wieloma wędrowcami, których wypiastrzał gorący piasek i skwarne słońce innego bieguna, przywiódł mi na myśl Europę, wolny od wpływu której mogłem się już i na nią samą bezstronnie zapatrywać; i przypomnienie miejscowe zalecało mnie także z wiatrem od brzegu, a obok Europy stało drugie widmo. Owa Maria Egipcjanka, wielka wszetecznicą, wpływająca przed laty z wieńcem na skroniach... z fałszywym rumieńcem na licach – i płynąca z nieokrzesanym żołdactwem z Damietty do Palestyny, gdzie katarakta czystych i pięknych niegdyś oczów roztajała łez potokiem pod promieniami wielkiej myśli... i ustąpiła przed światłem prawdy.

Gdym tak dumiał i widział niestworzone rzeczy, słońce utopiło się w morzu, a brzask czerwony na niebie był dla nas niemiłym zwiastunem burzliwej nocy. Podniosłem się z mego legowiska i postąpiłem kilka kroków naprzód, chcąc zaczerpnąć nieco wody z wielkiego dzbana i odwilżyć przed nocą spiekłe usta moje. Wokoło dzbana siedziało kilku podróżnych z wybladłymi twarzami, widać, że jeszcze niezwyčajnych do trudów morskiej podróży i do ruchu czółna na falach. Gdym wracał na miejsce, spostrzegłem z zadziwieniem moje czółenko do połowy zajęte przez jakiegoś draba, któren się w nie bez biletu wkwaterował.

„Tego tylko brakło” – pomyślałem sobie, a że się to dotąd jeszcze nie wydarzyło, zmarszczyłem brwi i – z ludzkością człowieka z Zachodu – położyłem dłoń mimowolnie na rękojeści od pistoletu, mając już wołać na pilotę, aby mu przypomnieć warunki kontraktu. Lecz uprzedził myśl moją gość, com go zastał u siebie, odzywając się jak najspokojniej w te dwa wyrazy tylko: „Jestem chrześcijaninem... trochę słaby”. Wszyscy mieli na nas dwóch zwrócone oczy, a cichość panowała dokoła, bo nawet morze umilkło, spoglądając na czerniące się w oddaleniu góry Judei. W tej uroczystej chwili pojąłem dopiero pierwotną potęgę słowa. Nic nie mówiąc wskazałem mu oczyma na moje wysłane miejsce i dopóty z niego nie spuścił wzroku, dopokąd na nim wygodnie się nie położył. Wszedłem wtedy do czółna i usadowiwszy się, jak mogłem najlepiej, w drugiej połowie mego k o m f o r t u, bez wyrzeczenia słowa podałem memu nowemu towarzyszu dynianą flachę z rodyjskim winem, wiszącą u mego pasa. Ściemniło się już dokoła, widziałem przecie, jak mużulmanie spoglądali na nas już z większym szacunkiem, a po sobie jak gdyby mówili: „Jednak ten ich Issa uczył praktycznych rzeczy”.

Już było koło trzeciej w nocy – to jest, że już trzy godzin upływało od zachodu słońca, tak bowiem mużulmanie czas rachują. Siedząc przodem do rudła nie mogłem upatrywać lądu – spoglądałem więc na dziwny szlak fosforyczny za naszym czółnem się wijący. Smutno mi było, a trud podróży i noc ciemna myśl moją krepą obsnowały.

„O, gdyby przynajmniej ta noc była spokojniejszą!” – myślałem sobie, a myśli mojej odpowiedział po krótko oddalony naprzód, a później coraz zbliżający się szum jak gdyby uraganu.

„Pięć nocy na morzu i trzy burze? Prawdziwie... to już zanadto” – pomyślałem zniecierpliwiony i tupnąłem nogą, pierwszy raz przerywając milczenie.

- Znowu burza!–zawołałem z opryskiem, a mój sąsiad odpowiedział mi na to spokojnie:
- To już Jaffa.

Zawstydziłem się mocno i stłukłem też nadaremnie nogę, zapomniawszy tupając, że był w tureckim pantoflu. Obróciłem się jednak uradowany tą pomyslną wiadomością i ujrzałem czarne a wiekiem okopcone mury starożytnej Jopei, o skały której rozbijały się z szumem bałwany. Po chwili stąpiłem nogą na ziemię obiecaną, może w tym samym miejscu, z którego Noe wstępował do arki ocalając ród ludzki²⁶, albo też w tym, na którym Bonaparte rozstrzeliwał trzy tysiące bezbronnych Arnautów.

Zaprowadziłem mego towarzysza do klasztoru oo. Ziemi Świętej, a polecając siebie poleciłem go także naprzód ojcu furtianowi, potem ojcu szafarzowi, a nareszcie ojcu gwardianowi. Znalazłby i bez tego polecenia przytułek, lecz w podwórku, w szałasie dla wschodnich pielgrzymów przeznaczonym. Udając się do swej celi rzekł on mi tylko:

- Zobowiązałeś mnie sobie.

²⁶ Z Jopei u Jaffy miała arka wypłynąć (p. a.).

II

Już kilkanaście dni upływało od mego przyjazdu do Palestyny, gdy pewnego ranka z kosturem w ręku, choć we wschodnim ubiorze (bo innego nie miałem), z Biblią pod pachą, postępowalem pieszo i bezbronny górzystą drogą prowadzącą z Jerozolimy do Betlejem – pieszo, bo odległości miejsc pamiętnych niezbyt wielkie, a bezbronny, bom się wstydził harcować na koniu i brząkać szablą w miejscach, które Godfred, Tankred, Ludwik Święty zwiędzali bosy i z odkrytymi głowami, a które Krzywousty, Henryk Sandomierski i Radziwiłł Sierotka obchodzili z kosturem. Kto doświadczył, zaświadczy, że w samej Jerozolimie jeszcze nikt nie pamięta, aby widział śmiejącego się człowieka, a dokoła miasta w milę odległości, oprócz kilkudziesięciu drzew młodych, a siedmiu dwutysiącletnich²⁷ Góry Oliwnej i kilku krzewów przy fontannie Siloe, ani żdźbło trawy na wapiennych białych górach nie porasta.

Byłem więc smutny, a tą już razą nikt nie miałby prawa strofować mnie o to. Jeszcze raz spojrziałem ze szczytu góry na gród Dawidowy i powtórzywszy: „O Jeruzalem! Jeruzalem... oto wam zostanie dom wasz pusty!”²⁸ zwiesiłem głowę i postępowalem dalej, równiejszą już drogą.

Stanąłem po chwili u fontanny dyzunickiego klasztoru świętego Elizeusza, a napiwszy się tylko wody, udałem się w dalszą podróż. Coraz więcej zieloności rozweselało wzrok mój, a wzrokiem wesołość zstępowała do duszy. Gdzieś tam jeszcze szczyt góry kamienistej, pochyłe drzewa wieńczące grób Racheli... przywiązanej, nieszczęśliwej Racheli, fontanna orzeźwiająca jak to czułe wspomnienie z dziecinnego wieku ziemi naszej – te były przedmioty, które napotykałem w różnej odległości od mojej drogi. I znowu ścieżka wapienna zaczęła się wspinać po górach, ale widok rozszerzał się coraz i ubarwiał. Na zakręcie drogi spostrzegłem przed sobą na skalistym grzbiecie, dość wyniesionym nad powierzchnią w kształcie gościńca publicznego dawnych Rzymian, ciągnącym się wśród zielonej doliny – spostrzegłem miasto Betlejem²⁹, to miasto, o którym każdy z nas dowiedział się po raz pierwszy może już w drugim roku swego życia, a które widział... w szopce...! Obfitość, bujność roślinności obok okolic naznaczonych piętnem nieplodności – to tak nagle przejście od smutku natury do jej radości rozpromieniło także duszę moją, jakby głos pasterskiego fletu po śpiewie *Dies Irae* Strząsnąłem kurz z obuwia i postępowalem już zwawiej wśród coraz piękniejszego kraju.

Przesunąwszy się nad urwiskami zielonością umajonymi, poza domami wioski z piaskowego kamienia zbudowanej, stanąłem na nieco szerszej płaszczynie skalistej, na samym zaokrąglonym krańcu, jak gdyby miejską strażą, warownym klasztorem zamkniętej. U stóp klasztoru z trzech stron przepadzistość – i na pół mili długa dolina, pagórkami poprzerynana, a przystrojona w winnice – cały zaś horyzont niebieskimi górami zamknięty.

Klasztor ten czy zamek, od lat tysiąca trzechset kilkadziesiąt w tym miejscu stojący, a przez pobożną Helenę, matkę Wielkiego Konstantyna, jeszcze założony, tylko od strony wioski jest wygodnie dostępnym, od której to wioski płaszczyną skalistą na kilkaset stóp długą jest przedzielonym.

²⁷ Podług świadectwa mineralogów i botaników (p. a.).

²⁸ Ew[angelia] Mat[eusza], [rozdział] 23, [werset] 24 (p. a.).

²⁹ Wioskę teraz (p. a.).

Jak Betlejem było miasteczkiem, w tym miejscu musiało być przedmieście – lub raczej zamieście, a kto już nie znalazł w miejskich gospodach noclegu, szedł dalej i zawsze dalej i szukał przytułku w ubogiej gospodzie... za miastem... w stajence. Tak jeszcze i dziś ubogi pielgrzym szuka w naszych wioskach przytułku i nawiedziwszy każdą chatkę, w ostatniej i najuboższej go znajduje.

Wszedłem naprzód do otwartego kościoła, a potem szerokim korytarzem, do lewego skrzydła świątyni przytykającym, udałem się do furty łacińskiego klasztoru, po prawej bowiem stronie jest ormiański, a we środku dyzunicki. Zaznajomiwszy się z ojcem gwardianem i z bratem „gościnnym”³⁰, udałem się bez czyczeronów do kapliczki Żłobu.

Wychodząc ujrzałem pod marmurowymi kolumnami ciemnego kościoła kilku ludzi we wschodnich ciemnych szatach, rozmawiających z sobą na ustroniu. Jeden z nich wystąpił z grona i uklonił mi się po wschodniemu, kładąc rękę na sercu. Poznałem w nim mego towarzysza z czółenka. Pozdrowiłem go po arabsku, a on przemówił do mnie w dość kaleczony włoskiej mowie następujących słów kilka:

– Jesteś teraz u nas... przyjdź mnie odwiedzić. My tu wszyscy chrześcijanie w Betlejem.

Szedłem za nim aż do sporego domu, schludnego zewnątrz, a dość zamożnie wewnątrz urządzonego, gdzie się poznał z całą kmiotką rodziną. Kmieciem był on bowiem, a jeździł do brata kupca do Damietty. Żona, kilkoro dzieci, syn jego już dorosły i kilku sąsiadów otoczywszy mnie siedziało w cichości, a gospodarz uraczył tym, na co go stać było, to jest dobrymi owocami i kawą. Wyprowadzając za próg rzekł on do mnie:

– Jak mi powiedziano, że tu przyszedł Turek, co prędko chodzi, domyśliłem się zaraz, że to o tobie mowa, i ucieszyłem się z tego. Gdy zechcesz zwiedzić sadzawki Salomona, mój syn cię do nich zaprowadzi.

Spędziłem cały wieczór na samotnej przechadzce po grzbiecie dziwnej skały, na której całe Betlejem w kształcie wstęgi jest zbudowane. Wpatrywałem się długo w mgły zstępujące w dolinę i wróciłem nareszcie do gościnnego refektarza, bo mnie braciszek uprzedził, iż po dziewiątej nikogo nie wpuszczają do klasztoru. Jeszczem na czas wrócił, gdyż brakowało pół godziny do capstrzyku, a czekano niecierpliwie na jakiegoś bawarskiego barona, dwudziestoletniego księdza, którego sam papież w Rzymie na wiosnę wyświęcił, a który, zaraz potem na sześć miesięcy przybywszy do Jerozolimy, zwiedza teraz miejsca święte i dziś na noc ma wrócić z klasztoru St. Sabat i w tejże samej sali zanocować.

Zastał mnie Bawarczyk nad Biblią – a czemu się mocno zdziwił zajrzawszy w nią ukradkiem (brał mnie bowiem z ubioru za Turka) – nad łacińską Biblią. Mój nowy towarzysz, miły, dziewiętnastoletni (jak sam się przyznał, mimo że już był święcony) młodzieniec, syn najmłodszy z możnej a starożytnej Bawarów rodziny, a zatem feudalnym trybem na biskupa przeznaczony, był dla mnie też ciekawą kością mamuta (lub nieco mniejszego przedpotopowca), znalezioną przypadkiem w naszym wieku. Prawił mi o papieżu, u którego był w łaskach – mówił pięknie, dowcipnie, a nawet uczenie i radował się jak dziecko, że pierwszy raz widzi Turka czytającego Biblię po łacinie; zostawiłem mu tę iluzję, a słyszałem, jak przez sen śmiał się jeszcze. Odjechał nazajutrz, a ja pozostałem i mszy pasterskiej wysłuchałem w kapliczce Żłobu.

Potem przyszedł do mnie Bartłomiej młody i zaprowadził mnie o dwie mile od Betlejem, gdzie wśród gór jest góra, a na jej szczycie i bokach ślad wiekopomnej biegłości i zamożności starożytnych tej ziemi mieszkańców. Szedłem może także z tą myślą: – „Salomon...! wielki cień...! powiększony oddaleniem i opisami... przesadzone jak zwykle podanie o dość zamożnym królu małego kraiku” – a ujrzałem dzieło, przy którym maleją przepychy Wersalu i Saint Jemsu. Trzy tylko sadzawki w kondygnacjach, z których jedna na wpół drogi, druga o sta j kilka od pierwszej, a trzecia na samym szczycie dość wyniosłej góry. Przeznaczeniem

³⁰ Taki urząd (p. a.).

ich było zasilać wodami Cedron, a wody, którymi się napełniają, salomońskim³¹ sposobem są sprowadzone. Każda z nich u spodu, po bokach, wewnątrz i zewnątrz, i naokoło jeszcze w kształcie szlaku na kilka stóp szerokości, jest wyłożoną kwadratowymi bryłami z granitu, w kształcie tafli u posadzki... a granit podobny z Egiptu musiał być sprowadzonym, i to jeszcze z głębi Egiptu – a jest go tyle, że się zdaje (przy pustkach, jakie teraz o mil kilka wkoło), że cała ludność 'dzisiejszej Palestyny nie wydzwigałaby tych olbrzymich kamieni na szczyt góry.

Wróciwszy do wioski pożegnałem się z rodziną mego przewodnika, a ponieważ tenże nie przyjmował za trudy żadnego wynagrodzenia, zataiłem przed ojcem jego, że się nazajutrz udaję do Saint Sabat, mówiąc tylko, że już wracam do Jeruzalem, a betlejemianów dopiero w wilię świąt Bożego Narodzenia odwiedzę znowu.

Spędziłem wieczór w klasztorze na rozmowie z zakonnikami i przełożonym. Wszyscy z Włoch rodem, a było ich siedmiu z przełożonym – brat gościnny ósmy. W klasztorze ormiańskim było sześciu zakonników, a w dyzunickim dziesięciu. Wszystkie te trzy klasztory znajdują się pod jednym dachem i w jednym dziedzińcu, do którego można się tylko dostać przez kościół przechodząc, a wielkie żelazne drzwi kościoła, do otworzenia których trzeba ze trzech ludzi, zawsze od dziewiątej do świtu zamknięte. Pytali się mnie zakonnicy, czym już zwiedził ciekawości Ziemi Świętej, a Jerozolimy szczególnie. Prosiłem ich, aby mnie nie brali za Anglika. Pytali mnie się więc, czym nawiedził Grób Zbawiciela, na co im odpowiedziałem, że jeszcze tego nie uczynił, gdyż chcę kolejną zwiedzić wprzód wszystkie pamiętne miejsca, a potem dopiero, dopełniwszy chrześcijańskich obowiązków, ukłęknać u Grobu świętego. Żegnając się ze mną bardzo mi odradzali iść samemu do Saint Sabat dla mnóstwa włóczących się hord beduińskich nad Jordanem. Baron bawarski brał z sobą (jak mówili) dziesięciu ludzi. Podziękowałem za troskliwość i gościnny przytułek w klasztorze i udałem się do mojej sali.

Sala ta, dla podróźnych tylko przeznaczona, była dokoła ławkami otoczona, na których ławkach, skórą wybitych, podróźni przespać się mogli. Stał po prawej ręce, przez całą długość sali, wąski stół dębowy, do którego przytykała prawie komórka, we środku lewej ściany naprzeciw drzwi od korytarza się znajdująca. Na stole tuż przy komórcie paliła się całą noc lampa. W tej komórcy, zaledwie mogącej pomieścić jedno łóżko obsłonięte szarymi firankami – była moja główna kwatery. Przy rozsloniętych firankach mogłem widzieć jak najlepiej całą salę i jedyne drzwi do niej z korytarza prowadzące. Brat gościnny przyniósł mi skromną wieczerzę i życząc dobrej nocy wyszedł z sali. Zdaje mi się, że mu wspomniał, że nazajutrz po pierwszej mszy klasztor opuszczę.

W pół godziny po udaniu się na spoczynek, a we dwie po jego oddaleniu (około jedenastej godziny) usłyszałem stapanie po korytarzu, a wysunąwszy głowę zza firanek, zoczyłem wchodzącego mnicha. Wpatrywałem się w niego z ciekawością, gdyż zdawało mi się i poznać, i nie poznać brata gościnnego, zdawało mi się bowiem, że nieco podrosł, że miał na sobie ciemniejszy, to jest mniej wytarty habit i co dziwne, kaptur na głowę nasunięty. „Skąd on wraca? – pomyślałem sobie – kiedy klucze u gwardiana”, dodając do tej uwagi: „Dziwna rzecz po korytarzach w nasuniętym kapturze się włóczyć”. Mnich zakapturowany zbliżył się do samego łóżka mego i zapytał nieco zmienionym głosem, stojąc nade mną:

- Czy czuwasz?
- Tak jest.
- O której godzinie chcesz wstać jutro?
- O wpół do piątej z rana.
- Obudzę cię o czwartej. Śpij snem spokojnym.

Patrząc mu w oczy w ciągu całej tej rozmowy zdawało mi się, że miał wzrok jakąś błonką powleczonej, a gdy mu chciałem podać rękę na dobranoc, zdawało mi się jeszcze, że cofnął swoją z pośpiechem. Oddalił się o parę kroków – poprawił lampę – i wyszedł.

³¹ Przedartezyjska, jak mniemam (p. a.).

Przez cały czas tej wizyty jakiś rodzaj nie znanej mi elektryczności owionął mnie wokoło – a nie była to bojaźń wcale, bo gdyby chciał, tobym z nim przez godzinę prowadził pogawędkę. Zastanowiłem się nad tą odmianą w stroju, we wzroście i w mowie i gdy nad tym myślałem, jako też nad czymś, co tam jeszcze turkotało po korytarzu, zasnąłem jak kamień – w skutku czteromilowej rannej przechadzki.

Nazajutrz pierwsze drzwi skrzypnięcie rozwarło mi oczy... Wszedł brat w kapturze, poprawił lampę i rzekł do mnie:

– Wstawaj!

On wyszedł, a ja wstałem i czekając na należące mi się śniadanie czytałem Biblię. Ciemno też jeszcze było na dworze, a droga mi nieznajoma.

Jużem czekał więcej jak godzinę, a śniadania nie widać było. Wszedł nareszcie brat gościnnie w starym habicie, bez kaptura... i bez śniadania.

– Jużes to wstał?

– A na cóżes mnie przychodził budzić, proszę?

– Jako żywo! Jam ciebie nie budził.

– Jeżeli nie ty, to kto inny – jednak zdaje mi się, że i wczoraj, i dziś przychodziłeś po dwa razy do mnie w jednym celu.

– Wierzaj mi, że nie byłem – odpowiedział mi bardzo naturalnym tonem.

– Mniejsza o to... pójdę tymczasem na dół do kapliczki Żłobu.

– Idź, to tam zastaniesz gwardiana i wszystkich braci na mszy, a poznawszy tego, co cię zbudził, możesz się nań po mszy przed gwardianem użalić.

– Nie ma za co, kochany bracie.

Zeszedłem na dół, gdzie już gwardian mszę pasterską odprawiał, a kapliczka właśnie wieśniaczkami i pastuszkami napełnioną była. Po mszy przyjrzałem się wszystkim siedmiu księżom, ale mego tam nie było... więcej zaś w całym zakonie nikt by nie zliczył – a ich sąsiedzi, i ci, i tamci, z brodami.

„Brat gościnnie zapewne jest lunatykiem” – powiedziałem sobie i skłoniwszy się księżom opuściłem klasztor, nie pytając nawet, czy brat gościnnie w istocie jest lunatykiem – i jak wyglądał brat Hiszpan misjonarz, co przybywszy tu niedawno w gościnę – przed kilkoma tygodniami na suchoty umarł. Miałem wielką ochotę się spytać, ale przyznam się, że się wstydział, mówiąc... robić... Jak się o tym w Europie dowiedzą, to dopiero będzie śmiechu z człowieka, co śmie wierzyć, iż są rzeczy, o których się filozofom ani śniło.

Zstępowałem z góry wąskimi ścieżkami i zaledwie pierwsze promienie słońca zaczęły uwieńczać gór szczyty, gdy nad był na wpół drogi ku dolinie, u groty pasterskiej. Stosując się do wypowiedzianej mi w Wilię drogi, kierowałem moje kroki podług wierzchołków gór, za które dążyłem. Horyzont od wschodu (dokąd właśnie postępowałem) rozjaśniał się coraz, a pod tym cieniem i złotawym światłem, w tej walce dnia z nocą, kraj był tak cudownym, jak pierwsze spojrzenie na kwiatek niewinnego dziecka... Długo nie mogłem oderwać oczu od tego zachwycającego widoku. Niech, jak chcą, szydzą realiści, ale rozkosz, której doznaję, gdy wciągam w siebie tęczę mych oczów piękność stworzenia, jest stokroć większą od tej, której doznaję szydząc z moich platonicznych uniesień nad naturą. Czy ich oczu nie zachwyca malowniczość i fantastyczność cienia i światła na jakiegokolwiek naturze? Niech mi wybaczą – ale taki badacz jest jeszcze kretem.

„Wszystko to piękne! Nader piękne!” – powtarzam z uniesieniem... jednak czegoś mi w życiu nie dostawało jeszcze...Przypomniałem sobie, że jeszcze nie jadłem śniadania... Obróciwszy się raz jeszcze za siebie, aby pożegnać klasztor dumający na szczycie skały nad doliną, spostrzegłem w cieniu, w którym była pogrążona cała ta strona krajobrazu – spostrzegłem dwie postacie opierające się na kijach i posuwające się tą samą drogą... ale szybkim krokiem. Postępowałem dalej, przelazłem przez płoty i rowy i zapuszczając się w dolinę okrytą winną latoroślą – owocem o tej porze brzemiennej. Obróciłem się przypadkiem raz jeszcze i ujrzałem

z niezbyt wielkim zadowoleniem, że dwaj ludzie krok w krok za mną postępowali coraz to śpieszniej. Najbardziej mnie frasowało, że nie miał przy boku broni... siecznej szczególnie...

„Co tu począć? – mówiłem do siebie – nie mam wprawy pałką rozbijać... Pałaszem... to – ale...!”

„Naśladujże tu Sierotkę, nieboże!” – mówiłem dalej coraz to w gorszym humorze... Nie obracałem się już przecie, aż dopóki nie doszedł do małej kamiennej rotundy, we środku winnicy na czas winobrania wystawionej. Nimem doszedł – jużem plan ułożył, a uskuteczniając go niebawnie, oparłem się czołem o rotundę, uczyniłem nagłą zmianę frontu i stanąwszy w groźnej postawie, ujrzałem... mego towarzysza z czólenka z synem Bartłomiejem. Nikomu jeszcze tak rad nie byłem.

– Domyślaliśmy się, że pójdziesz do Saint Sabat, a widząc cię wychodzącego z klasztoru i udającego się w tę stronę, przychodzimy ci służyć za przewodników.

– Ale, moi przyjaciele... to za daleka podróż – cztery mile. Dziękuję bardzo, ale nie chcę was trudzić.

– Zobowiązałeś mnie przecie – rzekł ojciec kładąc rękę na piersiach na znak prośby. – Tu zaraz obok jest moja winnica – dodał on – może spocznieś chwilę w mojej wieży i posiliesz się winogradem.

– A ja mam w torbie chleb i ser – syn powiedział.

– Wyśmienicie! przystaję chętnie, ale wierzajcie mi, że już odtąd to ja będę waszym zobowiązanym.

Nie masz to jednak, jak zobowiązywać biednych ludzi...

GRECJA



Już upływał czas przeznaczony kwarantannie, a z nim ustawała chorobliwa niecierpliwość podróżnych.

Zbliżająca się pora marcowych ekwinoksów rozwodziła mgliste płaty po niebie, a morze kipiało gniewliwie miotając okrętami jak wicher gałazkami płaczącej wierzby. Miasto Syra, wznoszące się w kształcie głowy cukru nad portem, w którym wśród innych leżał nasz okręt na kotwicy, jest stolicą małej wysepki tegoż nazwiska, we środku wysp Archipelagu położonej.

U szczytu miasta, na samym wierzchołku góry, wznosi się katolicki kościół, a obok niego otoczony dokoła wysokim murem dość spory budynek biały, służący za pomieszkanie dla biskupa i jego duchowieństwa.

Stamtąd widać w oddaleniu trzynaście wysp różnej wielkości i różnego kształtu, należących do Zielonego Archipelagu, któreń dalej, niż sięgnie oko, rozciąga swoje rozpadnięte członki. Z góry tej widać także piękne ogrody i skaliste boki wysepki Syry, i całe miasto, co u stóp jej leżąc nad portem w kształcie półksiężyca, u szczytu wieżą kościoła jak gdyby ostrzem od włóczni jest zakończone.

Noc poprzedzająca odezwała się do nas gwałtowną burzą. Okręt szamotał się na wszystkie strony, fale były jak taranami w jego smoliste boki, liny trzeszczały przeraźliwie, a czasami tylko groźny głos kapitana lub piskliwy pachółka, wnet zagłuszony szumem żywiołów, prze rywał na chwilę tę monotonną burzy harmonię. Na pokładzie brzęczały olbrzymie łańcuchy, które barczyści żeglarze rozwijali z kołowrotów, spuszczać na nich w głębokie morze jeszcze silniejsze kotwice. Z pierwszym odrzaskiem dziennego światła niezwykły ruch całej ludności nadwodnego pałacu wywołał wędrowców z bobrowych kryjówek. Port Syry przedstawiał przeraźliwy widok. Wody Morza Śródziemnego, zwykle tak piękne, błękitne, przybrały barwę kipiącej smoły z wirem morskim zagotowanej. Szczyty ciemnych gór falistych, wznoszących się chwilowo w różnych miejscach i zostawiających wnet po sobie bezdenne otchłanie, pokrywała śnieżnista piana, rozbijająca swoje płaty o domy czarniawe starością, nad brzegiem portu dokoła się wznoszące.

Kilkadziesiąt okrętów, leżących w porcie na kotwicy, kiwało się na wszystkie strony niby islamscy wyznawcy odmawiający ranne pacierze, których wyrazy ryk morza naśladował. Jeden z okrętów bliżej brzegu się znajdujących zaczął się usuwać na kotwicznych linach i przybliżał się coraz więcej do lądu. Powstał wielki gwar na jego pokładzie. Żeglarze wzięli się do kołowrotów, spuszczała potrójne kotwice, rozwijali łańcuchy... okręt jednak wciąż się zbliżał do brzegu.

Mieszkańcy Syry dosiadłszy szalup przybywali na pomoc zagrożonym. Niektórzy, nie zdążywszy się zabrać w szalupy, wpław je gonili. Zaczepiano powrozy z hakami o brzegi okrętu i odciągano go z całej ludzkiej mocy od lądu, o którego lada chwilę mógł trącić, a trąciwszy rozтворzyć się i w morską przepaść na wieki zanurzyć. Żeglarze innych pokładów i miasto całe na brzegu będące patrzyło na to smutne widowisko rozbijającego się okrętu, dzielając na przemiany nadzieje lub obawy tych, którym groziło tak widoczne niebezpieczeństwo. Wtem sternik naszego okrętu odezwał się potężnym głosem; obróciliśmy oczy w jego stronę, a nowa katastrofa oderwała naszą i innych uwagę od przedmiotu, którym byliśmy dotąd zajęci. Okręt będący w naszym sąsiedztwie znajdował się od chwili w równym niebezpieczeństwie. Nie był on zagrożony rozbiciem się o skały, lecz, o ile wnosić można było z kierunku, w którym usuwał się na swych linach, mógł wkrótce uderzyć swym lewym bokiem o nasz prawy... a rezultat tego spotkania mógł być dla obu fatalnym. Zrobiło się nowe zamie-

szanie między żeglarzami różnych pokładów, ze wszech stron spuszczano na morze szalupy, a przytomny nasz kapitan, któren z przezorności przez cały czas burzy kazał wciąż parowy kocioł ogrzewać, aby się w razie potrzeby na szerokie morze wycofać, postawił swych żeglarzy przy kotwicznych łańcuchach, kazawszy im oczekiwać ostatecznego sygnału, gdyż, jak sam mówił podróżnym dowcipnie: „uważaliby to sobie za hańbę w porcie utonąć”. Co jednak dość łatwo stać się może, szczególnie w nędznych portach burzliwego Archipelagu Greckiego. Niebezpieczeństwo wzmagalo się coraz, gdy niespodziewana pomoc zaradziła mu skutecznie, z niemałą wszystkich radością. Sąsiadujący o kilkanaście staj od nas *brulot* parowy z grecką wojenną banderą, przez sławnego Kanarisa dowodzony, szybko zwinął kotwice, zagrał kłębami dymu, zbliżył się zręcznie aż pod sam bok prawy usuwającego się w naszą stronę okrętu, zarzucił nań haki, liny i łańcuchy i siłą pary odciągnął go o paręset kroków od nas, skuteczniając ten biegły manewr wspólnie z żeglarzami usuwającego się okrętu, którzy przez ten czas zwijali co żywo kotwice. Manewr ten, oswobadzający nas od złego sąsiada, dał nam jeszcze sposobność oceny biegłości *brulotu* i wyobrażenie dokładne, w jaki sposób zwykł się zbliżać do okrętów, które chce podpalić lub zdobyć z siekierą w rękę w sposób *à l'abordage* zwany.

Około południa, po piętnastogodzinnej burzy morze uspokajając się zaczęło, a na parę godzin przed zachodem słońca mgły się rozstały zupełnie i zapadły za góry, a wody nas otaczające zajaśniały nowymi barwy.

Szalupa grecka z chorągwią, na której krzyż biały malował się dobitnie na czarnym polu, przybliżyła się do naszego okrętu, a stojący u jej rudła Greczyn, z długimi włosami w czarnych kędziarach spod czerwonej czapczki wypływającymi, zatrzymując się podniesieniem wiosel nieco w oddaleniu od zapowietrzonego okrętu, zażądał widzieć się z jednym z podróżnych. Strój tego Greczyna składał się z granatowej kurtki, z podobnychże spodni, szerokich jak spódnica, do kolan, a u dołu haftowanymi kamaszami zakończonych. Był opasany żółtym jedwabnym pasem, na gołych nogach miał czerwone babusze, a w rękę trzymał czterołokciową trzcinę, wielką srebrną gałką zakończoną, z czego wnosić można było, że należał do przybocznej służby jakiego europejskiego konsula lub wyższego miejskiego urzędnika; w Turcji bowiem i w Grecji podobne godło przed wyższymi urzędnikami noszą, a to w celu, aby lud uliczny widząc, kto koło niego przechodzi, nie dopuścił się jakiej obelgi. Podobni domownicy janczarami się zowią, chociaż są najczęściej zwykłymi Turkami, Arabami lub Grekami i nigdy nie należeli do tej sławnej otomańskiej milicji.

Podróżny, z którym janczar chciał się widzieć, zbliżył się do lewego brzegu okrętu, gdzie była jego szalupa, a za zbliżeniem się jego Greczyn, niosąc z uszanowaniem rękę do czoła i kładąc ją potem na piersiach, rzekł we włoskiej mowie:

– Monsignor Bianchi, biskup Syry, życzy się widzieć z Waszą Dostojnością i oczekuje na Was w ogródku kwarantanny.

Podróżny oświadczył kapitanowi okrętu chęć udania się na ląd; spuszczone wnet okrętową szalupę, która po krótkiej przeprawie stanęła u piaszczystego brzegu po lewej stronie portu i miasta, w dość znacznym oddaleniu od tegoż się znajdującym, w miejscu, gdzie się wznosi mały domek. W nim podróżni z zapowietrzonych krajów przybywający odsiadują kwarantannę, o ile nie zdołają wyrobić sobie z trudnością udzielanego pozwolenia odbywania tejże na własnym pokładzie, w razie gdy dopełniają tej formalności nie w celu komunikowania z miastem, ale w zamiarze oczyszczenia się w Grecji przed udaniem w dalszą podróż na zachód, otrzymawszy od władz lekarskich i rządowych puryfikacyjne świadectwa... co zmniejsza im czasami kwarantannę w portach zachodnich, a czasami na nic też nie służy. Tu odbierają także podatek osobowy, a poborcy spekulują na podróżnych wymagając od nich niemałych opłat. Podobny h a n d e l

b i a ł y m i prowadzą we wszystkich portach Grecji uprzywilejowani monopoliści. Rzec podobna i w portach włoskich się praktykuje, Włosi bowiem, jak wiadomo, chętnie Greków naśladową, jak dawniej w sztukach pięknych, tak dziś w niepięknych sztukach.

Podróżny nasz dotknąwszy stopą greckiej ziemi udał się w głąb wysepki za janczarem, o kilkanaście kroków przed nim z ostrożnością postępującym. Od samego brzegu szedł wedle niego strażnik zdrowia przydany do jego osoby, trzymając w ręku długi kij, żelaznym hakiem zakończony, aby w razie zbliżenia się zapowietrzonego do jakiego dobrego przewodnika zaraz wnet go tym hakiem bez ceremonii odciągnąć. Stanęli wreszcie w podle lichego domku, tylekroć razy przeklinanego we wszystkich wschodnich i zachodnich dialektach od marynowanych w nim jak śledzie w beczce podróżnych, a janczar wskazał swoją buławą przyległy ogródek, wysoką drewnianą kratą w czworobok otoczony. Strażnik stanął o dziesięć kroków od wejścia, trzymając hak do ataku, a podróżny przesunął się jak sylf brodaty przez wąskie wejście, nie dotykając się nawet progu. W razie bowiem dotknięcia próg ten nieszczęśliwy spalaniem na stosie zostałby ukaranym.

Z drugiej strony kraty, wejściu przeciwległej, siedział na pleconym ze trzciny stołku poważny starzec w fioletowej szacie z dość grubego sukna, w kapeluszu z góralskimi skrzydłami. W ręku miał wysoką trzcinę bez ozdób, na piersiach nieco wytarty starością złoty łańcuch, a siwa jak śnieg broda aż po sam pas mu spadała, zakrywając wiszący na łańcuchu kościelny order.

Wyraz twarzy tego osiemdziesięcioletniego starca był poważny i słodki zarazem. Z wejścia nie można było osądzić, do jakiego należał europejskiego narodu.

Cała postać jego przypominała duchowną osobę wyższego dostojenstwa z czasów naszego Zygmunta Starego. Starzec uderzał wzrostem wysokim, chociaż już był pochylony wiekiem i zajmował niskie siedzenie.

– Witaj, mój synu! – rzekł biskup do młodego wędrowca, któren, ukłoniwszy mu się z uszanowaniem, na znak jego zajął miejsce na ławeczce o parę kroków od kraty oddalanej, a wewnątrz tej przezroczywej klatki położonej. – Dzisiejsze ranne wypadki zaszły w porcie naszym, a szczęśliwie dzięki Najwyższemu zakończone, skłoniły mnie do odwiedzenia ciebie, mój synu...! Obiecałem ci to już był w liście pisanym z mojej góry w odpowiedzi na ten, którym mnie przed dziesięciu dniami zawiadamałeś o twym przybyciu do portu naszego. Obecnie wychodzi już wkrótce czas waszej kwarantanny; postanowiłem więc przepędzić wieczór dzisiejszy z tobą i jak tylko umilkła burza, zstąpiłem z mojej góry, aby zajrzeć zarazem do mego wiejskiego domku i ogródka.

To mówiąc wskazał o parę tysięcy kroków za sobą, w wąwozie pomiędzy dwiema górami, biały włoski pałacyk wśród pomarańczowego i oliwnego ogrodu.

Podróżny skłonił się raz jeszcze z uszanowaniem, a widać było z oczów jego, że gdyby nie krata, uściskałby chętnie dłoń przyjazną zacnego starca.

– Czcigodny ojcze! – rzekł doń po chwili – nie zapomniałem przyjemnej doby, którą spędziłem z wami przed rokiem tam na górze, w przybytku, z którego, jak król ptaków ze skalistego gniazda, czuwacie troskliwie nad waszymi pisklętami. Nie zapomniałem też i rozmów waszych w czasie naszej dwudniowej morskiej podróży z Aten do Napoli di Romani, stokroć więc wdzięczny wam jestem obecnie za udzielanie mi chwil tak pożądaných, po raz ostatni zapewne w naszym życiu.

– W istocie – rzekł monsignior Bianchi – spotkanie z podróżnymi wśród tych krajów mieści w sobie częstokroć uroczyście wrażenia. Człowiek wiedząc dobrze o ulotności chwil tych traci doczesność z uwagi i jest z drugim człowiekiem nie jako potrzebnym mu w tej lub owej sprawie pomocnikiem, którego biernie używa, ale jako z udziałną potęgą, w chwili zetknięcia się z którą cała przeszłość zlewa się w punkt elektryczny i wlewa w podobną swojej duszę. Jest to wylanie się przeszłości w wieczne morze pamięci.

Dziś rano – mówił dalej – byliście w niebezpieczeństwie. Patrzałem na was z okien mojej cytadelki i modliłem się także za was w moim kościółku. Poczciwy Kanaris (dawny już mój przyjaciel) przybył wam w sam czas z ratunkiem. Nie pierwszy to raz Bóg zsyła mi tego pomocnika ubłagany gorącymi modłami moimi. Przed dwunastu laty, gdy jeszcze morscy korsarze z wysp pobliskich lub od brzegów Barbarii napadali niespodzianie na miasto nasze, cała ludność dolnego miasta w górę postępowała, mieszkańcy zaś górnego chronili się do kościoła i mieszkania mego, wewnątrz podwórza murem otoczonego – mojej cytadeli. Okropne to bywały chwile...! Ze szczytów wieży kościelnej kazałem dzwonić we wszystkie dzwony, wysyłałem rybackie łodzie do Aten lub do wysp pobliskich, koło których krążyły nasze wojenne brygi i kotery³². Zbójcy zaś przez ten czas wyrzynali tych, co nie zdążyli się schronić w górę, palili, rabowali, ładowali swoje statki, aż dopóki nie przybył wezwany przeze mnie Kanaris lub inny jaki waleczny grecki żeglarz, któren otworzył mieszkańcom wolny powrót do spustoszonych domów, wyrznawszy nieraz w pień korsarzy. Nieraz też miasto nasze (jak i każde w Grecji) zakrwawił morderczy oręż oddziałów wysyłanych przez Mehmeda pod dowództwem groźnego Ibrahima. Jako Włoch i katolicki biskup miałem pewną moralną obronę, która, nie wiem, o ileby mi jednak posłużyła bez murów mej warowni. W tych chwilach także moje wraz z obcymi owieczkami chroniły się do mej zagrody przed żarłocznym wilkiem. To miasto tak brudne, przez którego wąskie (u góry szczególnie) uliczki zaledwo się w zwyczajnym razie przecisnąć zdołasz bez omdlenia, odurzony nieczystymi wyziewy, po każdej takiej przygodzie przedstawiało ohydny widok rzeźniczych jatek, a zaledwo minęło niebezpieczeństwo, mieszkaniac wracając do wad, zabobonów i przesądów, przez swych nauczycieli w nim częstokroć pielęgnowanych, nie potrzebując już pomocy starego biskupa, odwracał z pogardą głowę, gdy go ten zachęcał do oczyszczenia ulic z krwi, z członków ludzkich, zgliszczów, spalenizny i rozszarpanych krwawych łachmanów, na stosie których siedząc w słodkiej nieczynności palił jak dawniej tureckie nargile lub wywijał pod wichą skoczną r o m é j k e, wodząc za sobą na brudnej chuście kilka dziewczic z wschodnim przepychem i niechlujstwem przybranych. Zwiedziłeś, mój synu, wszystkie zakątki tego sławnego ludu, widziałeś więc prawie wszędzie uschłą latorośl, co rozwita niegdyś duchem Pitagorasa i Platona wydawała tak bujne owoce. Rozniósł wiatr po świecie prochy mędrców Attyki, znikła pamięć cnót, wychowaniem spartańskim wykształconych. Greczyn jest teraz rozwiązłym i płochym jak Europejczyk, a gnuśnym i mściwym jak Turek. Zachował tylko spartańską pogardę dla nauk i obojętność na krwi, nawet swojej własnej, rozlanie. Ta ostatnia cecha jego, walecznych niegdyś mężów wydająca, przy braku cnót domowych w zbójectwo się przeistacza. Jest on wprawdzie wytrwałym w swej zemście, lecz o ile nim kieruje podrzędna namiętność, o tyle staje się zbrodniczym, o ile zaś wznioślejsze uczucia miłości zagrody, o tyle jest zdolnym heroizmu. To uczucie, obok nieco wyższego wykształcenia, z podrzędnych wad oswobodzając utworzyło Kanarysów, Maurokordatów i innych, niezbyt licznych reprezentantów najpiękniejszej strony greckiego charakteru. O! gdyby nie to jedyne chwalebne uczucie, kraj opiewany przez tylu wielkich wieszczów wyglądałby już dziś jak *spelunca latronum*...!

– Smutno o tym myśleć – odrzekł podróżny – lecz widoczną jest rzeczą, że o ile Stwórca rozsiał swą szczodłą dłońią dobrego dla ludzi w stworzeniu, o tyle wpływ złych ludzi może ludzkości złego wyrządzić...!

– O tyle jednak, o ile ci ludzie pod wpływem zostający zwątpią o sile w ich samych leżących,

o Bogu w ich duszy przebywającym i duszę ich silną i nieśmiertelną czyniącym.

Słowa te wyrzekł poważny biskup, a twarz jego w tej chwili jaśniała nadprzyrodzoną spokojnością. Ostatnie promienie zachodzącego słońca złościły ukośnie kratę, o którą był oparty, i zielone liście bluszczu, czepiającego się po niej. Włosy srebrnej brody jego lśniły się jak pióra

³² Nazwy techniczne wojennych statków (p. a.).

ze skrzydeł archanioła. Dzwon z górnego kościółka zabrzmiał uroczyście wzywając wiernych na Anioł Pański. Starzec złożył ręce i odmówił po cichu krótką modlitwę. Podróżny przeżegnał się także, co dość dziwnie odbijało od jego wschodniego turbanu i szat mamluckich; ale trzymał on w ręku różaniec... godło pielgrzyma, a cała postać jego w tej chwili nie wydawała wcale wyznawcę Mahometa. Oczy obudwóch skierowały się mimowolnie na malownicze i czarujące powabem odcienia zachodzącego słońca, które zarumieniło ostatnim odbłaskiem obszar morza, zapaliło się w szybach kościoła i na wierzchołku wieży jego i skonało na wyniosłej górze, już zieleniejącym drzewem okrytej.

– Szanowny ojcze! – mówił po chwili młodzieniec – o, jak wzniosłym jest powołanie twoje! Jak poetycznym był cały twój żywot... Jakie to szczęście, kiedy możesz czuć skutecznie nad bliźnimi twymi, przychodzić im z pomocą w przygodzie, nieść wsparcie duchowe i materialne.

– Nie moją to własną siłą, lecz władzą przywiązaną do mego powołania czynię dobrze, o ile mogę. Te kraje, obecnie w dzieciństwie będące, szczególnie potrzebują podobnej opieki. Tu widzisz wyraźniej niż gdzie indziej cel kapłaństwa i bractw klasztornych. Jednakże nie tylko w tych krajach kapłani nieść mogą pomoc ludzkości. Nie wychowaliż oni całej Europy? Nie wychowująż jeszcze dotychczas ludu we wszystkich prawie krajach? To niewiele, co wie, komuż i to winien ostatecznie...? Lecz Europa – mówił dalej zmarszczywszy czoło – Europa dochodząc do pełnoletności zapomina nieraz, kto ją wypielęgnował w dzieciństwie, a podobna lekkomyślność nie jest cechą dojrzałości.

– Nic prawdziwszego nad słowa wasze, szanowny ojcze! Lecz nie zgodzicież się ze mną, że w wielu bardzo razach nauczyciele nadużywali swej władzy nad uczniami i zapominali swego powołania, aż do obmyślania o własności materialnej małoletnich, której strzec byli święcie powinni, pielęgnując tylko ich duszę! Nie zgodzicież się ze mną, że wielu niebacznych nauczycieli przemawiało nieraz do ucznia młodzieńcem się stającego tak jak do małego dziecka jeszcze... przygłuszało władze umysłowe jego, obawiając się bezzasadnie owoców jego własnej samodzielności; przedłużało małoletność jego, opóźniało też samodzielność; upokarzało rozwijającego się młodzieńca zawieszając nad nim dyscyplinę, którą zaledwo i jak najrzadziej wolno jest karcieć zakorzenione wady dziecięcia, nad którym zmysłowość panuje.

Biskup słuchał w milczeniu, a po chwili odrzekł wzruszając poważnie głową:

– Synu mój...! Ludzie błędzą, ale duch Boży przyświecający im, odkąd poczuli w sobie duszę, nigdy nie błędzi. Błąd karę przywodzi, śmierć zaś – odrodzenie. Świat dojrzewa – lecz są ziarna, co wiecznie kieł puszczaają i puszczać będą obok drugich już plonem ciężarnych. Nauczyciel powinien się stać z czasem przyjacielem dojrzałego ucznia; uczeń zaś powinien czcić w nauczycielu sternika kroków swej młodości. Taki sąd będzie miał kiedyś świat dojrzały w tym przedmiocie. Co do dóbr doczesnych, znając klasztory Ziemi Świętej z rolnictwa i jałmużny żyjące, a przez cały miesiąc żywiące darmo każdego pielgrzyma, znając cyfrę dochodów każdego biskupa na Wschodzie, najlepiej poznasz, że jest jeszcze wielu i wielu na świecie duchownych nie dla chleba stan ten obierających. Ja na przykład: jestem biskupem kilku wysp okolicznych, a dochody moje, oprócz żywności skromnej moim duchownym udzielanej i owoców z własnego ogródka, trzy tysiące franków wynoszą³³. Miałem wprawdzie jeszcze wsparcie od Francji, która do Ludwika Świętego opiekowała się katolickimi kościołami na Wschodzie. To wsparcie rocznie czterysta franków (sto talarów) wynosiło. Bóg mi świadkiem, że się i tymi dzielił z potrzebными Francuzami lub w ich braku z innymi Europejczykami, których los zaniósł na moją wyspę.

Zmrok, rozpościerający się coraz szerzej, wprawił w zadumanie obu cudzoziemców. Gwiazdy perlistej białości wystąpiły w głębi ciemnobłękitnego greckiego firmamentu; dość

³³ 5.000 zł pol. (p. a.).

długo przedłużało się milczenie. Pierwszy starzec przerwał je, bo najdłuższe starca marzenie jest chwilką tylko przy snach rojących się na tle przyszłości młodzieńca.

– Już czas nam rozstać się, mój synu. Oto tam na kotwicy okręt, który z tobą zapłynie wkrótce w oddalone krańce, na łono rodzinnej kolebki. Ja już tu na mej górze życie zakończę. Młodzieńcze...! pozdrów w przejeździe moją piękną zatokę i mój ognisty Wezuwiusz – zatokę piękną jak kwieciste wspomnienia dziecinnego wieku, Wezuwiusz ognisty jak płomień młodzieńczej duszy, co długo wrzała kipiącą lawą w mym łonie, nim się w odłamki czynów zastygła. Wydarzenie dzisiejszego ranku, nasza rozmowa, wspomnienia rodzinnej ziemi przywodzą mi na myśl pamiętną w życiu moim przygodę. Opowiem ci ją przed rozstaniem się naszym, ażebyś, młody, słuchając słów starego podziwiał mądrość sądów Bożych, wierzył dobrze i czynił, jak wierzysz!

Przed trzydziestoma laty, w pięćdziesiątym roku życia mego, będąc już biskupem, na tę godność z wiejskiego zacisza w Hiszpanii ze stanu pasterza wyniesionym i przez Stolicę Apostolską zatwierdzonym, interes Kościoła, pozbawionego wówczas swego naczelnika z powodu wojennych kolei (za Napoleona), skłonił mnie, równie jak i wielu innych duchownych do udania się do Rzymu. Wsiadłszy w Kadynie z kilkoma duchownymi w obowiązku przy mnie zostającymi na okręt neapolitański, odbywałem już od dwóch dni dość przykrą i powolną żeglugę z przyczyny ciągle przeciwnego wiatru. Półwieczne własne doświadczenie, zamiłowanie nauki kościelnej i świeckiej, stan obecny Kościoła, znieważona potęgą następców Wielkiego Grzegorza (Hildebranda), potrzeba widoczna energicznego działania, oczyszczenia ze rdzy niszczącej osób i charakteru świętego, a z kurzawy i pajęczyn murów Watykanu – takowe były przedmioty myślenia mego w czasie przeprawy. Podobne myśli wywołały wprawdzie stosowne okoliczności, bez nich bowiem nie pomyślałbym o opuszczeniu mego zacisza, położonego przy starożytnym kościele mauretańskiej architektury.

Teraz zaś dręczyła mnie myśl... tak, przyznam ci się... myśl zostania kardynałem. Czasami jednak wspomnienia spokojnej przeszłości na łonie parafian spędzonej, przypomnienie rzewliwej modlitwy na Anioł Pański w samotnym kościele, nawiedzanie uroczyste wiejskiej szkółki w czasie popisu lub pracy, wszystkie te drobne na pozór szczegóły nuciły mej duszy pieśń daleko milszą... pieśń mojej młodości! Noc była ciemna i burzliwa, a wiatr przeciwny zatrzymywał nas prawie w miejscu lub zmuszał do żeglowania w kącie rozwartym i ostrym na przemiany. Morze wzmagało się coraz, zbliżała się bowiem północna godzina. Na pokładzie okrętu czuwała tylko czwarta część ludzi, i to w głuchym milczeniu, reszta zaś spoczywała w dolnych izbach. Lubiąc (jak każdy południowych krain mieszkańców) przepędzać noce na świeżym powietrzu, siedziałem na ławce po lewym brzegu okrętu, trzymając się czasami dla bezpieczeństwa wyciągniętych lin od głównego masztu do tegoż brzegu. Obok jeden z moich duchownych drzymał na ławce około rudla...

Rozmyślałem właśnie o przyjęciu, jakie mnie czekało w Rzymie, o przyjaciotach od trzydziestu lat nie widzianych, a z których dwóch było już kardynałami; cześć, znaczenie, mira, kadzidło, pompa obrządków, okazałość sklepień Świętego Piotra, a co większa, potęga groźna a dobroczynna, na wodzy ludzkość trzymająca, były przedmiotem rozmyślań moich. Lecz zbliża się godzina, w której zwykłem był odmawiać media-notę. Wzniósłem oczy do góry, aby się zapewnić ze stanu nieba o moim przeczuciu; ale gwiazd nie było na niebie, a dokoła przerażająca ciemność i złowieszczy ryk bałwanów. Spojrzałem machinalnie na szczyt wielkiego masztu i z podziwieniem nie dostrzegłem latarni morskiej, koniecznej w ciemnym czasie jako sygnał ostrożności przeciwko innym żeglującym okrętom: „Smutno na niebie, a ciemno na ziemi!” rzekła do mnie moja dusza, a na głos jej zacząłem gorącą modlitwę – modlitwę, jaką przemawiałem do Stwórcy w czasach młodzieńczej przeszłości mojej, jaką musieli się modlić niegdyś katechumeni, chroniący się w katakumbach Rzymu wraz z prześladowanymi papieżami. Gdym domawiał słów, których nas Zbawiciel nauczył: „Nie wódź nas na pokuszenie, ale zbaw od złego”, powstał przeraźliwy krzyk u rudla, uczułem pod swymi

stopami wstrząśnienie, jakiego się doznaje w czasie wybuchu Wezuwiusza przy rozwarciu ziemi w sąsiedztwie leżącej; zerwałem się nagle i porwałem machinalnie za liny obok mnie będące, ale ich było tyle, a ja sięgałem z przestachu tak wysoko, że mi się pomieszały w oczach przedmioty; czułem niby ciśnienie jakiegoś ciała po moim lewym boku, a pod sobą otchłań niezglębioną, nad którą wisząc na linach kołysałem się wśród oprysków piany i ryku bałwanów; zawarłem mimowolnie oczy, ścisnąłem konwulsyjnie ręce i straciłem zmysły.

Gdym przyszedł do siebie, znalazłem się wpośród; obcych ludzi, we wschodnim stroju, lecz nie muzułmanów. W rękę trzymałem kawałki postronków, których, gdy wyrwać mi nie zdołano, oderżnięto je od uwięzi. Naczelnik otaczających mnie ludzi zbliżył się do mnie, a widząc, że odzyskał zmysły, uwiadomił o zaszłej nieszczęśliwej przygodzie. Statek wojenny grecki do Tangeru za okupem brańców płynący, gnany pomyślnym wiatrem, wśród ciemnej nocy, nie dostrzegłszy zagasłej latarni na maszcie neapolitańskiego okrętu, uderzył przodem w bok lewy napotkanego okrętu tak gwałtownie, że aż maszt przedni greckiego pomiędzy boczne liny okrętu neapolitańskiego wpłynął. Ratując się przed śmiercią, zamiast się chwycić lin własnego okrętu, uczepiłem się za liny od przedniego masztu statku greckiego rozpięte. Okręt neapolitański się roztworzył, a oprócz mnie nikt nie ocalał³⁴.

Głuche milczenie nastąpiło po tym ostatnim słowie starca, a z dwóch łez spadających na jego siwą brodę i ze złożonych rąk jego widać było, że ta chwila była jeszcze przytomną jego pamięci.

Po krótko przydał:

Popłynąłem z Grekami do Tangeru, a stamtąd odwieźli mnie oni do Neapolu. Poznałem w drodze ten zdziecinniały już naród; powziąłem myśl pielęgnowania tych dzieci. Już mnie nie kusił kardynalski kapelusz, a gdy zawakowało pierwsze, jak najskromniejsze, biskupstwo na wyspach, starałem się o nie usilnie, odstępując korzystniejszego upragnionym...! Bóg mi pobłogosławił, bo oto już rok trzydziesty pierwszy, jak służę biednym tych okolic.

³⁴ W „Gazecie Neapolitańskiej” z 1800 roku jest opisany ten wypadek, który się biskupowi Bianchi, obecnie w Syra będącemu, wydarzył (p. a.).

PRZYPISY

- d y w a n (z pers.) – trybunał sądowy; rada przyboczna władcy.
- K o m o r a (z łac.) – urząd celny.
- M e h m e d - A l i (1769–1849) – wicekról Egiptu z ramienia Turcji od roku 1805.
- d r a g m a n (drogman, dragoman, z arab.) – tłumacz, nazwa używana wyłącznie na Wschodzie.
- f i r m a n (z pers.) – pisemny rozkaz panującego.
- p e w i e n n i e m i e c k i k s i ą ż ę – książę Herman von Pückler-Muskau (1785–1871), zwiedził Egipt w roku 1837; ogłosił później książkę pt. *Z państwa Mehmeda-Ali*.
- M e m o r i a ł (z łac.) – tu: muzeum.
- c y m e s (węgier. *czimes* – utytułowany) – tyle co „najlepszy”.
- n i z a m s k i – tu: wojskowy; odnoszący się do armii tureckiej (nizam).
- I b r a i m (Ibrahim) – syn Mehmeda-Ali, dowódca w wielu wyprawach wojennych swego ojca, od 1848 roku wicekról Egiptu.
- S o l i m a n – Oktawiusz Józef Séves (ur. 1788), Francuz, oficer napoleoński, który nie znajdując dla siebie perspektyw w kraju, udał się w r. 1816 do Egiptu, gdzie panujący ówczesnie Mehmed-Ali porучzył mu zreformowanie armii. Po przyjęciu islamizmu oraz imienia Solimana-paszy został szefem sztabu Ibrahima.
- n a r g i l e (z arab.) – fajka perska o długim cybuchu, przechodzącym przez zbiornik z wodą.
- A m r u – wódz arabski, który po czternastomiesięcznym oblężeniu zdobył w roku 640 Aleksandrię.
- f e l l o w i e (fellahowie, z arab.) – chłopci egipscy, mówiący po arabsku, wyznający mahometanizm.
- K o l u m n a P o m p e j u s z a – wysokości niemal 27 m; pochodzi z końca IV w. n. e., a z Pompejuszem złączyła ją dopiero legenda późniejsza.
- o d l a ł s w o j ą k o l u m n ę N a p o l e o n – tzw. Colonne Vendôme, wzniesiona w Paryżu w r. 1810 z posągami Napoleona na szczycie, jest naśladownictwem rzymskiej kolumny Trajana (nie zaś aleksandryjskiej Pompejusza).
- A b u k i r – był widownią walki morskiej, podczas której admirał angielski Nelson zniszczył 1 sierpnia 1798 r. flotę francuską.
- K o f t o w i e (Koptowie) – potomkowie starożytnych Egipcjan, chrześcijanie z wyznania, mówiący językiem arabskim.
- A l i – małżonek córki Mahometa, Fatimy, otaczany przez muzułmanów kultem religijnym.
- a l m e j e (z arab.) – wędrownie tancerki i śpiewaczki.
- K l o t – Antonius Ciot (ur. 1795), Francuz z Marsylii, chirurg. Na wezwanie Mehmeda-Ali w 1823 r. udał się do Egiptu, gdzie utworzył Radę Zdrowia, której został prezesem. Założył w Egipcie szkoły medycyny, chirurgii i położnictwa.
- B e l l i n i Vincenzo (1801–1835) – włoski kompozytor operowy
- L u d w i k I X Ś w i ę t y (1215–1270) – król francuski, kontynuator drugiej wyprawy krzyżowej, podczas której zdobył w roku 1249 Damiettę; w kwietniu roku następnego dostał się pod Mansurą do niewoli, w której przebywał do 1253 r.
- s o r b e t y (z arab.) – owocowe napoje chłodzące.

s i n e q u a n o n (łac.) – nieodzowny (warunek).

C h a u s s é d' A n t i n – ulica paryska, modne w owym czasie miejsce; przechadzek.

a l f r e s c o (wł.) – malowidło na świeżym tynku.

d z i e r y m a (arab. *dżarma*) – statek nilowy.

M u r a d – b e j – był naczelnikiem Mamluków w okresie kampanii egipskiej Napoleona, od którego wojsk poniósł klęskę 13 VII 1798.

M a m l u k o w i e (Mamelukowie) – utworzona z jeńców tureckich (arab. *mamluk* – niewolnik) w XIII w. gwardia muzułmańskich władców Egiptu. Mamlukowie obalili następnie panującą dynastię Ejubidów i władali Egiptem w latach 1250–1517. Gdy kraj znalazł się później w obrębie państwa tureckiego, tworzyli w nim wojskowo-feudalną arystokrację.

K l é b e r Jan (1753–1800) – generał francuski, który po wyjeździe Napoleona został naczelnym dowódcą sił zbrojnych Francji w Egipcie. Zginął zamordowany 14 VI 1800 w Karirze.

s a i s (arab.) – masztalerz.

A l k o r a n (Koran) – święta księga mahometan.

m e c z e t F a t y m y (Gamia el-Azhar) – wzniesiony w roku 973 przez władcę egipskiego imieniem Muizz, przedstawiciela potężnej dynastii arabskiej – Fatymidów, którzy swój ród wyprowadzali od córki Mahometa, Fatymy.

G a l l Franciszek (1758–1828) – lekarz wiedeński, twórca zarzuconej z biegiem czasu nauki, frenologii, wedle której z kształtu czaszki można określić zdolności i cechy umysłu ludzkiego.

L a v a t e r Jan (1741–1801) – pastor szwajcarski, autor modnej w swoim czasie książki o fizjonomice, dowodzącej zależności psychiki ludzkiej od cech budowy ciała (zwłaszcza twarzy).

R a v a i l l a c Franciszek (1578–1610) – fanatyczny wróg protestantyzmu, zamordował króla Francji, Henryka IV, za co został skazany na rozszarpanie końmi.

k a d i (arab.) – sędzia

v i v e u r (fr.) – człowiek używający życia.

S c r i b e Augustyn (1791–1861) – popularny komediopisarz francuski; w tekście dwuznaczność: Scribe (nazwisko) – skryba (gryzpiórek).

T h i e r s Ludwik Adolf (1797–1877) – francuski mąż stanu i historyk; w owym czasie był już autorem sześciotomowej *Historii rewolucji francuskiej*; w latach 1836 i 1840 pełnił funkcje premiera rządu.

„*Życie Jana Zamojskiego*” – książka Stanisława Staszica; jej właściwy tytuł brzmi: *Uwagi nad życiem Jana Zamojskiego* (1785).

„*Historia*” [Adama] N a r u s z e w i c z a – pełny tytuł brzmi: *Historia Narodu Polskiego* (1780–1786).

T u i l e r i e – pałac paryski ze słynnym ogrodem, założonym w czasach Ludwika XIV.

V e n d ô m e – plac w Paryżu z kolumną Napoleona.

P i a z e t t a – łączy w Wenecji plac św. Marka z morzem; biegnie wzdłuż pałacu dożów.

O m a j a d ó w, A b b a s y d ó w itd.... – dynastie panujące w różnym czasie w rozmaitych krajach mahometkańskich.

B e r m i c y d z i (Bermecydzi) – rodzina z Chorasanu (Iran), której członkowie w VIII w. odgrywali ogromną rolę na dworze kalifów abbasydzkich w Bagdadzie. Fundatorem potęgi Bermicydów był Abdallah Dżafar; za czasów kalifa Haruna-al-Raszyda jego wnuk, Yahya, ze swymi czterema synami piastowali najważniejsze urzędy kalifatu. Jeden z owych synów, Dżafar, był generalnym zarządcą pałacu kalifa i wychowawcą syna władcy, Mamuna. W roku 803 Bermicydzi popadli w niełaskę. Dżafar został stracony, a Yahya z pozostałymi synami wygnany. Legenda upatrywała przyczynę tych wydarzeń w wykrytej przez kalifa potajemnej miłości Dżafara i Abassy, siostry Haruna-al-Raszyda; w rzeczywistości Bermicydzi padli

ofiara swych ogromnych bogactw i nadmiernej przewagi rodu, który zaczynał zagrażać panującemu.

H a r u n – a l – R a s z y d – kalif bagdadzki z dynastii Abbasydów w latach 786–809.

S o l i m a n – kalif bagdadzki z dynastii Omajadów w latach 716–718.

M o w i a s (Moawija) – założyciel dynastii Omajadów, panujących jako kalifowie w Damaszku w latach 673–750.

E l - M a c i n (1223–1273) – historyk arabski, autor *Historii saraceńskiej*, obejmującej dzieje od Mahometa po rok 1118 (*Historia Saracenica*, Leyda 1625).

A b u l F e r u g – być może chodzi o Abul-Faradża, autora *Kroniki*, obejmującej historię powszechną poczynając od Adama.

H a k e m (el-Hakim) – kalif Egiptu z dynastii Fatymidów w latach 996–1021.

S c h a n e r (Szawer) – wezyr (minister) ostatniego kalifa fatymidzkiego w Egipcie, Adida (1160–1171).

i m a n (arab.) – duchowny zwierzchnik u mahometan.

N i l o m e t r – studnia (zbudowana w roku 716) na jednej z wysp Nilu, z wmontowaną podziałką dla odczytywania stanu wody rzeki.

Q u o d l i c e t J o v i ... (przysłowie łac.) – co wolno Jowiszowi... (*non licet bovi* – nie wolno wołowi).

H o n n y s o i t q u i m a l y p e n s e (sentencja fr.) – hańba temu, kto o tym źle myśli.

L o t – wedle legendy biblijnej splamił się kazirodczą miłością z córkami.

L a m e c h – wedle Biblii wprowadził wielożeństwo.

f i z j o l o g i ę B a l z a k a – mowa o głośnej książce Balzaka *Fizjologia małżeństwa*.

r z e ź Mamluków – 1 III 1811 Mehmed-Ali rozkazał zamordować 480 Mamluków, którzy znajdowali się w opozycji wobec stosowanej przez niego polityki.

S a l a d y n (l 137–1193) – sułtan egipski w latach 1171–1193, założyciel dynastii Ejubidów.

S u ł k o w s k i Józef (1770–1798) – zginął w Kairze 22 października 1798 rozsiepany przez Arabów; zostawił po sobie *Pamiętniki historyczne, polityczne i wojskowe o rewolucji polskiej 1792–1793, kampaniach włoskich 1796 do 1797 wyprawie tureckiej i kampaniach egipskich*. Pomnik grobowy wystawił mu w roku 1834 Henryk Dembiński.

Ż y d B ł ę d n y – Żyd Wieczny Tułacz, postać legendarna; miał jakoby uderzyć Chrystusa niosącego krzyż, za co skazany został na wieczystą tułaczkę.

S a i n t – S i m o n Klaudiusz (1760–1825) – francuski socjalista utopijny; jego uczniowie tworzyli rodzaj sekty polityczno-religijnej.

L i n a u – Francuz, prowadził w Egipcie prace nad osuszaniem okolic Nilu, przekopaniem kanału Mahmudie itd.

B a r a u l d – w tekście omyłka w nazwisku; mowa tu o pisarzu i publicyście francuskim Emilu Barrault (1799– 1869), który brał udział w wyprawie naukowej, mającej na celu zbadanie możliwości budowy Kanału Sueskiego. Napisał m. in. *Histoire de la guerre de Méhémet-Ali en Syrie* (1836).

Z e n o b i a (267–274) – królowa Palmiry, obdarzona niezwykłą energią, zawładnęła Egiptem i większą częścią posiadłości rzymskich na Wschodzie. Następnie pokonana i wzięta do niewoli przez cesarza rzymskiego Aureliusza.

p a w i l i o n (z fr.) – bandera.

B u f f o n Jerzy (1707–1788) – przyrodnik francuski, autor *Historii naturalnej* (1749–1788) w 36 tomach, w której systematycznie uporządkował ówczesną wiedzę przyrodniczą.

f i l i p i s t a (z fr.) – zwolennik króla francuskiego Ludwika Filipa.

L a m a r t i n e Alfons (1790–1869) – poeta i historyk francuski, autor m. in. *Voyage en Orient* (4 t.), opisu podróży na Wschód, odbytej w roku 1832.

D u m a s Aleksander (1803–1870) – powieściopisarz francuski, autor kilku opisów swych podróży, m. in. do Egiptu.

H a n n i b a l w K a p u i – aluzja do wyprawy Hannibala, który podczas tzw. drugiej wojny punickiej (218–201 p. n. e.), pokonawszy Rzymian pod Kannami zajął Kapuę (216), ale nie zdołał posunąć się dalej.

W i l k i u s – przypuszczalnie omyłka w tekście, zapewne Wilkinson John Gardner (1797–1873), egiptolog angielski, autor: *Manners and customs of the ancient Egyptians* (1837–1841).

K a s a n o w a – Casanova Giovanni (1725–1798), głośny awanturnik włoski, autor autobiograficznych pamiętników,

F a o b l a s s – bohater romansu Louvet de Couvray'a pt. *Amours du chevalier de Faublas* (1787–1790).

G i l b l a s s – bohater powieści Lesage'a: *Przypadki Idziego Blasa*, który zaczynając karierę życiową jako służący, kończy ją jako prawa ręka wszechwładnego ministra.

V o l n e y Constantin (1757–1820) – historyk i orientalista francuski, który celem opanowania języka arabskiego przebywał osiem miesięcy w klasztorze Koptów w Libanie, autor opisu swej podróży pt. *Voyage en Egypte et en Syrie* (1787).

r u i n y T e n t e r y – Tenteris, grecka nazwa jednego z najstarszych miast Egiptu, Dendery, słynnego ruinami.

p r z e d n a p a d e m P e r s ó w – Persowie podbili Egipt w r. 525 p. n. e.

s z e j k (z arab) – naczelnik arabskiego plemienia.

S o u l i é Fryderyk (1800–1847) – powieściopisarz i dramaturg francuski.

b y ł... w s t a n i e R o b e r t a, g d y g o A l i k s a... – aluzja do postaci z opery Meyerbeera *Robert Diabeł*, do której libretto napisali Scribe i Delavigny (1831).

Q u a s i m o d o – bohater powieści Wiktora Hugo *Notre-Dame de Paris* (1831), dzwonnik katedry Notre-Dame, istota odrażająco szpetna, ale zarazem zdolna do nadzwyczajnie subtelnych uczuć.

d r a m a t B a l z a k a – *Ojciec Goriot*. W powieści tej występują: Vautrin, były galernik, i de Rastignac, młody szlachcic z prowincji, stawiający pierwsze kroki na drodze paryskiej kariery.

a n a c h o r e t a (z gr.) – pustelnik.

e f e n d i (tur.) – tytuł dostojników i uczonych.

D e s a i x de Veygoux Ludwik (1768–1800) – generał francuski, brał udział w wyprawie napoleońskiej na Wschód, w 1798 r. zwyciężył Mamluków i zdobył dla Napoleona Górny Egipt.

S t r a b o n (63 p. n. e. – 20 n. e.) – Grek osiadły w Rzymie, geograf, autor 17 ksiąg *Geographika* – w których podaje nie tylko spis nazw krajów i miejscowości, lecz również dane polityczne i statystyczne, jak i obszerny opis obyczajów ówczesnego świata.

w i e l k a ś w i ą t y n i a – w Denderze wzniesiona została w I w. n. e. w miejscu dawnej, istniejącej od półtora tysiąclecia p. n. e. Słynny „Zodiak” od roku 1822 przechowywany jest w Paryżu.

L u k s o r i K a r n a k – miasta powstałe na ruinach starożytnych Teb, bogate w wykopaliska.

K a m b y z e s – król perski, podbił w r. 525 Egipt.

B e l z o n i Gianbattista (1778–1823) – podróżnik i archeolog, z pochodzenia Włoch, w 1815 r. wezwany przez Mehmeda-Ali, prowadził roboty hydrauliczne w Egipcie, gdzie pozostał do 1849 r. przeprowadzając później różne prace wykopaliskowe.

R a m s e i o n (Ramesseum) – wznosił faraon Ramzes II w XIII w. p. n. e. (S e z o s t r y s jest nazwą dawaną Ramzesowi II przez historyków greckich; O s m a n d i a s natomiast jest imieniem urobionym z przydomka Ramzesa II: Usi-ma-re).

K o l o s – Ramzesa II, miał około 17,5 m wysokości (ucho – 1,05 m).

k o l o s a l n e s t a t u y – tzw. kolosy Memnona z XIV w. p. n. e.; oba przedstawiające faraona Amenofisa III (zwanego przez Greków Memnonem), o wysokości niemal 20 m.

A m o n – wielu faraonów egipskich przybierało sobie przydomek Amona, jednego z ważniejszych bóstw religii staroegipskiej.

A n t o n i n P i u s – cesarz rzymski w latach 138–161 n. e., na którego cześć wzniesiono obelisk, nazwany kolumną Antonina.

C h a m p o l l i o n Franciszek (1790–1832) – francuski archeolog, egiptolog, który pierwszy odszyfrował hieroglify egipskie.

ś w i ą t y n i a – w Luksorze jest dziełem Amenofisa III, założona ok. XIII w. p. n. e.

M e n e p h t a n (Minephtah, Amenothos) – faraon, syn Ramzesa II.

P t o l e m e u s z P h i l o p a t o r – panował w Egipcie w latach 221–204 p. n. e.

p i ę k n y o b e l i s k – jeden z dwóch obelisków świątyni w Luksorze ofiarował w r. 1831 Mehmed-Ali Ludwikowi Filipowi; od r. 1836 zdobi on paryski plac Zgody.

P a l m i r a – starożytne miasto handlowe w Syrii, jego ruiny już od połowy XVIII w. zażywały zasłużonej sławy wśród podróżników.

N e c p l u s u l t r a (łac.) – tu przenośnie: szczyt doskonałości.

T a g l i o n i Maria (1804–1884) – słynna tancerka pochodzenia włoskiego, występowała od 1827 r. w Paryżu.

s ł o Ń c e s i ę p r z e g l ą d a ł o – starożytni, którzy zauważyli, że podczas letniego przesilenia dnia z nocą słońce w Assuanie nie rzuca cienia, uznali to miasto za położone na linii zwrotnikowej; w rzeczywistości zwrotnik Raka przebiega kilkadziesiąt kilometrów dalej na południe.

G o d f r e d (Godefroy de Bouillon 1061–1100) – książę lotaryński, jeden z wodzów pierwszej wyprawy krzyżowej, król Jerozolimy w latach 1099–1100.

S a l o m o n – król izraelski w latach 975–935 p. n. e., wznosił w Palestynie wiele wspaniałych budowli. Najbardziej z nich znana jest wielka świątynia jerozolimska, zwana świątynią Salomona, oraz pałac królewski, którego jedno skrzydło, zwane „dom lasu libanowego”, podobne było do lasu słupów cedrowych z Libanu, między którymi prowadziły cztery chodniki. W sali tronowej stał tron z kości słoniowej, pokryty złotem, po obu jego stronach dwa lwy, a dwanaście dalszych na sześciu niższych stopniach.

B a a l b e k (gr. Heliopolis) – miasto w Syrii z ruinami wspaniałej świątyni słońca z czasów rzymskich.

S t a r z e c z g ó r – tytuł zwierzchnika sekty Assassynów. Assassyni, polityczno-religijna sekta mahometańskich fanatyków powstała w XI w., przez pewien czas odgrywała dość znaczną rolę w życiu politycznym Azji Przedniej; od XIII w. stanowią niewielką liczebnie kolonię na Libanie.

do R o d u – na Rodos mieli w latach 1309–1530 swą siedzibę Joannici (zwani później kawalerami maltańskimi); tu również wznosił się w starożytności jeden z siedmiu cudów świata, słynny posąg – Kolos Rodyjski.

T e l e m a k – bohater romansu Penelona *Przygody Telemaka* (1694), wędrujący po świecie w poszukiwaniu swego ojca, Odyseusza.

O s j a n o w s c y r y c e r z e – powołani do życia przez J. Macphersona w *Pieśniach Osjana* (1760), rzekomego barda celtyckiego z III w. n. e.

S a l a d y n (1137–1193) – sułtan Egiptu i Syrii, bohater muzułmański trzeciej wyprawy krzyżowej, zdobywca Jerozolimy.

R y s z a r d I Lwie Serce – król angielski w latach 1189–1199, wódz trzeciej wyprawy krzyżowej.

b o r e a l n y (z łac.) – północny.

M a r i a E g i p c j a n k a (ok. 345–421) – wedle legendy już od 12 roku miała prowadzić rozwiązyły tryb życia. Po siedemnastu latach przybywszy z Egiptu do Jerozolimy na progu bazyliki Grobu św. rzekomo miała wizję, która spowodowała jej nawrócenie. Zamieszkawszy na pustyni, spędziła czterdzieści siedem lat w surowej pokucie; po śmierci zaliczona w poczet świętych.

I s s a (arab.) – Chrystus.

A r n a u c i – turecka nazwa Albańczyków; w tekście wzmianka o okrutnej rzezi, której dokonał Napoleon na 2000 jeńców w dniu 7 marca 1799 r. po zdobyciu Jaffy.

T a n k r e d (1078–1112) – jeden z wodzów pierwszej wyprawy krzyżowej.

K r z y w o u s t y – nie był nigdy w Palestynie, natomiast syn jego, Władysław II, dwa lata spędził na wyprawie do Ziemi Świętej.

H e n r y k S a n d o m i e r s k i – syn Krzywoustego, wyprawił się do Palestyny w roku 1154.

R a d z i w i ł ł Mikołaj Krzysztof zw. **S i e r o t k a** (1549– 1616) – pielgrzymował do Ziemi Świętej w latach 1582– 1584. Swoją podróż opisał w *Peregrynacji do Ziemi Świętej*.

S i l o e – źródło i sadzawka w Jerozolimie, otaczana kultem religijnym, ponieważ wedle Biblii (Ew. św. Jana IX, 7) ślepy, z polecenia Chrystusa przemywszy w jej wodzie oczy, odzyskał wzrok.

R a c h e l a – żona biblijnego Jakuba; miejsce jej grobu według słów Jeremiasza (XXXI, 15) znajduje się na północ od Betlejem, koło miasteczka Betel.

D i e s I r a e (łac.) – Dzień Gniewu, średniowieczny hymn o sędzie ostatecznym, z XIII w.

c z y c z e r o n e (z wł. *cicerone*) – przewodnik.

S a i n t J a m e s – pałac londyński, jedna z rezydencji; królów angielskich.

s ą r z e c z y, o k t ó r y c h s i ę f i l o z o f o m a n i ś n i ł o – skrócona wersja słynnego cytatu z Szekspira (*Hamlet* I, 5).

e k w i n o k s y (z łac.) – zrównanie dnia z nocą.

b r u l o t (fr.) – okręt wojenny wyposażony w materiały palne, które służą do wzniesienia pożarów na statkach nieprzyjacielskich.

K a n a r i s Konstantyn (1790–1877) – grecki mąż stanu, słynny bohater walk wolnościowych Grecji, w których uczestniczył jako kapitan okrętowy.

I' a b o r d a g e (fr.) – wkroczenie na statek nieprzyjacielski.

B a r b a r i a – Berberia, północne wybrzeże Afryki.

M a u r o k o r d a t o s Aleksander (1791–1865) – jedna z czołowych osobistości greckiego ruchu wyzwolenieckiego.

s p e l u n c a l a t r o n u m (łac.) – jaskinia zbójców.

W i e l k i G r z e g o r z – Grzegorz VII św. papież w latach 1073–1085; za czasów jego pontyfikatu Kościół stał u szczytu potęgi świeckiej.

m e d i a – n o t a (łac.) – modlitwa odmawiana o północy.

k a t e c h u m e n (z gr.) – nowonawrócony, przygotowujący się do chrztu.

POSŁOWIE

Władysław Wężyk wsiadając w kwietniu 1839 roku na statek w Marsylii nie przypuszczał z pewnością, że z dwuletniej podróży, którą rozpoczynał jako turysta, powróci pisarzem, wiozącym w torbie podróżnej manuskrypt dzieła, uznanego w przyszłości przez historię literatury za najlepszy utwór polskiej romantycznej prozy podróżniczej. Wyjeżdżał na Wschód bez określonych planów pisarskich; kierunek wyprawy wytyczyła mu moda współczesnej turystyki, ta sama, która inspirowała trzy lata wcześniej Juliusza Słowackiego, moda przede wszystkim literacka. Początek dał jej jeszcze Volney w swej *Podróży na Wschód* z roku 1785, ale właściwy jej rozkwit przypadł na epokę romantyzmu. Opisom Palestyny i Syrii, Grecji i Egiptu użyły swych piór wielu znakomitych romantyków, a obok nich cała plejada amatorów. Powstały dzieła klasyczne wschodniego podróżopisarstwa, dzieła, które studiował każdy wyruszający w drogę osnutą urokiem lewantyńskiej egzotyki: Chateaubrianda *Dziennik podróży z Paryża do Jerozolimy*, Lamartine'a *Podróż na Wschód*, Dumasa *Wrażenia z podróży*. Niełatwo było współzawodniczyć z autorami tej miary: lektura ich relacji wrażała się w pamięć i wyobraźnię, a później, gdy podróżnik na własne oczy oglądał Wschód, widział go przez cudze okulary. Kiedy próbował utrwalić swoje wrażenia – pod pióro cisnęły się klisze literackich wzorów, obrazy już dawniej namalowane lepiej, refleksje wielokrotnie wypowiedane poprzednio. Tylko bardzo niewielu potrafiło wyłamać się ze szlaków utartych i opisom swoim zdobyć w literaturze pozycję odrębną, samodzielną, niezależną od modelu klasycznych dzieł podróżopisarskich. Do owych niewielu należał autor *Podróży po starożytnym świecie*.

Do swych znakomitych poprzedników, których dzieła studiował starannie, miał Wężyk stosunek krytyczny. Żaden z nich nie wzbudził w nim tak wielkiego zachwytu, by skrepić swobodę jego własnego pióra. Lamartine'owi zarzucał natrętne, panegiryczne samouwielbienie: „Lamartine nie dlatego nie znajduje u nas podziwienia (co do swoich *Wrażeń z podróży*), że nas karmi drobnymi szczegółami więcej niż historyczną filozofią, lecz że drobne szczegóły nadyma jak pęcherze i wszystkie do swojej osoby przyczepia, co czasem sprawia cikiwy szelst dla obcych uszów”. Do Dumasa zrażała go nonszalancja tego pisarza: „Dumas, dowcipny podróżnik w swoim gabinecie, wynajduje różne przygody i różne ciekawe szczegóły z książek i z wyobraźni swojej, aby na ten temat skleić kilka dowcipnych żarcików”. Stosunkowo najbardziej odpowiadał mu *Dziennik Chateaubrianda*: „Najpewniejsi jesteśmy wiadomości stanowczej o obyczajach i zwyczajach mieszkańców tej części Wschodu z poważnych i prostych opowiadań Chateaubrianda”.

Na zadania literackiego podróżopisarstwa autor *Podróży po starożytnym świecie* wyrobił sobie pogląd samodzielny i starał się go realizować w praktyce pisarskiej. Przede wszystkim uważał, iż niewłaściwie czynią autorzy wysuwający na plan pierwszy relacji własną osobę: „Boże nas strzeż od pamiętników i bohaterskich rapsodów sławnych ludzi i podróżników, których już Francuzi mają po uszy!” Za cel opisu podróżnego uznawał przekazanie czytelnikowi obrazu zwiedzanego kraju. Obraz taki może oczywiście zawierać dowolne mnóstwo drobnych szczegółów i obserwacji, albowiem – podawał to jako przykład – jeszcze i „teraz z ciekawością szukamy w pielgrzymkach Radziwiłła Sierotki lub w podróżach Twardowskiego drobnostkowych nawet szczegółów, sprawdzających w naszych oczach podania o zwyczajach tamtych wieków”. Jednakże kolekcjonowanie szczegółów nie powinno decydować o zawarto-

ści podróży pamiątek, gdyż jest rzeczą znacznie ważniejszą, by relacja wędrownika zawierała ogólną wizję kraju, syntetyczną sprawozdawczo i, co ważniejsze, artystycznie.

Ten ostatni warunek było szczególnie trudno spełnić posługując się tradycyjną formą opisu podróży; ażeby mu zadosyć uczynić, uciekł się Wężyk do oryginalnego rozwiązania. Zrywając z utartym szablonowym sposobem spisywania relacji podróży w chronologicznym porządku, uwzględniającym wszystkie okoliczności wędrowki i respektującym obok wrażeń i przeżyć autora również jego popisy erudycyjne czy informacyjne pouczenia – śmiało rozbił swoją książkę na dwie zupełnie niezależne całości: na część informacyjno-historyczną i część literacką. W pierwszej z nich, zatytułowanej „Egipt-dzieje”, zebrał wiadomości do dziejów kraju w dziesięciu chronologicznie po sobie następujących rozdziałach; w części drugiej, literackiej, noszącej tytuł „Egipt-obrazy”, zamieścił wizerunek Egiptu odtworzony w materiale wyłącznie literackim.

Korzyści takiego podziału były oczywiste. Część literacka mogła się obejść bez nieodzownego we współczesnym podróżopisarstwie bakalarskiego nudziarstwa, bez nazw i dat, imion i drobiazgowych, wyczerpujących szczegółów geograficznych, informacji architektonicznych czy komunikacyjnych, jednym słowem, bez obciążania relacji podróży tymi wszystkimi wiadomościami i wiadomostkami z różnych dziedzin życia, które można znaleźć w dostępnych każdemu dawniejszych czy nowszych opisach. Na łup pedantom, żądającym od podróżnika systematycznego, wszechstronnego wykładu, rzucił Wężyk część informacyjną, by w części literackiej móc wyżyć się wyłącznie jako artysta, jako pisarz przekazujący swe wrażenia, a nie jako mentor pouczający czytelnika w zmiennej roli geografa, historyka, polityka czy ekonomisty.

„Dzieje”, zawierające „historię miejsc i starożytnych gmachów, czerpaną z dzieł poważnych i krytycznie zbadanych, nie zaś z opowiadań nieoświeconych ciceronów lub z drobiazgowych szczegółów, zręcznie wystrzyżonych z angielskich keepsaków”, stanowią kompilację z dostępnej literatury przedmiotu. Już w chwili powstania posiadały wartość wyłącznie popularyzatorską, i to wątpliwą, napisał je bowiem amator nie mający gruntowniejszego fachowego wykształcenia; obecnie i tę nawet utraciły. Dziś z ich zawartości interesować mogą jedynie fragmenty przynoszące spostrzeżenia własne autora: rozdział wstępny, snujący ogólne refleksje o potrzebie i celach zajmowania się kulturą świata mahometańskiego, oraz rozdział ostatni, mieszczący w sobie „bezstronną kronikę” czasów najnowszych, oparty w pewnej mierze na obserwacjach własnych autora.

W owej „bezstronnej kronice” współczesnego Egiptu natrafiamy na kilka spostrzeżeń, odtwarzających poglądy Wężyka na aktualną sytuację kraju i jego stosunek do gwałtownych przemian przeobrażających oblicze Egiptu kierowanego sprężystą dłońią Mehmeda-Ali. Był to okres w dziejach państwa nilowego przełomowy: Mehmed-Ali stworzył Egipt dla Europejczyków i różnorodnymi reformami starał się przełamać zastarzałe stosunki feudalne na korzyść urządzeń kapitalistycznych.

„Kraj – pisze Wężyk – niedawno jeszcze odłogiem leżący, przybierał już powierzchowność europejską, a to z powodu, że ten, co go dzierzył, był człowiekiem energicznym, czującym potrzebę reformy, otartym w swej młodości o Europejczyków i dającym się powodować światłym radom zdalnych Francuzów, na których przypadkiem natrafił.

Czynność tego starca była nadzwyczajną! W swym całym państwie on był jedynym człowiekiem wszystkim się zajmującym, wszystko organizującym. Przytomny przy budowaniu Arsenалу, przy założeniu rozmaitych rękodzielni tak w Kairze, jak nad kanałem Mahmudie, jako też w niektórych miastach Średniego Egiptu, zwiedzał osobiście to Syrię, to Sennar, a zajmując się układaniem nowego statutu handlowego, zamianą i odbiorem bawełny i ryżu, czynny od świtu do północy i wszystko sam przez się chcący wiedzieć, był on prawdziwym a n t y p o d o m muzułmańskiego mocarza!”

Podziwiając rozmach poczynań władcy nie przymykał Wężyk bynajmniej oczu na jaskrawe kontrasty społeczne, narzucające się uwadze baczego obserwatora.

„Jednakże przy tym wszystkim stan obecny Egiptu jest opłakanym. Częste wojny, zbyt wielka ilość wojska w stosunku z ludnością, nędza, w której zostaje rolnik przez te wszystkie czasy, wyniszczyły prawie zupełnie plemię mieszkańców tego niegdyś tak ludnego kraju. Cały prawie ogrom posług i wydatków krajowych ciąży na barkach fellów. Ten naród fellów, dawniej możny i bitny, znikczemniał teraz pod kijami służalców Mehmeda i pod rdzą nędzy, w jakiej jest pogrążonym. Prócz tego jeszcze jeden na czterech bywa dotkniętym ślepotą, chorobą tak straszną, a tak pospolitą w Egipcie. Cała ta garstka pracuje noc i dzień i przynosi plon swej pracy Mehmedowi-Ali, któren na bezustanne wojny, konstrukcje i wynalazki wszystko wydaje”.

Przytoczone tu opinie Wężyka, zamykające część „Egipt – dzieje”, stanowią zarazem przejście do części „Egipt – obrazy”, w której przestanie przemawiać historyk czy polityk, a pióro przejdzie w rękę literata: kraj energicznego Mehmeda-Ali i gnębionych fellów pojawi się przed oczyma czytelnika ożywiony nie publicystyczną relacją, lecz sztuką niepospolitego artysty.

Użyty przed chwilą przymiotnik wymaga oczywiście uzasadnienia, wymaga wskazania, na jakich rzetelnych walorach literackich „Obrazy” Wężyka się wspierają.

Opis wędrówki Wężyka po Egipcie składa się z trzech rozdziałów, każdy o odrębnym wyrazie, te zaś z kolei z kilkunastu mniejszych całości luźnie ze sobą spojenych, z urywkowych migawek, tworzących razem mozaikowo urozmaicony wizerunek kraju. Wężyk raz przynosi czytelnika nieustannie z miejsca na miejsce, przechodzi z tematu na temat, w niespokojnym, nerwowym pośpiechu stawiając mu przed oczy coraz to nowe obrazy; kiedy indziej znów zwalnia tok narracji, by zabawić dłuższym opowiadaniem lub zająć bardziej szczegółowym opisem. Tematyka migawek jest niezwykle różnorodna: treścią ich bywa ujrany widok lub zabawna przygoda, interesujący zabytek czy egzotyczny typ ludzki, niezwykle obyczaj lub charakterystyczna anegdota, osobliwość fauny czy miejscowa legenda. Ale opis obyczajów nie staje się nigdy zbiorem etnograficznych spostrzeżeń, opis budynków – rozdziałem z historii architektury, opis okolicy – fragmentem podręcznika geografii; nasycy je bowiem wrażliwość własna autora, dla którego celem jest nie relacja przedmiotowa, lecz subiektywne wrażenie, ujęte w starannie wypracowany kształt literacki.

Karty Wężykowego pamiętnika podróży po Egipcie pociągają nas dziś przede wszystkim swą artystyczną świeżością. Nie ma tu rzeczy banalnych i pospolitych, nie ma szablonu i bezbarwności. Nieprzeciętna spostrzegawczość ułatwia autorowi gromadzenie atrakcyjnego materiału, a nieustępliwa, nienasycona ciekawość prowadzi do zakamarków orientalnego życia i obyczaju, niedostępnych podróży hotelowym. Uczulenie zmysłów na bogactwo otaczającego świata pozwala mu zaobserwować przedmioty i ludzi w świetle niezwykle, spojrzeć na wydarzenia własnymi oczyma, bez najmniejszej potrzeby przywoływania na pamięć wrażeń cudzych, wielokrotnie utrwalonych, pospolitych i spowszedniałych.

Zastanawiająco subtelny jest takt artystyczny młodego, bo zaledwie dwudziestotrzyletniego podróżnika, który obronną ręką potrafi wybrnąć z sytuacji nawet najmocniej zagrażających oklepanym frazesem. Małym arcydziełem jest opis wycieczki do piramid, całkowicie wolny od, wydawałoby się, nieuniknionych tutaj banalnych rozważań historiozoficznych, którym ująć nie zdołali nawet o wiele znakomitsi podróżopisarze. Posiada Wężyk rzadką umiejętność utrzymywania komentarza w tonie lekkim, nie ześlizgując się w żurnalistyczną powierzchowność.

Akompaniamentowe, ściszone brzmienie refleksji, wypowiedzianych z różnych okazji, pochodzi głównie stąd, iż obraz kraju przekazuje Wężyk czytelnikowi nie za pomocą pojęciowych sformułowań, lecz poprzez sugestie plastyczne. Plastyka „Obrazów” jest ich najbardziej znaną cechą: Wężyk jest świetnym malarzem gromadzącym szkice z podróży, szkice

żywe, barwne i wyraziste, zaskakujące sugestywnością ujęcia, śmiałością linii, bogactwem kolorów. W swoisty sposób wyraża się w nich zarazem poezja romantycznej wędrowki, jak i proza trudnej i niebezpiecznej podróży, sentymentalna zaduma i łagodna ironia. Karty poważne następują po rysunkach pełnych pogodnego humoru; w równoległych obrazach uwypuklają się kontrasty Egiptu przeszłości i Egiptu żywych, kairskiej nędzy i wystawnego życia bejów, wizerunki dworaków i koczujących Beduinów.

W służbę plastycznej sugestywności „Obrazów” oddaje Wężyk stylistyczne i językowe środki wyrazu artystycznego. Zależnie od jej potrzeb tok spokojnej gawędy przerywa żywy dialog z współtowarzyszami wędrowki; po relacjonujących opisach następują zwroty kierowane wprost do czytelnika, zwroty wciągające czytelnika w tok zdarzeń, angażujące go uczuciowo, zmniejszające dystans pomiędzy autorem i odbiorcą. Wytwarza to atmosferę ciepłej poufałości: podróżnik w tonie i nastroju przyjacielskim zwierza się ze swych wrażeń odniesionych podczas wędrowki do egzotycznego kraju.

Idealem Wężyka jest – jak to sam określił – „styl niewymuszony, prosty, łatwy”, styl „wzniosły nie szumem i łoskotem dobranych wyrazów, lecz prostotą i wzniosłością uczuć”. Za wszelką cenę unikać należy „nadętości i przesady, tych dwóch przybyszów tak nie zgadzających się z charakterem prostoty, właściwym naszej mowie”. Na zabiegi Wężyka wokół językowej szaty *Podróży* interesujące światło rzuca zestawienie fragmentów „Obrazów” publikowanych w „Bibliotece Warszawskiej” z całością ogłoszoną w rok później w książce. Autor wprowadził do książki zmiany nieliczne, ale nader znamienne. Usunął mianowicie bardzo wiele tzw. wyrazów obcych, wstawiając na ich miejsce odpowiedniki polskie: kokietkę zmienił na zalotnicę, konstrukcję – na budowanie, apartamenta – na pokoje, plac bitwy – na pole bitwy, prezentować – na przedstawiać, monotonna – na jednostajną, instrument – na narzędzie, fizjonomię – na twarz itd. Nadto wygładzał tu i ówdzie wyrażenia rubaszne (np. gębą ruchać wymienił na: ruszać ustami) i gdzieś tam rezygnował z językowej ekstrawagancji (np. „powonąć zapachu róży” zastąpił wyrażeniem: skosztować zapachu). Dbałość o prostotę wysłowienia, o jasność obrazów była nieustanną troską pisarza, zwracającego uwagę na drobne nawet usterki powstałe przy odnotowywaniu wrażeń.

I choć Wężyka nie postawimy w szeregu naszych najznakomitszych stylistów – czystość językowa i stylistyczna opisów bywa u niego zbyt często pomimo tych wszystkich zabiegów zmaćcona – to jednak walory artystyczne jego oryginalnej prozy są bardzo wysokie.

W postaci książkowej ukazały się *Podróże po starożytnym świecie* w październiku lub listopadzie 1842 roku. We „Wstępie” autor zwracał się do publiczności tymi słowami: „Ofiarując ziomkom tę początkową pracę, w której znajdują wszystkiego po ziarnku, ufam, że mi zechcą życzyć urodzaju w przyszłości, nie omieszkam bowiem oddawać im dziesięciny”.

Życzenia urodzaju złożył jako pierwszy „Przegląd Naukowy” z 1 grudnia tegoż roku, przynosząc pochlebną recenzję książki Wężyka. Recenzja była nie podpisana. Krytyk rozpoczął od ogólnych uwag o piarstwie autora *Podróży*:

„Myśli i spostrzeżenia głębsze, zwykle w kroju lekkim i pełnym wdzięku, w obrazie wybitnym i w rysach jaskrawych skreślone, stanowią znamię jego opisów. W miejscach uczuciowych porywa nas autor w wir uniesień, lecz obok nich śmiałym zwrotem myśli stawia obraz, który nie będąc ani ironią, ani śmiesznością, budzi jakieś wesołe uczucie w sercu czytelnika. Myśli w zwrotach nadobnych silnie biją w serce ogółu”.

Przechodząc do uwag szczegółowych anonimowy krytyk pozytywnie wyraża się o części historycznej dzieła. Jeszcze większe uznanie znalazł w jego oczach opis podróży:

„Sama opowieść podróży, jakkolwiek z mniejszą pracą zbudowana, więcej nam się niż dział historyczny podoba; tu opowieść tak pełna życia, tak barwna, zwroty i rzuty myśli to jak brylanty Wschodu, to jak wartki prąd Wisły, pyszne, poważne, to rzutki i zwinne. Opowieść pana Wężyka ujmuje i podoba się, wrażenie pozostawia silne i dlatego jej działalność na umysły jest wielka. Żywioł prawdziwie narodowy, nasz własny, w owym uniesieniu, w owym

zachwycie poetycznym, na przemian dziarskimi przerzucany myślami, zbratanymi z rzeźkością i prawie wesołą humorystką, miłym jest sercu naszemu, gdyż w tych opisach dalekich krain, obcych nam i mało znanych, znajdujemy więcej żywiołu krajowego niż w wielu z opisów naszej własnej ziemi”.

Wady książki upatruje krytyk w niedostatkach oceny moralnej przedstawionych spraw; nadto oburza go pomieszczenie w *Podróży* anegdoty o saint-simonistach.

„Wśród tak mnogich zalet dzieło p. Wł. Wężyka nie jest bynajmniej wolne od usterek licznych, na które tym baczniej sze winniśmy zwracać spojrzenie, im autorowi wyższe między naszymi podróżopisarzami naznaczamy miejsce. Już niektóre w »Bibliotece Warszawskiej« zamieszczone wyjątki raziły nas, np. o małżeństwie u Koftów – podobne ustępy znajdują się i w samym dziele”.

Niektóre urywki, np. o świętym tureckim, o sprzedaży Abisynki, o bazarze niewolnic, sądzi recenzent,

„...pod względem nieskromności są rażące. A nieskromność, obrzydliwość obyczajów – nie ze wzgardą wyrzeczona, lecz najweselej opowiedziana. Nie idzie nam bynajmniej o to, aby autor przez fałszywą skromność miał zamilczeć o zwyczajach krajowych, lecz ułomności ludzkie można opowiedzieć w sposób wzgardliwy dla nich lub litośne na nie rzucić spojrzenie; humorystycznie opowiedziane – nabierają w oczach mianowicie mniej oświeconych, mniej ukształconych czytelników pewnej sankcji, której pozorowi nawet unikać należy. Żałujemy także krzywdzącego porównania sali łaźniowej do budowy godnej poszanowania i humorystycznych przycinków zwolennikom teorii nader dla dobra ludzkości ważnej, danej im w opowiadzi awanturki księżniczki Murzynki”.

Na obronę Wężyka powiedzieć można, iż w Kairze zetknął się on z gminą saint-simonistyczną, w prymitywny sposób realizującą doktrynę francuskiego socjalisty utopijnego, stąd też anegdota, przytoczona w *Podróżach*, stanowi raczej wierne powtórzenie rzeczywistego wydarzenia niż tendencyjne drwiny z saint-simonizmu.

Kim był anonimowy recenzent *Podróży*, nie wiadomo; zwrócimy tu tylko uwagę na okoliczność, iż redaktor „Przeglądu Naukowego”, Edward Dembowski, opublikował w niespełna trzy miesiące później krótką wzmiankę krytyczną o książce Wężyka w „Tygodniku Literackim” z 20 lutego 1843 roku, wzmiankę będącą na dobrą sprawę streszczeniem wywodów anonima z „Przeglądu”:

”Autor zwiedza Egipt i daje nam w pierwszym tomie wiadomość o dziejach egipskich, w drugim obraz żywy i ognistymi oddany barwami wrażeń doznawanych w podróży. Te wrażenia oddane są z wielkim talentem, nader barwnie, uczuciowo. Wesołość i dziarskość przy dążeniu szlachetnym, lubo niekoniecznie wyrobionym, stanowią zalety tego dzieła; wady jego w często mniej przyzwoitych ustępach i naśmiewaniach się z saint-simonistów i protestantów upatrujemy”.

„Biblioteka Warszawska” wydrukowała z początkiem 1843 roku równocześnie dwie recenzje *Podróży* Wężyka. Pierwsza z nich wyszła spod pióra Aleksandra Tyszyńskiego, autora powieści *Amerykanka w Polsce*. Wężyk zaznajomiwszy się z krytyką Tyszyńskiego napisał po dobru do Augusta Wilkońskiego (autora *Ramotek*, używającego pseudonimu: chirurg filozofii) humorystyczny bilecik: „Kochany chirurgu filozofii, ratuj, bo mnie Amerykanka uduśi!” Recenzja była istotnie surowa. Najwięcej miejsca zajmował w niej krytyczny rozbiór części historycznej dzieła: Tyszyński podkreślał wprawdzie oryginalność niektórych spostrzeżeń Wężyka, jednakże wypisał zarazem cały katalog potknięć i błędów. Błędy te, to – zdaniem recenzenta – wiele luk w narracji historycznej, fałszywe przedstawienie wierzeń religijnych starożytnych Egipcjan, niekonsekwencje w wyjaśnianiu historycznej roli wybitnych osobistości (np. Saladyna), na koniec kronikarski charakter relacji, zbyt rzadko docierający do istotnych sprężyn historycznego rozwoju kraju.

Równie wiele uchybień widzi recenzent „Biblioteki Warszawskiej” w opisie podróży. Tyszyński nie odczuł artystycznych walorów dzieła; zahaczając poszczególne zdania i opinie książki, wdaje się w spory zupełnie jałowe. Przytoczyć można jeden z fragmentów jego wywodów:

„Autor zastanawia się między innymi nad różnymi rodzajami podróżujących po Wschodzie i mówi, iż tych jest osiem. Dodać byśmy tu mogli, iż nie widzimy przyczyny, dlaczego podział ten nie mógłby być dalej i do nieskończoności prowadzonym? Autor mógłby podobnie wyliczać nazwiska wszystkich klas i wszystkich krajów. Z innej strony oddziały te mogą się łączyć razem; nie widzimy np., czemu wyspiarz nie mógłby być uczonym, Amerykanin handlarzem itp.”.

(Nawiasem pisząc, Jan St. Bystron, który nie znał recenzji Tyszyńskiego, w swej książce o *Polakach w Ziemi Świętej*, Syrii i Egipcie wyraził się, iż *Podróż Wężyka* zawiera „między innymi wyborną klasyfikację turystów na Wschodzie, której warto poświęcić nieco miejsca, gdyż świadczy najlepiej o zmyśle obserwacyjnym Wężyka, a przy tym sama przez się jest zajmująca”).

Po przydługich rozważaniach w podobnym rodzaju Tyszyński konkluduje:

„Za główną i ogólną wadę w opowiadaniu poczytać nam, jak widzimy, wypada: pośpiech w wykładzie, bezszyk, brak wytrawienia myśli. Autor *Podróży po starożytnym świecie*, zdaje się, iż w swym piśmie nie ma zamiaru przynosić ani materiału dla nauk, ani wykładu wrażeń w pewien systemat ujętych. W przedstawieniu prac swych dla czytelnika, zdaje się, iż na główniejszym ma względzie siebie niż czytelnika”.

W podobnym tonie, co Tyszyński, pisał drugi recenzent „Biblioteki Warszawskiej”, podpisany inicjałami L. K.:

„Żałujemy, że autor z góry zrzeka się powagi dziejopisa i woli raczej traktować swój przedmiot w stylu lekkim, powieściowym”.

Wężyk z pewnością więcej niż głos konserwatywnej „Biblioteki” cenił sobie opinię „Przeгляду Naukowego”, organu młodych, z którymi łączyła go więź przyjaźni ideowej i towarzyskiej. Pochwała otrzymana z tej strony powinna dlań była stanowić zachętę do kontynuowania pracy.

Liczba mnoga użyta w tytule książki Wężyka wskazuje, że autor od początku nosił się z zamiarem opisanie większego obszaru zwiedzonych przez siebie krain, aniżeli to objęła część ogłoszona drukiem. Opublikowana część pierwsza *Podróży po starożytnym świecie*, zawierająca relację z wyprawy do Egiptu, miała poprzedzać następne, przynoszące – wedle zapowiedzi autora – wrażenia kolejno z Azji Mniejszej, Turcji, Grecji i Włoch, czyli z krajów, których dzieje, zgodnie z tytułem książki, sięgają w daleką starożytność. Ale części tych Wężyk nigdy nie napisał. Jeżeli wolno sądzić z dwóch drobnych urywków, stanowiących załączek przyszłych opisów pełnych, kształt artystyczny dalszych części *Podróży* odbiegałby znacznie od formy, jaką nadał „Egiptowi”, i to odbiegał bynajmniej nie w stronę ujęcia doskonalszego.

Urywki owych dalszych części, „Pierwotne słów pojęcie” oraz „Grecja”, nie są już obrazami w tym sensie, w jakim określenie to stosować można do wrażeń egipskich. Artysta, malarz, poeta – ustępuje w nich miejsca pielgrzymowi, który nastroja swoją wrażliwość na spowszedniały ton patniczy. Podróżnik, który w Egipcie stawał przed każdym nowym widokiem czy wydarzeniem nie uprzedzony, mierząc je wyłącznie miarą odniesionego wrażenia, tu zachowuje się już inaczej: przygotowuje się do przeżyć, organizuje je świadomie, ale tym samym znacznie pomniejsza wartość literackiego ich opisu.

W napisanej przez Wężyka recenzji z *Podróży do Ziemi Świętej* Hołowińskiego znajduje się zastanawiające wyznanie: Wężyk powiada tam, iż wędrowka na Wschód przekonała go, że „najpoetyczniejszymi” krajami owej strony świata są Turcja i Liban; mniejszy zachwyt pozostał mu w sercu dla „uwieczonych w wawrzyny Spart i Aten”. O Palestynie nie wspomina w ogóle, natomiast Egipt, rzecz ciekawa, nazywa wręcz „olbrzymiopoturym”. Dlaczego

ów „olbrzymioponury” kraj odmalował w barwnych, poetyckich „Obrazach”, dlaczego Palestynie i Grecji poświęcił tylko słabe, sztuczne w wyrazie urywki, dlaczego wreszcie krajów „najpoetyczniejszych” nie opisał – pozostanie intrygującą zagadką, której niewątpliwego rozwiązania próżno byśmy szukali.

Leszek Kukulski